SENATOR Z KLUBU PIS O ISTOCIE SPORU O SN

Czym grozi Polsce wszechwładza sędziów

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 33/285 13–19 SIERPNIA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Trzy lata prezydenta Dudy – ostrym piórem Warzechy

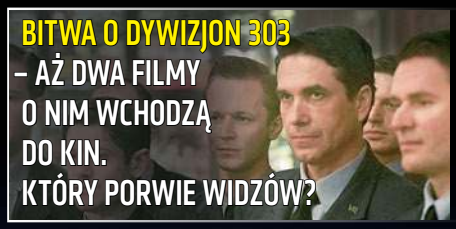

BITWA O DYWIZJON 303 – AŻ DWA FILMY O NIM WCHODZĄ DO KIN. KTÓRY PORWIE WIDZÓW?

Łysiak o królu szpiegów: Gdyby w 1918 r. udało mu się zabić Lenina i Stalina...

WOJCIECH CEJROWSKI DLA „DO RZECZY":

Władzy raz zdobytej nie oddali w roku 1989 i rządzą do dziś

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 33 >

Nakład: 88,5 tys. egzemplarzy

leonardocompany.com *pzl.swidnik.pl*

Helicopters | Aeronautics | Electronics, Defence & Security System | Space

PZL-ŚWIDNIK
a LEONARDO HELICOPTERS company

eprasa.pl ee82e2794e

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Najwięksi twardziele i ich gra

O ile wcześniej przedstawiciele opozycji snuli opowieści o tym, jak straszne są rządy PiS – jedni porównywali je do reżimów autorytarnych, inni woleli mówić o pełzającej lub całkiem dziarsko chodzącej dyktaturze – o tyle teraz pojawił się w ich wypowiedziach ton nowy i wyraźny. Pojawiła się groźba. Jedni twierdzą, że jak tylko dojdą do władzy, to powsadzają polityków, a nawet szerzej – zwolenników PiS (jawnych, czynnych i domniemanych) do więzień, zakują ich w dyby, kary ostre wymierzą. Nie będzie przebacz – mówią pospołu lider SLD Włodzimierz Cimoszewicz, Jerzy Borowczak (poseł PO), Władysław Frasyniuk i cała reszta pomniejszych działaczy ruchu antykaczystowskiego. Szczególnie zradykalizował się, przynajmniej werbalnie, ten pierwszy, który nie tylko będzie chciał usuwać ze stanowisk sędziów, odbierać im emerytury i pozbawiać pracy, lecz także zabrać immunitety posłom.

Można się z tego podśmiewać: najbardziej radykalni są ci, którzy znajdują się poza Sejmem. Można wskazywać brak logiki: W jaki to niby sposób walka o niby zagrożoną praworządność ma się dokonywać z pogwałceniem wszystkich jej reguł, „bez żadnego trybu"? I jak to możliwe, że pod panowaniem tego rzekomo reżimu można publicznie i bezkarnie głosić, iż po zwycięskich wyborach funkcjonariuszy dyktatury wsadzi się do więzienia? Skoro Polskę zalewa brunatne morze – piękną tę frazę zapożyczyłem ze źródła mądrości bijącego przy ul. Czerskiej w Warszawie – to dlaczego brunatni zamordyści z takim spokojem przypatrują się temu, jak przygotowuje się dla nich obozy reedukacji? O tym, jak to groteskowe, pisałem wiele razy.

Jednak może za tymi miotanymi dzień po dniu coraz bardziej radykalnymi zapowiedziami odwetu, rozliczenia i kary tkwi racjonalny zamysł? Na czym miałby on polegać? Jest to zapewne forma zaspokojenia potrzeby społecznej znaczącej grupy antypisowskich wyborców. Stężenie nienawiści i frustracji musi być wśród nich tak duże, że politycy uważają, iż można na tym zbić kapitał. Kto zapowie surowszą i bardziej bezpardonowa rozprawę ze znienawidzonym PiS, ten ma szanse wysforować się na najbardziej wiarygodnego przywódcę opozycji. Niezależnie zatem od tego, czy groźby mogą zostać spełnione, spełniają swoją funkcję: pokazują, kto tu jest najmocniejszy i najtwardszy.

Jednak, i to jest prawdziwy problem głosicieli zemsty, zdobywanie kontroli nad własnym zapleczem szkodzi planom zwycięstwa nad PiS. „Będą siedzieć" to przekaz tylko dla najbardziej sfanatyzowanej grupy przeciwników obecnej władzy. Mówiąc tyle o zemście, wskazuje się na to, że w razie ewentualnego zwycięstwa wyborczego opozycji Polskę czeka wojna domowa. Przecież wyborcy PiS, nawet zakładając, że partia ta przegra, nie znikną nagle z powierzchni ziemi. Kto zatem ma dość wojny i awantury, ten powinien dwa razy się zastanowić: głosując na opozycję, kupuje w pakiecie odwet i walkę. Nie wydaje się to dobra oferta dla wyborców niepewnych, niezdecydowanych, niespecjalnie zaangażowanych politycznie i ideowo.

Drugim skutkiem gróźb musi być, paradoksalnie, mobilizacja władzy. O ile do tej pory po pewnym czasie następowały dekompozycja, zmęczenie, a nawet rozkład wśród rządzących, to teraz, wskutek zapowiedzi odwetu, zjawisko to występuje w PiS w mniejszym stopniu. O ile przegrana w wyborach nie jest niczym strasznym, o tyle perspektywa pójścia do więzienia już jest. Radykałowie opozycyjni mówią właśnie tyle: jeśli przegracie, to wsadzimy was do więzienia. Jeśli chcecie ocalić wolność, to musicie z nami znowu wygrać. To się nazywa podbicie stawki!

Na zdrowy rozum opozycja, gdyby chciała wygrać z PiS, powinna stosować dokładnie odwrotną taktykę. Raczej łagodzić przekaz, żeby przyciągnąć do siebie zniechęconych i jednocześnie pozwolić na rozwój naturalnych w każdym obozie rządzącym procesów deprawacji i uwiądu. Jednak zdrowy rozum opozycja straciła już dawno, dawno temu. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl ee82e2794e

TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA Z WOJCIECHEM CEJROWSKIM
POLSKA OPOZYCJA TO SŁUŻBY
Władzy raz zdobytej nie oddali w roku 1989 i rządzą do dziś

KRAJ

24 ŁUKASZ WARZECHA
NA ROZSTAJACH
Prezydent PiS czy samodzielny polityk?

28 ROZMOWA Z SENATOREM JAROSŁAWEM OBREMSKIM
PODPALANIE POLSKI

31 WOJCIECH WYBRANOWSKI
SPOKOJNIE JAK NAD WISŁĄ

34 PIOTR SEMKA
UKRAIŃSKI WĘZEŁ GORDYJSKI

36 KAMILA BARANOWSKA
PARADOKSY OPOZYCJI

38 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ZWROT BRUKSELSKI

40 ŁUKASZ ZBORALSKI
DMUCHANIE KIEROWCÓW

42 RADOSŁAW WOJTAS
POLITYCZNA ATLETYKA

KULTURA

44 PIOTR GOCIEK
BITWA O DYWIZJON 303
Nowe kino historyczne

47 ROZMOWA Z WANDĄ ZWINOGRODZKĄ
RYZYKOWNY EKSPERYMENT

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 FILIP MEMCHES
ABORCJA I WŁAŚCIWY CIEMNOGRÓD
Dlaczego odczłowieczają płód

HISTORIA

60 WALDEMAR ŁYSIAK
SIDNEY REILLY – AUTENTYCZNY JAMES BOND
Życie prawdziwego asa wywiadu

68 GRZEGORZ MAJCHRZAK
KRYPTONIM PODHALE

ŚWIAT

72 WITOLD REPETOWICZ
TURECKI PROBLEM
Europejscy wyborcy Erdoğana

76 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
DRUGA FALA SEKSUALNYCH SKANDALI

EKONOMIA

82 TOMASZ CUKIERNIK
NOWY BOJOWNIK
Michał Kołodziejczak na czele rolników

LATO „DO RZECZY"

88 JOANNA BOJAŃCZYK
WYTWORNE BATH
Pierwszy kurort nowożytnego świata

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
PŁUCO, CZYLI ŻYCIE
Onkologia

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (59), ZYCHOWICZ, KOPER (71), KOWALCZUK (80), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (92), TYRMAND (96), JASTRZĘBOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl ee82e2794e

ROAMER
OF SWITZERLAND

SWISS MATIC AUTOMATIC SAPPHIRE ANTI-REFLECTION CRYSTAL SWISS MADE SINCE 1888

eprasa.pl ee82e2794e

Drodzy Czytelnicy,

Dzisiaj fragment listu odnoszącego się do cytowanej na łamach „Do Rzeczy" wypowiedzi Magdaleny Środy oraz głos w sprawie wychowywania dzieci. Listy prosimy przesyłać na adres: listy@dorzeczy.pl lub pocztą tradycyjną.

„Kaczka orła nie pokona" – Paweł Lisicki, „DRz" 31/2018

Szanowny Panie Redaktorze, zacytowany przez Pana fragment wypowiedzi pani Magdaleny Środy (kiedyś poznanej przez moją rodzinę osobiście) – w szczególności dotyczący konieczności stworzenia obecnie Polski podziemnej – jest w najwyższym stopniu skandaliczny. [...]

Jest obrazą dla Polaków – dla rodzin żołnierzy państwa podziemnego, dla nas, którzy straciliśmy gros rodziny w walce o niepodległość Polski.

Wątpię, czy pani Magdalena Środa miała, tak jak moja i męża rodzina, zamordowanych wielu członków rodziny w II wojnie światowej przez trzech ludobójców naszej nacji: Niemców, Rosjan i ukraińskich nacjonalistów; czy jej cała rodzina, jak moja i męża, działała w prawdziwej Polsce podziemnej i traciła dla Polski życie i zdrowie; czy była, jak nasi bliscy, w Delegaturze Rządu na Kraj, w akcji „Żegota"; czy walczyła, jak nasze rodziny, w Armii Krajowej, w armii Andersa, w Batalionach Chłopskich, w Polskiej Organizacji Wojskowej; czy była więziona i katowana, jak nasi bliscy. [...] Czy pani Magdalena Środa miała cztery najbliższe osoby z rodziny w niemieckich obozach zagłady, a pięć najbliższych na listach katyńskich, czy jej bliscy zginęli w Powstaniu Warszawskim, czy członkowie jej rodziny siedzieli w więzieniach stalinowskich, czy byli w drugiej konspiracji?

Myślę, że powyższe przeżycia mojej i męża rodziny, a także ogromnej rzeszy społeczeństwa polskiego, nie były udziałem rodziny pani Magdaleny Środy.

Gdyby bowiem takie przeżycia były jej rodzinie nieobce, pani Magdalena Środa nie ośmieliłaby się „wycierać ust", aby nie powiedzieć dosadniej, martyrologią i walką rodzin polskich podczas II wojny światowej, hekatombą i koniecznością losową, jej zapewne nieznaną, walki o trwanie Polski, o przeżycie jej społeczeństwa i jej niepodległość aż do oddania dla niej życia własnego i swoich najbliższych. Nie mieści mi się w głowie, jak pani Magdalena Środa mogła ośmielić się brukać najtragiczniejsze doznania społeczeństwa polskiego, w tym nasze, po to, aby zwalczać przeciwników politycznych przez nią nieakceptowanych.

Pani Magdalena Środa, jak widać, nie orientuje się, w jakich dramatycznych okolicznościach wojennych, mordów na Polakach, totalnej zagłady, rozstrzeliwań, zamykania polskich szkół, zabierania podręczników szkolnych i radioodbiorników, polskich symboli narodowych, wywożenia do obozów zagłady i na natychmiastową egzekucję elity polskiej i polskich patriotów, powstała Polska podziemna. Gdzie tu pani Środa widzi paralelę? [...]

Z poważaniem
Bogna Lewtak-Baczyńska,
córka łączniczki Powstania Warszawskiego z batalionów „Parasol" i „Żubr" oraz partyzanta ZWZ AK, więźnia Zamku Lubelskiego, obozów zagłady KL Auschwitz, KL Mauthausen

„Klaps z ideologią" – Łukasz Warzecha, „DRz" 32/2018

Szanowny Panie Redaktorze, korzystając z okazji, jaką jest artykuł o władzy rodzicielskiej, chciałabym zwrócić uwagę, że nauczyciele, którzy przecież opiekują się dziećmi w szkole i w przedszkolu podczas nieobecności rodziców, potrzebują także przyznania im pewnej władzy nad dziećmi. Właściwie każda starsza osoba ma swój autorytet, który należy uszanować, zwłaszcza przez osoby młodsze, a więc też dzieci.

A jeśli nauczyciele nie mają władzy lub ograniczoną bardzo, to kto rządzi? Tak jest teraz – nauczyciel nie może dotknąć uczennicy, nauczycielka – ucznia; pod zarzutem molestowania.

Jeśli dziecko nie ponosi odpowiednich konsekwencji za swoje zachowanie, a odpowiadają rodzice, to nie jest to sprawiedliwe ani dobre. Nauczyciele nie protestują, bo przyjęli, że prawa dziecka są ważniejsze niż tradycyjna pedagogika.

Może warto podjąć o tym dyskusję? Prosiłabym o to.

Z poważaniem
Irena Sergiej-Monkiewicz

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Marta Bensalem, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Józef Szymura dla W. Cejrowski Ltd**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
FIRMA RODZINNA POLSKA WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 88,5 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl ee82e2794e

Rekordowe wyniki Huty Stalowa Wola

Huta Stalowa Wola na kilka tygodni przed terminem zakończyła pierwszy etap programu Regina. To największy w historii polskiej zbrojeniówki kontrakt na dostawy sprzętu produkowanego przez polski przemysł

Huta Stalowa Wola w tym roku obchodzi jubileusz 80-lecia istnienia. Zbudowane zakłady były jednym z kluczowych elementów powstałego tuż przed II wojną światową Centralnego Okręgu Przemysłowego. Obok infrastruktury przemysłowej na terenach Puszczy Sandomierskiej powstało osiedle pracownicze, któremu nadano nazwę Stalowa Wola.

Spółka Huta Stalowa Wola – wchodząca w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej – realizuje największy w historii polskiego przemysłu obronnego kontrakt na dostawy sprzętu pancernego dla wojsk artyleryjskich: w ramach programu Regina dostarczy 4 dywizjonowe moduły ogniowe za 4,5 mld zł. Pierwszy etap programu Huta Stalowa Wola zakończyła na kilka tygodni przed terminem.

Przyspieszona realizacja tej części kontraktu oraz realizowany od 2016 r. plan poprawy efektywności spowodowały, że HSW zamknęła pierwsze półrocze 2018 r. z wynikiem o kilka milionów złotych lepszym, niż zakładał plan. Osiągnęła również radykalnie lepszy wynik niż w I półroczu 2017 r. A przecież wyniki za 2017 r. były najlepsze od lat 90.: przy rekordowych przychodach sięgających aż 560 mln zł spółka pochwaliła się 14 mln zł zysku netto.

Każdy z modułów ogniowych Regina składa się z 24 armatohaubic Krab kalibru 155 mm. Są one przeznaczone do obezwładniania i niszczenia baterii artylerii i artylerii rakietowej, stanowisk dowodzenia, węzłów łączności i umocnień terenowych, pododdziałów czołgów zmechanizowanych i zmotoryzowanych we wszystkich położeniach i rodzajach działań bojowych, środków pancernych i opancerzonych w głębi ugrupowań przeciwnika. Zasięg haubicy to 40 km.

Oprócz Krabów Huta Stalowa Wola dostarcza również polskim Siłom Zbrojnym samobieżne moździerze Rak kalibru 120 mm, a także prowadzi prace nad projektem nowego bojowego wozu piechoty Borsuk. Zakłady ze Stalowej Woli będą również zaangażowane w realizowany wraz z USA program obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej Wisła. Będzie tu powstawać podstawowa część systemu – wyrzutnie M903.

HSW zwiększa swoje moce produkcyjne i inwestuje. Spółka zakończyła właśnie budowę nowej hali produkcyjnej o powierzchni 3,5 tys. mkw. Staną w niej supernowoczesne, w pełni zautomatyzowane urządzenia spawalnicze oraz laboratorium badań RTG z największą w Polsce komorą do prześwietleń wielkogabarytowych konstrukcji spawanych. Będzie to największy w kraju oraz jeden z największych w Europie obiektów tego typu.

Rozwój zaplecza technologicznego idzie w parze z fachową wiedzą i doświadczeniem załogi. Od początku 2018 r. spółka zatrudniła ponad 50 nowych pracowników i planuje przyjąć kilkudziesięciu kolejnych. Huta poszukuje ślusarzy, frezerów, lakierników, spawaczy, tokarzy, praserów, taserów, operatorów, technologów i konstruktorów, a także specjalistów ds. kontroli wewnętrznej i logistyków. Na pracę mają szansę również osoby specjalizujące się m.in. w sprzedaży, zakupach, marketingu, zarządzaniu projektami, informatyce, zarządzaniu zasobami ludzkimi, inwestycjach oraz ochronie środowiska.

Obecnie w Hucie Stalowa Wola pracuje ponad 760 osób. Plany spółki zakładają wzrost zatrudnienia również w kolejnych latach.

Centralny Okręg Przemysłowy powstał w wyniku strategicznych decyzji rządu polskiego, przede wszystkim inicjatywy ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego. W latach 1937–1939 powstały m.in. Zakłady Południowe wraz z miastem Stalowa Wola, zakłady w Rzeszowie, Dębicy, Sanoku, Radomiu, Starachowicach, Kraśniku, Jawidzu pod Lubartowem, Nowej Dębie czy Mielcu. Rozpoczęto także budowę elektrowni wodnych na Dunajcu, Sole oraz Sanie.

Projekt Centralnego Okręgu Przemysłowego obok wymiaru strategicznego i ekonomicznego miał swój wymiar społeczny. Zakłady COP zapewniły pracę na terenach dotkniętych największym bezrobociem, a budowa infrastruktury towarzyszącej podniosła poziom cywilizacyjny tych terenów. Na rozwój COP przeznaczono w latach 1937–1939 około 60 proc. całości wydatków inwestycyjnych państwa.

eprasa.pl ee82e2794e

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Zapomniana rocznica

Ten pożółkły numer „Gazety Wyborczej" wpadł mi w ręce przy wyrzucaniu dawnych szpargałów. Numer z 5 czerwca 1993 r. donosił o demonstracji dzień wcześniej, w rocznicę obalenia rządu Jana Olszewskiego. Protestujący domagali się wznowienia lustracji i zostali brutalnie spałowani przez policję. Na dużym zdjęciu w dodatku stołecznym – zdjęcie demonstranta, który duszony jest chwytem, tzw. nelsonem, i podpis: „Policjant obezwładnia uczestnika demonstracji antyprezydenckiej". W noc przed demonstracją agenci UOP otrzymali rozkaz zrywania na mieście plakatów o planowanym proteście.

W kolejnych numerach „Wyborczej" o zasadności pałowania demonstracji dyskutowali Konstanty Gebert i Helena Łuczywo, ówczesna wiceszefowa „GW". Gebert pisał, że choć „demonstracja nie różniła się od innych przemarszów nienawiści", to jednak użycie pałek to niedobra oznaka, że „nerwy puszczają".

Łuczywo, polemizując z Gebertem, broniła opinii publicysty Ernesta Skalskiego, który nazwał demonstrantów „motłochem". Jak pisała: „Słownik języka polskiego PWN tak definiuje motłoch: tłum ludzi zachowujących się niekulturalnie, wywołujących awantury, hołota. Zgadzam się z Ernestem Skalskim. To był agresywny motłoch". Czytając tych parę numerów pożółkłych egzemplarzy „GW", przypomniałem sobie, jak salon zapatrywał się na swobodę demonstracji, gdy miał pełnię władzy.

Prawica nie dba o przypominanie swych burzliwych losów z lat 90. A przecież w tym roku obchodzimy 25 lat od akcji, która przeszła do historii jako inwigilacja prawicy. To nie było tylko pałowanie demonstracji 4 czerwca 1993 r., lecz także cała sekwencja prowokacji i niewyjaśnionych do dziś wydarzeń. To czasy działalności grupy płk. Jana Lesiaka, w ramach której próbowano kompromitować Jarosława Kaczyńskiego, to epoka uwięzienia Wojciecha Dobrzyńskiego z PC i skandalu z instrukcją 0015 nakazującą inwigilację legalnych partii opozycyjnych.

Wszystko to działo się za aprobatą prezydenta Lecha Wałęsy i ówczesnej premier Hanny Suchockiej.

Czy ktoś z zachodnich dziennikarzy w Polsce zainteresował się sprawą? Bynajmniej. W pamięci utkwiła mi wypowiedź ówczesnego korespondenta „Newsweeka" Andrew Nagorskiego, który wręcz chlubił się, że nie będzie pisał do swojego amerykańskiego tygodnika o pałowaniu demonstrantów 4 czerwca 1993 r., bo nie będzie nagłaśniał ich działalności. Ponurą puentą tej całej historii było to, że niedługo po odwołaniu rządu Hanny Suchockiej jego szefowa została reprezentantem Polski w Komisji Weneckiej. Tej samej, która dziś tak troszczy się stanem praworządności nad Wisłą. A Lech Wałęsa, który patronował wówczas służbom specjalnym i firmował nielegalne działania, np. grabież części akt „Bolka", dziś kreowany jest na obrońcę praworządności.

Milczały komitety helsińskie i Amnesty International. Nie pamiętam, aby w sprawie inwigilacji prawicy zabierał głos rzecznik praw obywatelskich. Żadnych obaw o przyszłość Polski nie mieli wtedy ani aktorzy, ani znani intelektualiści. Zachodnie media nie zauważały sprawy, a ówczesna szefowa Trybunału Konstytucyjnego RFN milczała.

Jak myślicie, dlaczego dziś jest inaczej? ©℗

FOT. RAFAŁ GUZ/FORUM

NIE ŻYJE GEN. ŚCIBOR-RYLSKI

Bohater wojenny oraz prezes Związku Powstańców Warszawskich urodził się 10 marca 1917 r. w Browkach w polskiej rodzinie szlacheckiej herbu Ostoja. W 1939 r. ukończył Szkołę Podchorążych Lotnictwa w Warszawie. Walczył m.in. pod Mrozami, Łęczną, Adamowem i Kockiem. W 1944 r. walczył m.in. jako dowódca kompanii „Motyl". W Powstaniu Warszawskim pełnił funkcję zastępcy dowódcy Batalionu „Czata 49" w Zgrupowaniu „Radosław". Generał Zbigniew Ścibor-Rylski zmarł 3 sierpnia. Miał 101 lat. ***(jap)*** ©℗

MOLESTATOR SKAZANY

Wiesław P., były dyrektor Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 3 we Włoszczowie i były radny PSL, został skazany na karę 11 miesięcy więzienia w zawieszeniu na dwa lata za „inne czyny seksualne", których w latach 2008–2013 miał dopuszczać się wobec dwóch pracownic internatu. Po publikacji „Do Rzeczy" sprawą uniewinnionego w 2016 r. P. zajął się rzecznik praw obywatelskich dr Adam Bodnar oraz wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki, a sąd w Kielcach nakazał ponowne rozpoznanie sprawy. ***(ww)*** ©℗

eprasa.pl ee82e2794e

Odeszła do historii

Urodziła się i zmarła w Krakowie. Odeszła tragicznie w upalny poniedziałek 30 lipca 2018 r. Profesor Maria Dzielska – bo o niej mowa – należała do najczęściej cytowanych oraz tłumaczonych za granicą polskich historyków. Była również filologiem klasycznym, wykładowczynią Uniwersytetu Jagiellońskiego, wyspecjalizowaną w historii późnego Cesarstwa Rzymskiego i wczesnego Bizancjum.

W uroczystościach pogrzebowych, które odbyły się 6 sierpnia w kościele Sióstr Norbertanek na krakowskim Salwatorze oprócz rodziny i krewnych wzięli udział przedstawiciele władz państwowych. Obecni byli m.in. prezydent Andrzej Duda, premier Mateusz Morawiecki, prezes PiS Jarosław Kaczyński oraz wicepremierzy: Beata Szydło i Jarosław Gowin.

Profesor Maria Dzielska została uhonorowana pośmiertnie Orderem Orła Białego „w uznaniu znamienitych zasług w popularyzowaniu dziedzictwa kulturowego i wiedzy historycznej, za wybitne osiągnięcia w pracy naukowo-badawczej oraz działalność publiczną". – Przyniosła Rzeczypospolitej Polskiej, co chcę z całą mocą podkreślić, najwięcej sławy ze wszystkich polskich historyków – stwierdził prezydent, uzasadniając swoją decyzję.

Maria Dzielska nie ograniczała się w swojej pracy jedynie do aktywności akademickiej – najpierw na Uniwersytecie Łódzkim, a później w Alma Mater Jagellonica. Była znakomitą popularyzatorką nauki, występującą m.in. w programach Telewizji Polskiej, takich jak „Ogród sztuk" czy „Rozmowy istotne". Intensywnie działała również na gruncie społecznym i badawczym, pełniąc funkcje członka Komitetu Nauk o Kulturze PAN, wiceprzewodniczącej Rady Naukowej Związku Podhalan, zastępcy przewodniczącego Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa czy aktywnego członka seminariów naukowych pod patronatem prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Lucieniu. Udzielała się również w Akademickim Klubie Obywatelskim im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Krakowie.

– Profesor Maria Dzielska służyła sprawie, którą najkrócej można określić po prostu Polska. Służyła Polsce, bo była polską patriotką – powiedział na pogrzebie prof. Dzielskiej Jarosław Kaczyński. – Chciałem przede wszystkim pani profesor podziękować. O jej niezwykłych zasługach odnoszących się do jej pracy, do nauki, o jej zasługach w życiu społecznym tutaj już wiele mówiono. Ja mam zaszczyt reprezentować tutaj środowisko, które dzisiaj jest przy władzy w Polsce. A które było przez panią profesor wspierane. Wspierane na różne sposoby. Wspierane także wtedy, kiedy znajdowało się w wyjątkowo trudnej sytuacji, w opozycji, kiedy było atakowane; atakowane jest zresztą i dzisiaj – dodał prezes PiS.

FOT. SIMONA SUPINO/FORUM

W rozmowie z „Do Rzeczy" prof. Marek Kornat z Polskiej Akademii Nauk stwierdził, że Maria Dzielska była osobą silnie wierzącą i niezwykle oddaną Kościołowi. – Uznawała chrześcijaństwo za przełomowy moment w historii ludzkości. Była również żywo obecna na arenie międzynarodowej, czyli na polu, na którym polska historiografia szwankuje. Uprawiała dziedzinę w Polsce rzadko praktykowaną, specjalizowała się w starożytności, a to nie jest historiografia XX w., która pasjonuje tłumy – i dodał, że na tym polu zasłużyła na wielkie uznanie.

Prywatnie prof. Maria Dzielska była spokrewniona z gen. Józefem Hallerem, a jej drugim mężem był Mirosław Dzielski – filozof oraz twórca liberalizmu chrześcijańskiego. W latach 80. była aktywnie zaangażowana w działalność opozycji antykomunistycznej. Będzie jej w polskiej nauce bardzo brakowało. ©℗

Marcin Makowski

Z wielkim żalem przyjąłem wiadomość o śmierci wybitnej polskiej uczonej

ŚP.

Profesor Marii Dzielskiej

historyka starożytności, filologa klasycznego i tłumacza tekstów źródłowych, wykładowcy Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Współpracowała z Ministerstwem Nauki i Szkolnictwa Wyższego, zasiadała w Radzie Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki.

Była Człowiekiem niezwykłej dociekliwości naukowej, odwagi i prawości. Dla mnie osobiście – wielkim Autorytetem.

Rodzinie składam wyrazy najgłębszego współczucia

Jarosław Gowin,
Wiceprezes Rady Ministrów,
Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Dorocie Skrzypek

wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia w trudnych chwilach po śmierci

ŚP.

Mamy

przekazują przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy"

eprasa.pl ee82e2794e

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Melanż na Łesterplejt

Gdyby o obronie Westerplatte informowały „Fakty" TVN, zapewne byłoby to mniej więcej coś takiego: „W pierwszych dniach września stacjonująca tu polska kompania wartownicza strzałami z ukrycia zabiła kilkuset gdańszczan, głównie cywilów, policjantów i aktywistów organizacji młodzieżowych; Polacy otworzyli także ogień do niemieckich marynarzy i żołnierzy, którzy pośpieszyli ostrzelanym gdańszczanom z pomocą". Niby żart, ale naprawdę nie zdziwię się, jeśli taka narracja – w końcu oparta na faktach – pojawi się na obchodach organizowanych przez prezydenta Gdańska. Pan prezydent Adamowicz chce bowiem, aby rocznica 1 września nabrała nowego wymiaru. Żeby zamiast rocznicą wojskową i martyrologiczną stała się okazją do spotkania młodzieży. I żeby ta młodzież zamiast dotychczasowego promowania polonocentrycznej wizji II wojny światowej otwierała się na wrażliwość wszystkich uczestników wspólnej tragedii.

Biedni żołnierze z Westerplatte zostali przez prezydenta Gdańska zapisani do PiS

Wszystko to wynika z pisma, które prezydent Gdańska, znany nie tylko z pasji do kolekcjonowania nieruchomości i kont bankowych, lecz także zamiłowania do tradycji tegoż Freie Stadt Danzig, którego freikorpsy zaatakowały w 1939 r. polską składnicę tranzytową, wystosował do dowódcy miejscowego garnizonu Wojska Polskiego. W piśmie tym pan Adamowicz stwierdza, że wojsko nie pasuje mu do zaplanowanego, młodzieżowego charakteru imprezy, więc nie życzy sobie wojskowej asysty i ceremoniału, zorganizuje swoją – harcerską.

Gdy list ujawniono, pan Adamowicz narobił krzyku, że PiS próbuje skłócić Polaków z Niemcami, uważa gdańszczan za ludzi gorszego sortu i że domaga się przeprosin.

Kiedy kilka lat temu słyszałem o uczennicy skarżącej się rodzicom, że kazali się jej uczyć na pamięć wiersza Gałczyńskiego o jakichś – z angielska – „żołnierzach z Łesterplejt", nie przyszło mi do głowy, że to jutrzenka nowego podejścia do historii, które niebawem podchwyci prezydent Gdańska. Biedni żołnierze z Westerplatte zostali przez pana Adamowicza zapisani do PiS. A dla takich nie ma miejsca na uroczystościach organizowanych w duchu „nowoczesnym i europejskim". ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Co za dużo...

Wygląda na to, że informacja o planach zwiększenia finansowego wsparcia dla rodzin z „500+" na „1000+" była albo dziennikarską kaczką, albo też sondażowym balonem próbnym wrzuconym przez partię z Nowogrodzkiej do mediów i szybko zdementowanym. I bardzo dobrze.

Żeby była jasność. Program „500+" uważam za najlepszy od wojny projekt, bynajmniej nie socjalny, ale rozwojowy. Pozwala rodzinom z tzw. niższej warstwy klasy średniej na rozwój, edukację i wsparcie zainteresowań dzieci: kursy, książki, obozy, a w efekcie – na awans społeczny, ekonomiczny i docelowo także intelektualny. W dodatku nie sprawdziły się spekulacje liberalnych ekonomistów straszących zawaleniem budżetu ani trele-morele lewicowych publicystów opowiadających, jak to za nasze pieniądze będzie balować „patologia". Problem z rodzinami patologicznymi jest w tym przypadku pod w miarę dobrą kontrolą, te, które wolały pieniądze wydać na wódę zamiast na dzieci, teraz dostają bony rzeczowe, a te przepić jest znacznie trudniej.

Jestem gorącym zwolennikiem „500+", ale też zdecydowanym przeciwnikiem zwiększania go do „1000+". Abstrahując od kwestii budżetowego obciążenia, dwukrotny wzrost finansowego wsparcia zabiłby projekt, sprowadzając go do socjalnego „zamiast".

500-złotowa pomoc finansowa daje posmakować nieco lepszego życia, ale tylko posmakować, nakłaniając do dalszego rozwoju. O ile 500-złotowe wsparcie to dla wielu rodzin kwota pozwalająca kupić dzieciom wędkę i nauczyć je, jak się łowi ryby, o tyle dla równie wielu – pamiętajmy o smutnych doświadczeniach PGR lat 90. – stałoby się nie tyle wędką, ile siatką pełną ryb. A skoro ryby już są, to po co uczyć dzieci je łowić? ©℗

eprasa.pl ee82e2794e

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Hubert H. i Miś Uszatek

Czy pamiętają państwo Huberta H.? Był to kloszard, który 13 lat temu miał publicznie, podczas sprzeczki z policjantami na Dworcu Centralnym w Warszawie, znieważyć prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Policjanci, zamiast odwieźć pijaczka do izby wytrzeźwień, uruchomili machinę wymiaru sprawiedliwości – zgodnie z art. 135 par. 2 Kodeksu karnego (publiczne znieważenie głowy państwa). Zrobił się wielki medialny raban, w wyniku którego najbardziej poszkodowany został oczywiście prezydent. Lech Kaczyński o sprawie nie miał zielonego pojęcia, tymczasem przedstawiono go jako mściwego satrapę, który doprowadza do postawienia przed sądem drobnego menela.

Zakładanie pomnikowi Misia Uszatka koszulki nie jest jego demolowaniem

Pisałem wtedy, że sprawa jest sabotażem kogoś w prokuraturze, kto bardzo nie lubi prezydenta. Do tej pory uważam, że to najbardziej prawdopodobne. Druga możliwość była taka, że trafiło na jakiegoś bezmyślnego nadgorliwca. Tak czy owak, ówczesnej władzy przyniosło to dużo szkody, a żadnego pożytku.

Przypomina mi się ta historia, gdy obserwuję walkę naszych dzielnych służb z ludźmi dekorującymi pomniki koszulkami z napisem „Konstytucja". Przy czym sytuacja jest poważniejsza niż w roku 2005. Rządzący PiS niektórymi posunięciami (np. ustawą o IPN) zadbał, żeby podeprzeć kolportowaną za granicą przez opozycję legendę o rządzie tłamszącym wolność słowa. Nie mamy też do czynienia z jednym incydentem, ale jednak z działaniem dość systematycznym: wchodzeniem policji do domów wczesnym rankiem, zatrzymaniami, przesłuchaniami. I nie chodzi o przypadkowego pijaczka, ale o ludzi, którzy deklarują sprzeciw wobec obecnej władzy.

Podobnie jak w 2005 r. i dziś powiedziałbym, że sprawia to wrażenie sabotażu. Tak jakby ktoś się uparł, żeby dowieść, że PiS naprawdę szykanuje sympatyków opozycji za bzdury. Zakładanie pomnikowi Misia Uszatka koszulki nie jest jego demolowaniem. To rodzaj politycznego happeningu – jakkolwiek byśmy oceniali jego treść, przecież nieszkodliwego. Lepsze chyba to niż szarpaniny pod Sejmem. Po co ktoś – ufam, że nie jest to sam minister spraw wewnętrznych – wytacza przeciwko autorom takich akcji ciężkie działa? Jak 13 lat temu: albo chce zaszkodzić rządzącym, albo jest bezmyślnie nadgorliwy. Dzisiaj zakładam, że obie wersje są równie prawdopodobne.

Niezależnie od tego, która jest prawdziwa, ktoś powinien pójść po rozum do głowy i tę komedię zakończyć, zanim będzie ją można pokazywać w Brukseli jako całkiem już konkretny dowód na polityczne nękania. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Uwolnić balkony

Skąd tak niska frekwencja pod sądami? Dlaczego polscy muzycy nie śpiewają o konstytucji? – zastanawia się opozycja. Oddajmy zatem głos Rafałowi Ziemkiewiczowi: „Za spalenie kukły z pejsami – pół roku bezwzględnego więzienia. Za opisanie w gazecie korupcji w Sopocie – grzywna 50 tys. Za rozjechanie staruszki na pasach bez prawa jazdy, papierów samochodu etc. – grzywna 6 tys. Żeby bronić tych sądów, trzeba mieć czerwony kisiel zamiast mózgu".

Rafał odniósł się tym samym do głośnej sprawy znanego dziennikarza Piotra N., prowadzącego w TOK FM audycję pt.: „Prawda nas zaboli". „Dzieci w przedszkolu mojej młodszej siostrzyczki ułożyły taki wierszyk. To pokolenie zakończy wszechwładzę PiS! »Żeby Piotrek mógł na luzie wciąż rozjeżdżać stare baby, brońmy wszyscy wolnych sądów od Bugu aż hen do Łaby«" – napisał ironicznie Tomie Kawakami. Na razie prawda (ani wyrok) Piotra N. specjalnie nie zabolały.

I nawet jeśli kara jest niska, z obroną sądownictwa w blokach startowych czekają już niezależne media. „Ci, którzy plotą o dwóch stronach sporu, są nawet gorsi od PiS-u. Po jakich stronach? Po jednej są przepisy prawa, umowa społeczna, świat wartości, symboli, porządku konstytucyjnego, a po drugiej rozbestwiony anarchizm władzy, pycha barbarzyńców, bezwstyd uzurpatorów i bezprawie" – zawyrokował Przemysław Szubartowicz.

À propos pychy, czas na tweet Jacka Nizinkiewicza. „W TVP Info... rysownik kategorycznie wypowiada się nt. Sądu Najwyższego. #wieszmniej" – napisał dziennikarz „Rzepy". „Jacku, w TVN24 w tej samej kwestii wypowiadał się kilka dni temu... gitarzysta bez matury. Dasz wiarę? Nic nie protestowałeś" – odpowiedział mu jeden z internautów. Na tym, niestety, dyskusja się zakończyła.

„Dziękuję wszystkim, którzy są codziennie pod Sądem Najwyższym i wszystkim, którzy ubierają pomniki w koszulki z napisem »Konstytucja«. Dziękuję, że chodzicie na demonstracje, narażając się na bicie i przesłuchania" – zagrzewała do boju Eliza Michalik. „W geście solidarności ubrałam okno. Joachim Brudziński wszystkich nas nie zamknie" – napisała jedna z internautek. Zdjęcie z hasztagiem „#WolneBalkony" udostępnił dalej Bartosz Arłukowicz. Jeśli PiS chce w taki upał zamykać balkony, to też biegnę pod Sąd Najwyższy. ©℗

eprasa.pl ee82e2794e

eprasa.pl ee82e27946

POLACY MIOTAJĄ NAJLEPIEJ

27-letnia Paulina Guba (na zdjęciu) zdobyła w Berlinie złoty medal lekkoatletycznych mistrzostw Europy w pchnięciu kulą, uzyskując wynik 19,33. To tym większe osiągnięcie, że to dopiero drugi medal dla Polski w historii tej konkurencji w mistrzostwach kontynentu – ostatni raz brąz w pchnięciu kulą przywiozła z mistrzostw Europy w Wiedniu Wanda Flakowicz w... 1938 r. Guba zbliżyła się też do wyniku ustanowionego w 1976 r. przez Ludwikę Chewińską, który wynosi 19,58 i jest obecnie najstarszym rekordem Polski.

Fantastyczni biało-czerwoni lekkoatleci podczas mistrzostw w Berlinie wywalczyli jeszcze dwa złote medale: Michał Haratyk został mistrzem Europy w pchnięciu kulą, a Wojciech Nowicki wywalczył złoty krążek w konkursie rzutu młotem.

Srebrne medale przywieźli z Berlina Paweł Fajdek (w rzucie młotem) oraz Konrad Bukowiecki (w pchnięciu kulą). Niewykluczone, że Polacy zdobyli jeszcze więcej krążków, w piątek – już po zamknięciu tego wydania „Do Rzeczy" – startowało bowiem jeszcze kilku znakomitych polskich zawodników. ©℗ ***(jap)***

FOT. ALEKSANDRA SZMIGIEL/REPORTER

eprasa.pl:ce82e2794e

FOT. PAWEŁ GROMADA

NAWRACANIE NA PLANIE

Aktorka Małgorzata Kożuchowska w wywiadzie dla „Zwierciadła" mówi, że w środowisku filmowym, w którym się obraca, jest często postrzegana przez pryzmat swojej religijności, z którą się nie kryje. – Mówią o mnie „katolka". To znaczy sekciara. Czyli że co? Wiara w Boga czyni cię sekciarzem? Co to w ogóle oznacza w odniesieniu do aktora? Traktuje się mnie inaczej, bo chodzę w niedzielę do kościoła? To ma mnie dyskwalifikować? Co to ma w ogóle wspólnego z zawodem, jaki wykonuję? Nie wiem, może ktoś się obawia, że zacznę na planie nauczać albo nawracać? – zastanawia się Kożuchowska. Albo zachowywać się przyzwoicie i uczciwie. To w tej branży absolutnie niewybaczalne!

KRYSZTAŁOWE ŻYRANDOLE

Sara Boruc, żona byłego bramkarza Artura Boruca, udzieliła wywiadu jednemu z blogerów. W wywiadzie opowiada o tym, jak bardzo różni się od innych sławnych żon i partnerek piłkarzy i jak bardzo nie zależy jej na sławie i popularności. W przeciwieństwie do innych dziewczyn, zwłaszcza tych młodych, które dopiero wchodzą w świat show-biznesu. – Jest dużo dziewczyn, które jeszcze szukają swojej drogi, nie wiedzą za bardzo, co chciałyby robić. [...] Rozumiem to, bo też tam byłam te 10 czy 12 lat temu, ale nie pchałam się do wywiadów, sesji zdjęciowych i okładek. Uważałam, że nie jestem na tyle interesująca, nawet jeśli pojawiały się takie propozycje – mówi Sara. – Zresztą do tej pory nie zrobiliśmy z Arturem żadnej wspólnej sesji i wywiadu do kolorowych pism. Uważam to za słabe i nie chcę opowiadać o naszym życiu, miłości i o tym, co robimy w łóżku, bo nie ukrywajmy, do tego to się sprowadza. Do tego te infantylne sesje zdjęciowe w nie swoich domach, z kryształowymi żyrandolami, marmurami... My tak nie żyjemy – dodaje. Coś czujemy, że Sara właśnie straciła kilka koleżanek. I zyskała kilka propozycji wywiadów i sesji od kolorowych pism. Same plusy!

SUKCES NA MIARĘ MOŻLIWOŚCI

Wielki przełom w życiu Małgorzaty Rozenek-Majdan. Otóż Lady Małgorzata ma nowe doczepy! Dla niewtajemniczonych to sztuczne pasma włosów, które mają sprawiać wrażenie, że kobieta ma więcej włosów, niż ma w rzeczywistości. Zwykle wygląda to dość paskudnie, bo sztuczne włosy biją po oczach na odległość. Dlatego Rozenek postanowiła zainwestować w takie, które będą prawie idealnie przypominać jej naturalne włosy. Całym przedsięwzięciem pochwaliła się wraz ze swoim fryzjerem na Instagramie. – Pracowaliśmy nad tym pięć miesięcy, ale dla takiego projektu warto! Specjalnie ściągaliśmy maszynę do produkcji takich dopinek. Warto, jak widać. Pierwsi w Europie będziemy mieć metodę modułową Invisible Extensions. Co o tym myślicie? – napisał na swoim profilu Kajetan Góra, fryzjer. – Jesteś niesamowity. Warto było siedzieć do trzeciej w nocy – pisze zachwycona Rozenek. Cieszymy się szczęściem Małgorzaty i serdecznie gratulujemy jej tego sukcesu! Teraz czas na nowe, niesamowite paznokcie! To dopiero wyzwanie! Nie możemy się doczekać relacji!

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/EAST NEWS

AFERA SZKOLNA

Jest afera. Blogerka modowa Macademian Girl w wywiadzie dla telewizji śniadaniowej wyznała, że miała w szkole kolegę, który ją nękał, a który dziś jest „działaczem skrajnie prawicowej partii". – Zaczęło się od traktowania jak powietrze, wykluczania. Byłam jedynym dzieckiem niezapraszanym na klasowe urodziny. Potem przeszło do agresji słownej. Pojawiły się wyzwiska... A skończyło się przemocą fizyczną. Bywały takie dni, że cała klasa czeka na mnie pod szkołą po zajęciach po to tylko, żeby mnie zaatakować, przewrócić, kopnąć. I są to bardzo, bardzo trudne wspomnienia – opowiadała. Śledztwo w tej sprawie przeprowadził Jan Śpiewak, działacz miejski i kandydat na prezydenta Warszawy, i wyszło mu, że dręczycielem szafiarki był Dariusz Matecki, który dziś wspiera kandydata Zjednoczonej Prawicy na prezydenta stolicy, Patryka Jakiego. Sam Matecki przyznał, że chodził do klasy z Macademian Girl. – Chodziłem z nią do jednej klasy 13 lat (bo nawet do zerówki), nigdy za nią nie przepadałem, mając 10 lat jako dziecko powiedziałem kilka słów za dużo, przeprosiłem. Po 20 latach wyciąga coś takiego i robi z siebie ofiarę „prześladowań", może wstawić zdjęcia z podstawówki? – odpowiada Matecki. I wstawia na Facebooka zdjęcia z imprez u siebie w domu, na których bywała blogerka. Do nękania się nie przyznaje. Zapowiedział pozew. Przerąbane! Teraz, idąc do polityki, trzeba robić rachunek sumienia do przedszkola włącznie. Bo jak ktoś dotrze do porachunków z piaskownicy, to koniec. Po czymś takim żaden polityk się nie podniesie. ©℗

eprasa.pl ee82e2794e

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nasz modny Kraków odwiedza w tym roku wielu turystów ze świata i z Europy, widzimy jednak pewną niepokojącą zmianę. Otósh w tym roku turyści z zagranicy poruszają się po mieście znacznie lękliwiej, rozglądają się na boki i sprawdzają, czy nie chodzą za nimi tajne służby.

Rzeczywiście czasem nam się wydaje, iż na jednego turystę przypada obecnie przynajmniej dwóch agentów w długich skórzanych płaszczach. Co prawda obecnie ich nie widać, pewnie przez te upały, ale mamy takie poczucie, iż tak się dzieje.

Przez to żaden z zagranicznych turystów nie może wznosić okrzyków poparcia dla demokracji i konstytucji. Widzimy w ich oczach często potrzebę zamanifestowania swojego poparcia dla demokracji w tym kraju, ale są oni niestety na tyle zaszczuci, iż się boją. Dobrze, że Roger Waters się nie bał, ale pewnie już więcej do tego kraju nie przyjedzie :(

Wogóle to beka z tym referendum konstytucyjnym. Tak to jest, jak się coraz więcej amatorów pcha do zabawy. Szkoda tylko, iż nas się nikt nie zapytał o zdanie, bo mamy swój własny pomysł na pytania referendalne o to, w którym kierunku powinien pójść ten kraj.

Beka z tym referendum konstytucyjnym.
Tak to jest, jak się coraz więcej amatorów pcha do zabawy

1) Czy jesteś za konstytucyjną zasadą „towar prawem nie towarem"?
a) tak
b) nie
c) nie wiem

2) Co chciałbyś/chciałabyś/chciałobyś znieść ustawą?
a) ubóstwo
b) podkarpacie
c) katofashysm

3) Co chciałbyś/chciałabyś/chciałobyś zagwarantować ustawą?
a) 1000 euro na każdą osobę LGBTQWERTY w kolektywie
b) 35-godzinny rok pracy
c) bogactwo i dostatek
d) darmowe wszystko
e) offowy festiwal w każdym mieście
f) dostęp do ślubu kościelnego dla osób spoza Kościoła
g) konstytucję
h) demokrację

Sami widzicie, że nasza wizja państwa, wynikająca z pytań, jest spójna. Of kors o członkostwo w Unii nie pytamy, iż z naszych analiz 120 proc. kolektywu to popiera, więc nie ma sensu pytać.

Piłkarz Łukasz Piszczek zrezygnował z gry w reprezentacji tego kraju.

Nie orientujecie się, czy to nie jest może jakiś akt protestu w stylu: nie mogę grać w piłkę w kraju, w którym łamana jest konstytucja, demokracja, nie ma wolnych mediów i wolności zgromadzeń?

Może udałoby się przeprowadzić taki wywód albo jakiś zmyślony wywiad z Piszczkiem? Czy ktoś się tego podejmie, jak myślicie? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl ee82e2794e

dwaj panowie g

Najstraszniejszą karę za niechęć do tworzenia jednej wielkiej antypisowskiej koalicji już w wyborach do europarlamentu poniósł Peezel. Chwilowo nie dostaje zaproszeń do tefauenu

No i będzie weto. Prezydent Andrzej Sebastian uwali nową ordynację do europarlamentu. Najciekawsze jest to, że wiewiórki z Peezelu mówiły nam o tym już na początku ubiegłego tygodnia. Czyli nie tylko zanim jeszcze Andrzej Sebastian udzielił wywiadu, w którym dopuszczał taką możliwość, lecz także zanim Władek Kosiniak-Kamysz wystąpił z oficjalnym apelem o uwalenie. Znaczy nieformalny blok kukistyczno-ludowo-dudowy jednak działa.

Jesteśmy rozdarci w związku z wetem. Z jednej strony kibicujemy maluchom, z drugiej rozumiemy ból serca Kaczora Dyktatora. Teraz bowiem zamiast planowanych trzydziestu kilku europosłów PiS znów będzie miał ich ze dwudziestu, co mocno utrudni budowanie w Strasburgu wielkich frakcji i takich tam rzeczy. O smutnych efektach tego stanu rzeczy przekona się zresztą boleśnie kiedyś i prezydent Andrzej Sebastian. Nie ma bowiem dobrych uczynków, które uchodziłyby bezkarnie.

Na Nowogrodzkiej minorowo, bo jest jeszcze gorzej. Nowa ordynacja miała być początkiem wielkiego dzieła ostatecznego politycznego podziału na dwie Polski z wiersza Rymkiewicza („Jedna chce się podobać na świecie / I ta druga – ta którą wiozą na lawecie"), przy czym wymuszony ordynacją sojusz sił antypisowskich miał być ostatecznym dowodem na to, że Peło, Nowoczesna, ZOMO, Czarzasty etc. to jedna banda. A tak będzie trzeba plan na najbliższe trzy kampanie wyborcze pisać od nowa.

Na razie najstraszniejszą karę za niechęć do tworzenia jednej wielkiej antypisowskiej koalicji już w wyborach do europarlamentu poniósł Peezel. Chwilowo nie dostaje zaproszeń do tefauenu.

Bardzo zmartwiły nas słowa prof. Andrzeja Zolla, że przez PiS Polska może zostać wykluczona z Unii Europejskiej. Jest gorzej. Zostaniemy wykluczeni z Układu Słonecznego. Co gorsza – znamy datę. Zaraz po tym, jak Sąd Najwyższy ogłosi, że zawiesza krążenie Ziemi wokół Słońca. Poprawka: „Zawiesi jedynie stosowanie wybranych orbit w ramach tego krążenia".

Smuteczek. Nasz ruch oddolny #MuremZaBudyniem musi zawiesić działalność. Kazimierz Budyń Ujazdowski ogłosił bowiem, że jednak nie będzie kandydował na prezydenta Wrocławia na złość Grześkowi Schetynie. Zawsze uważaliśmy, że do polityki trzeba mieć jaja. Ale, jak się okazuje, można mieć i budyń.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Prawica musi mieć polityczną wolę dokonania takiej reformy państwa, która uczyni je skutecznym instrumentem w rękach narodu" – nauczał Kazimierz Budyń Ujazdowski 20 lat temu. Zapewne z tego właśnie powodu będzie teraz budował prawdziwą prawicę w ramach Peło. No, chyba że trafił pod skrzydła Grześka z innego powodu. Może uznał, że jest to idealna partia do „wprowadzenia wysokich standardów służby publicznej".

Po perypetiach z Budyniem we Wrocławiu Grzesiek i Kaśka stawiają na Sutryka Jacka, wyrodne dziecko Dutkiewicza Rafała. I wokół niego budują zjednoczoną listę. Efektem tego posunięcia jest zblatowanie się środowiska Dutkiewicza z SLD. Odnotowujemy ten ostatni fakt, by pokazać, że konserwatysta może skończyć nawet gorzej od Ujazdowskiego. Budyń w sojuszu z aferałami – to prawda. Ale Dutkiewicz, dawna gwiazda ruchu Polska XXI, w sojuszu ze zwykłymi komuchami?

À propos wyborów samorządowych. Pamiętacie szok i niedowierzanie po tym, jak Kaczor Dyktator ogłosił, że nachapani ze spółek Skarbu Państwa nie będą mogli startować z list Zjednoczonej Prawicy? Dowiedzieliśmy się, jak to właściwie wyglądało. Otóż partyjne doły przygotowały swoje listy do sejmików wojewódzkich i przedstawiły je naczelnikowi. Ten odkrył, że w wielu z nich na pierwszych miejscach są osobnicy mocno nachapani. Okrutnie się więc zdenerwował i zapowiedział, że ich wszystkich pogoni. Zatem listy układane są od początku.

Zmiany, zmiany, zmiany. Niebawem bracia z zaprzyjaźnionego

eprasa.pl/ee82e2794e

tygodnika rybackiego stracą jedno ze swoich czołowych piór. Chodzi o Piotra Skwiecińskiego. Stracą go na rzecz Moskwy. Na szczęście nie chodzi o to, że Skwiet przeszedł na żołd Moskali. Po prostu idzie w kulturę i dyplomaty. Ma zostać szefem moskiewskiego Instytutu Polskiego. My Was pozdrawljajem, gaspadin Pietka.

W związku z sensacją, którą wywołały huczne 70. urodziny Antoniego Macierewicza i ujawniony film, na którym skacze on do basenu, przypominamy naszą notkę z lutego roku 2016. Gdyż nic nas tak nie cieszy jak obserwowanie ciężkiej pracy mediów głównego koryta przy odkrywaniu rzeczy, które już ktoś dawno ujawnił:

Znamy sekret Krwawego Antoniego. Najaktywniejszy i najszczęśliwszy jest między północą a drugą w nocy. Nie, nie dlatego, że w tym czasie dokonuje nocnych akcji zbrojnych. Chodzi o to, że zwykle o północy minister Macierewicz idzie sobie popływać. Skacze, kręci śruby, fikołki i inne małe syrenki. Niezorientowani plotkują o tajnym basenie MON w kazamatach ministerstwa, ale my znamy prawdę – Antoni pływa w basenie znajdującym się w gestii Żandarmerii Wojskowej. Też byśmy chcieli przepustkę – widok mokrego Antoniego wart jest każdych pieniędzy" („Do Rzeczy" 6/2016).

Media twierdzą, że Mariusz Błaszczak odmówił Kaczorowi Dykatorowi objęcia stanowiska szefa Najwyższej Izby Kontroli. Dobra, dobra, jeszcze zobaczymy

Sezon ogórkowy. Zatem raport wakacyjny. Tradycyjnie wśród polityków Eine Totalopposition popularnością cieszą się Chorwacja i Włochy. W tych ostatnich widziano m.in. prezesa Peezelu Władka K.-K. Gdzieś na pograniczu Toskanii i Umbrii. Ba, co więcej, dostrzeżono go nawet w Asyżu.

Przedstawiciele zdrowej patriotycznej władzy wybierają Bałtyk. Z dala od mediów swój urlop nad polskim morzem spędził m.in. Mariusz Błaszczak. Na wakacyjną lekturę wybrał książkę Piotra Gursztyna „Ribbentrop-Beck: Czy pakt Polska-Niemcy był możliwy?". I bardzo mu się podobała. Sekretarze stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości musieli niestety niemal w komplecie przesunąć planowane urlopy. Wakacje przeprogramował im Sąd Najwyższy.

À propos ministra Mariusza Błaszczaka. Media twierdzą, że odmówił Kaczorowi Dyktatorowi objęcia stanowiska szefa Najwyższej Izby Kontroli (Pamiętacie? Informowaliśmy o tej propozycji miesiąc temu). Dobra, dobra, jeszcze zobaczymy.

Swoją drogą, jeśli chodzi o NIK, to na dniach ma się zacząć proces Krzyśka Kwiatkowskiego, czyli obecnego szefa Izby, za dawnych lat zwanego Kwiatem. Musimy przyznać, że podziwiamy to, że Kwiatowi tak długo udało się przetrwać. Co więcej, znając praktyki „wolnych sądów", jesteśmy przekonani, że jakoś doczłapie do końca kadencji.

Na specjalne życzenie publiczności kontynuujemy spotkania z najnowszą poezją wiceministra środowiska Mariusza Oriona Jędryska, głównego geologa kraju, czerpiąc z jego zbioru „Polski kontynent Polski" (siódmy tom dzieł zebranych). Dzisiaj utwór dedykowany wszystkim, którzy mają nam za złe złośliwość i krytykanctwo:

WŁADZA: BOLEŚCI

Mniej boli konstruktywna i prosta krytyka,
niż potem odrywanie od stołków, koryta,
bo jak jedno tak drugie zmusza nas do zmiany,
a zmiana to też strata tego, co już mamy.
Więc jeśli pierwsze jeszcze nas do zmian nie zmusi,
to drugie przyjdzie szybko, tym bardziej że musi. ©℗

eprasa.pl ee82e2794e

Z Wojciechem Cejrowskim, komikiem, pisarzem i przedsiębiorcą mieszkającym w Arizonie
rozmawia Maciej Pieczyński

Polska opozycja to służby

eprasa.pl ee82e2794e

FOT. JÓZEF SZYMURA DLA W. CEJROWSKI LTD

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Łapa w łapę PiS z PO przeciw Polakom. Przeciw zwykłym ludziom. Przeciw wolności i demokracji. POPiSowym ścierwem jesteście i prędzej czy później za to zapłacicie" – tak Paweł Kukiz skomentował zablokowanie referendum konsultacyjnego przez Senat. Podziela pan to oburzenie?

WOJCIECH CEJROWSKI: Ja bym to nazwał inaczej – „łapa w łapę" oznacza, że się dogadali, a oni się nie dogadują, nawet nie rozmawiają. Tylko cele i metody mają zbieżne. Jakie? Kukiz chce wolności obywatelskich (ja też). Chce modelu, w którym władzę mają obywatele. Natomiast PO i PiS chcą zarządzać obywatelami – każda z wymienionych partii (ale każda OSOBNO) chce sprawować władzę nad obywatelami, bo przecież partia wie lepiej, partia ma ekspertów, a naród powinien partii zaufać i nie wtrącać się do rządzenia.

Przeciwko referendum głosowali senatorowie PO, zaś senatorowie PiS w większości umyli ręce, wstrzymując się od głosu. Według Włodzimierza Czarzastego partia rządząca tym samym pokazała społeczeństwu, że prezydent w gruncie rzeczy nic nie znaczy. Zgadza się pan z diagnozą szefa SLD?

SLD to komuchy, komunizm to system zbrodniczy, jest wciąż aktywny na ogromnych obszarach planety i nadal zagraża Polsce – ze wschodu i od środka. Uważam za szkodliwe traktowanie przedstawicieli tego zbrodniczego systemu jak zwyczajnych ludzi. Ich wypowiedzi to nie jest równoprawny głos w dyskusji. To, że zamiast mundurków Stalina i Mao noszą teraz sweterki, nie oznacza, że KGB to jest taka sama zwyczajna agencja jak CIA.

Podczas naszej poprzedniej rozmowy stwierdził pan, że Andrzej Duda jest nijaki. Może sposób, w jaki PiS potraktował jego inicjatywę referendalną, obudzi w nim jakąś „sportową złość" i chęć walki o wzmocnienie własnej pozycji? O ile, oczywiście, ma do tego w ogóle jakieś predyspozycje...

Pozycja prezydenta w RP jest określona w konstytucji i żaden sportowiec wyżej nie podskoczy, nawet gdyby się zezłościł. Wzmocnienie własnej pozycji jest niemożliwe, chyba że uchwali się nową konstytucję, ale wtedy to przecież nie będzie już wzmocniona pozycja Dudy, lecz kogoś następnego.

Zaproponowane pytania referendalne były źle ułożone. Niepoprawne z naukowego punktu widzenia. Ukończyłem socjologię i uczono mnie, jak poprawnie budować ankiety, aby z udzielonych odpowiedzi dało się wyciągnąć sensowne wyniki.

Ponadto konstytucji nie pisze się, pytając naród o opinie prawne. Konstytucję piszą i proponują wolni obywatele. Piszą ją dla siebie i nie potrzebują do tego ekspertów. Konstytucja to nie jest Kodeks karny. Konstytucję amerykańską napisało kilkunastu patriotów (z zawodu przedsiębiorców), a potem gotowy model zaproponowali narodowi. W referendum można pytać o gotowy projekt albo o kilka kluczowych elementów gotowego projektu. A gabinet Dudy pytał ogólnikowo, nie wiadomo o co.

Ale... dało się z tych pytań wywnioskować, że oni kompletnie nie rozumieją, czym konstytucja być powinna. Konstytucja powinna zawierać wyłącznie haki narodu przeciw władzy. Bo każda władza ewoluuje w kierunku tyranii, a konstytucja ma zabezpieczać naród przed tyranią. Każdy paragraf ma być nastawiony na powstrzymywanie tyranii. Paragraf dotyczący podatków, systemu wyborczego, wolności słowa, wyznania, wolności gospodarczej – każdy paragraf konstytucji ma odbierać władzy możliwości uciskania wolnych obywateli. Duda tego nie czuje, PiS nie czuje, PO nie czuje. Kukiz chyba czuje i dlatego tak się wkurzył.

Po „aferze bagażnikowej" żartowano w Internecie, że oto cała partia Petru plus kierownictwo Obywateli RP mieści się w jednym samochodzie. Może rzeczywiście ten uliczny radykalizm opozycji antypisowskiej sprawi, że stanie się ona nic nieznaczącą niszą na polskiej scenie politycznej?

Pan zawsze trochę naiwny (śmiech). KGB to nie są normalne służby, a opozycja antypisowska to są służby. Gromadzą na ulicach bandy naiwniaków lub cyników i nigdy nie staną się niszą. Petru powstał znikąd i gdyby kiedyś odszedł donikąd, to znajdą sobie kolejnego. Są mocni, mają bardzo mocne zaplecze – ze wschodu i wewnątrz RP. Mają możliwości nieograniczone. Pan się cieszy pojedynczą aferką, a oni są w stanie produkować kolejnych Petru jak serią z kałasza. Władzy raz zdobytej nigdy nie oddadzą. Nie oddali w roku 1989 i rządzą do dziś.

Opozycja antypisowska to są „służby"? Czyli Schetyna jest agentem? Tusk (opozycja „na uchodźstwie") jest agentem? Czy może są tymi „cynikami" kierowanymi przez służby?

Nie wiem, kto tam kim kieruje osobiście, i mnie to mało obchodzi, bo to tak jak studiowanie hierarchii

eprasa.pl ee82e2794e

wewnątrz mafii – nieistotne, gdy się jest na zewnątrz, kto konkretnie jest ojcem chrzestnym. Ale tak – opozycja antypisowska to są służby, które sterują bandami naiwniaków i cyników. Chce pan rozgryzać temat po nazwisku, to niech pan pogada z jakimś dziennikarzem śledczym. Było coś takiego, że Komorowski rozpruwał i czyścił sejf po Kaczyńskim z powodu raportu WSI. Dobrze pamiętam? I co z tym raportem, gdzie jest, co tam było, dlaczego czyścił?

Służby w Polsce są mocne, mają swoich ludzi wszędzie, mają uzależnionych ludzi wszędzie i mogą każdemu zrobić wszystko, jeśli taki ktoś okaże się zagrożeniem ich interesów. Niebranie tych faktów pod uwagę to naiwność.

Mówi pan, że opozycja ma zaplecze ze wschodu i wewnątrz RP. Mam inne wrażenie: to nie Moskwa, tylko Bruksela aktywnie wspiera antypisowską ulicę. Pan konsekwentnie opowiada się za twardym stanowiskiem wobec Unii. Unia też utwardza stanowisko. Może więc warto rozważyć polexit?

Exitu nie ma co rozważać, gdyż nie ma w Polsce siły politycznej chętnej, by to zrealizować. Wydaje mi się też, że naród nadal chce być w Unii; chce, gdyż nikt narodowi nie pokazuje, jakie to przynosi szkody Polsce.

Bruksela, owszem, wspiera aktywnie antypisowską ulicę, ale Bruksela to są właśnie owi sterowani cynicy i naiwniacy. Angela Merkel to koleżanka Władimira Putina z niemieckiej młodzieżówki komunistycznej i nie była tam zwyczajnym członkiem, lecz szefem oddziału propagandy. Teraz ręka w rękę z Putinem realizuje interesy rosyjskie – Nord Stream 2 etc.

Tusk i Schetyna to cynicy, Komorowski to naiwniak o zachowaniach głupka, a służb sterujących musiałby pan poszukać na zapleczu tego towarzystwa.

Kornel Morawiecki w wywiadzie dla „Do Rzeczy" stwierdził, że „Rosja nie jest państwem agresywnym" i że nie powinniśmy burzyć pomników sowieckich, bo Armia Czerwona uchroniła nas przed „zagładą biologiczną". Gdyby takie tezy wygłosił ktoś z antypisowskiej opozycji, pewnie nazwałby go pan „ruskim agentem". Nazwie pan tak ojca premiera?

Bardzo głupia wypowiedź. Armia Czerwona nas uchroniła przed zagładą?! Kiedy? W roku 1939, gdy w sojuszu z Hitlerem najechali Polskę i mordowali nas masowo? Czy może ratowała nas w Katyniu? A może nas ratowała przed zagładą, gdy stanęła na praskim brzegu Wisły po to, by Powstanie Warszawskie się wykrwawiło? Gdzie konkretnie nas ocalili od zagłady biologicznej? Na Suwalszczyźnie, gdy mordowali planowo? W sowieckich obozach śmierci, do których nas wywozili po zajęciu ziem wschodnich? Brednie!

Gdy pan Morawiecki mówi, że nie powinniśmy burzyć pomników sowieckich, powinien patrzeć w oczy kobiet zgwałconych przez Armię Czerwoną, powinien patrzeć na przestrzelone czaszki w masowych grobach. A kiedy mówi, że Rosja nie jest państwem agresywnym, to powinien jechać na Ukrainę i do Syrii.

Armia Czerwona nie była wyzwolicielem, lecz okupantem, i nie ocaliła nas przed niczym – gdyby Armia Czerwona nie weszła do Polski od wschodu, to od zachodu przyszliby Amerykanie, byli bardzo blisko. Obie te armie ścigały się ze sobą, kto zajmie większy obszar Europy. Nie mieliśmy szczęścia w tym ich wyścigu.

Jest pan zwolennikiem zmian personalnych w sądach, zgodnie z hasłem: „Wszyscy won!". Jednak czy nie ma pan wrażenia, że PiS w swojej reformie ogranicza się przede wszystkim do zmian personalnych właśnie? Czyli, że chce sędziów opozycji zastąpić „swoimi"?

„WSZYSCY WON!" oznacza zwolnienia zbiorowe, bez oglądania się na legitymację partyjną. To działanie podobne do wymiany kadry po zaborach – wszystkich carskich won i przyjmujemy nowych. PiS działa kosmetycznie, a nie systemowo. Dobre i to, ale PiS przegra właśnie dlatego, że zajmuje się kosmetyką personalną. Wymienią trochę kadry, a reszta... pozostanie. Czyli to ciche zaplecze ukryte w cieniu za plecami Tuska i Schetyny pozostanie przy władzy sądowej.

Gersdorf i tak jest emerytką, szkoda energii na walkę z tym pojedynczym człowiekiem – należało ją wywalić w dużym koszu z całą kadrą sądową od sprzątaczki w górę, a nie brać się za nią pojedynczo.

„Demokratyczny sen skończył się, pora wracać do realu. Trzeba organizować podziemie: infrastrukturę, wydawnictwa, uniwersytety [...], trzeba zorganizować system adwokatów, którzy będą bezpłatnie wspierać tych, którzy pójdą siedzieć, i system mieszkań dla tych, którzy się ukrywają; trzeba nauczyć się z powrotem robić i rozrzucać ulotki [...], tak by się nie dać złapać (najlepiej z dachów); trzeba zacząć się komunikować poza systemem, wymyślić i wyprodukować jakieś symbole [...]... Aha! No i możecie wyrzucić paszporty, zaraz będą nieaktualne, nowa władza będzie jak w PRL kontrolowała mobilność obywateli, jeden paszport za 10 donosów..." – tak radzi zwolennikom antypisu Magdalena Środa. Jak pan to skomentuje?

Jest głupia.

Magdalena Środa to skrajna lewica, którą jeszcze można potraktować z przymrużeniem oka. Jednak już chyba nie można zignorować słów cieszącej się dużym wsparciem antypisowskiej ulicy, prawników i zagranicy Małgorzaty Gersdorf, która zapowiedziała, że będzie „I prezes Sądu Najwyższego na uchodźstwie". Czy nie obawia się pan, że szeroko rozumiany antypis stworzy rzeczywiście jakąś formę alternatywnej władzy wobec „państwa PiS"? Czy nie grozi nam dwuwładza?

Mamy dwuwładzę od dawna, od roku 1989. Co do Gersdorf, to jej pomysł, działania na uchodźstwie popieram całym sercem: „WSZYSCY WON!". Niech sobie wyjadą do Moskwy, do swoich mocodawców, lub do Brukseli. Skoro nienawidzą wolnej Polski, a kochają PRL, to po co tu jeszcze siedzą? Gdy mnie się gdzieś nie podoba, jadę dalej: mieszkam w Arizonie, kupuję dom w Meksyku. Niech się Gersdorf nie męczy i wyjedzie. Polsce zrobi się lżej, jej się zrobi lżej – sytuacja obopólnie korzystna.

Koledzy Gersdorf z Sądu Najwyższego nie zamierzają jednak emigrować. SN zwrócił się do unijnego Trybunału Sprawiedliwości z pięcioma pytaniami dotyczącymi ustawy o SN i na czas odpowiedzi trybunału zawiesił część przepisów tej ustawy. To już chyba wojna. Jak w tej sytuacji wdrożyć dyrektywę „WSZYSCY WON!"? Wyprowadzić niepokornych sędziów siłą na oczach mediów z całego świata?

Co do Gersdorf, to jej pomysł działania na uchodźstwie popieram całym sercem: „WSZYSCY WON!". Niech sobie wyjadą do Moskwy, do swoich mocodawców, lub do Brukseli

eprasa.pl ee82e2794e

Media całego świata się Polską nie interesują. A kiedy sędzia polski zwraca się o dyrektywy i interpretacje do sądów zagranicznych, wówczas narusza zasadę własnej niezawisłości. Sędzia ma OBOWIĄZEK być niezawisły. Gdy przestaje być niezawisły, wówczas won, gdyż utracił kompetencje sędziowskie.

To EWENTUALNIE parlament ma prawo prosić o zagraniczne oceny i interpretacje, ale nie sędzia. Sędzia jest powołany do rozsądzania sporów wewnątrz kraju, bez oglądania się na kogokolwiek.

Jeśli oni sami nie potrafią i muszą prosić o korepetycje zagraniczne, to won, gdyż są niedostatecznie kompetentni zawodowo. A z drugiej strony – jakie kompetencje w interpretacji polskiego prawa może mieć jakiś sędzia zagraniczny? Żadne. Cokolwiek nam przyślą z zagranicy, będzie obarczone taką właśnie wadą prawną, że zagranica nie ma kompetencji w sprawach polskich przepisów.

Piłsudski jest bohaterem narodowym, prawda? Wzorem. Piłsudski by się z takimi nie patyczkował. To nie jest wojna, ale zdrada owszem. Zdrajcy won. I nie tylko won ze stołków, bo za zdradę to się należy Bereza Kartuska albo inne kratki.

Czterech demonstrantów, uczestników niedawnych starć pod Sejmem, usłyszało zarzuty naruszenia nietykalności cielesnej policjantów. Można się spodziewać, że opozycja zrobi z nich męczenników?

Policjanta nie wolno tykać i tak jest w każdym systemie. W Korei i w Szwajcarii – wszędzie. Myśmy za komuny byli pałowani za poglądy przez obecnych towarzyszy pani Gersdorf i nie wolno nam było tknąć policjanta. Męczennikiem można zostać za to, że nas ktoś bił pałą za poglądy. Tutaj tego nie było – ci czterej się nie bronili, lecz atakowali. Ale i tak opozycja zrobi z nich męczenników, będą kłamać. Taka już jest obecna opozycja w Polsce – ruska.

Opozycja ma nowych bohaterów: Dawid Wiśniewski wraz z tłumem napierał na policjantów, krzycząc „wyp...lać", Marta Lempart blokowała przejście Kornelowi Morawieckiemu, krzycząc mu do ucha: „Będziesz siedział!", a Klementyna Suchanow, pisarka, szczyci się antyrządowymi napisami na murach Sejmu. Jak takich „bohaterów" potraktowałaby amerykańska policja?

W Ameryce – na szczęście!!! – wolność słowa nie ma granic. Poprawka do konstytucji dotycząca wolności słowa to jest właśnie taki hak na władzę: nikomu, nigdy i z żadnego powodu nie wolno zakazać nawet najgorszych wypowiedzi. Odpowiedzią na słowa ma być więcej słów, a nie ograniczenia pewnych treści. Więc ja bronię prawa tych, którzy wykrzykują wulgaryzmy pod moim adresem, którzy obrażają seniora Morawieckiego... Wiem – to trudne; wiem – to, co tamci wykrzykują, jest okropne, ale wolność wypowiedzi jest ważniejsza od mojego komfortu.

Policja w Ameryce nie zrobiłaby nic, aby powstrzymać słowa. Wkroczyliby do akcji dopiero, gdyby ktoś kogoś zaatakował fizycznie.

Skoro już jesteśmy za oceanem, ale wciąż jeszcze w sprawach Polski... Czy nazwanie Jarosława Kaczyńskiego „polskim Trumpem" byłoby nadużyciem?

Byłoby idiotyzmem lub skrajnym lizusostwem. Nie widzę żadnych, ŻADNYCH podobieństw. W żadnej dziedzinie. Kaczyński nawet nie mówi „Poland first", czyli „Polska przede wszystkim". Przyjmuje i realizuje dyrektywy unijne. Dyrektywy wysyłał kiedyś Komitet Centralny partii komunistycznej i były realizowane z musu, bez żadnej refleksji. Przykład: Kaczyński w zeszłym roku OSOBIŚCIE występował za likwidacją polskiego przemysłu futerkowego, bo dostał dyrektywę z Unii. Polska jest OGROMNYM producentem, potentatem w dziedzinie zwierząt futerkowych i sprzedajemy skóry na cały świat, w tym do Rosji i USA. Unia przysłała dyrektywę, to należało tę dyrektywę przed kamerami wrzucić do kibla, a Kaczyński bronił dyrektywy.

Co ich łączy, a co dzieli? Czego jeden od drugiego mógłby się nauczyć?

Jarosław Kaczyński wprowadza socjalizm, Trump broni kapitalizmu i wolności gospodarczej. Trump zwalcza aborcję, gdzie tylko może, Kaczyński nie robi nic, czyli akceptuje zabijanie nienarodzonych, ale przecież ŻYWYCH dzieci. Trump oddaje nam wolność zabraną przez poprzedników, Kaczyński odbiera kolejne wolności: ustawa rolna, prawo wodne, o zwierzętach futerkowych, a ostatnio OKROPNA ustawa o podzielonej płatności, która prowadzi do bankructwa wielu małych przedsiębiorców.

Trump jest w sprawach gospodarczych błyskotliwym i doświadczonym fachowcem, Kaczyński nigdy nie wyprodukował złotówki, nie stworzył ani jednego miejsca pracy i nie ma pojęcia, jak się prowadzi biznesy. Tusk też, żeby była jasna sprawa. Wszyscy oni to gospodarczy DYLETANCI. Jak mam więc ich porównać z Trumpem? Kogoś, kto nie umie zagrać „Wlazł kotek", każe mi pan porównać z gospodarczym wirtuozem?

Zazwyczaj broni pan Trumpa. Jednak komentując niedawno w TVP Info jego zachowanie podczas wspólnej z prezydentem Rosji konferencji prasowej, sam pan przyznał: „Byłem wkurzony, że nie nakopał Putinowi". Angelę Merkel potrafił publicznie poniżać. Dlaczego tego samego nie chciał czy nie mógł zrobić w stosunku do Putina?

Nie poniżył Merkel, tylko ją „zczołgał" – tak mówiłem. Poniża się niesłusznie, a Trump zczołgał ją słusznie – za to, że Niemcy nie realizują swoich zobowiązań finansowych. I wreszcie tej NRDowskiej działaczce komunistycznej ktoś powiedział wprost, co o tym myśli. Ona współpracuje z Putinem przeciwko Ameryce (również przeciwko interesom RP), ale jednocześnie doi forsę z Ameryki na obronę Niemiec. To wredne, nieuczciwe zachowanie i to jej właśnie Trump powiedział prosto w twarz i przy kamerach.

A to, że ja byłem szczerze wkurzony, bo nie nakopał Putinowi, to są moje osobiste emocje, ale Trump ma przecież płacone za reprezentowanie interesów USA. I reprezentował je poprawnie, bo w interesie Amerykanów są poprawne stosunki z Rosją oraz jest w interesie Ameryki, aby Merkel zapłaciła zaległe rachunki do NATO.

Trump jest w sprawach gospodarczych doświadczonym fachowcem. Kaczyński nigdy nie wyprodukował złotówki i nie ma pojęcia, jak się prowadzi biznesy. Tusk też, żeby była jasna sprawa

W rozmowie z Michałem Rachoniem zasugerował pan, że Trump mógł być łagodny z uwagi na to, iż jednak rozmawiał z nieprzewidywalnym przywódcą mocarstwa posiadającego broń jądrową. Jednak lubi pan przywoływać przypadek Ronalda

eprasa.pl ee82e2794e

Reagana, który do rozmowy z Michaiłem Gorbaczowem – a więc również przywódcą mocarstwa posiadającego broń jądrową – siadał z podwiniętymi rękawami, w bojowej pozie... U Trumpa tego nie było widać.

O tej bojowej pozie w tajnych rozmowach dowiedzieliśmy się po latach. Na konferencjach prasowych Reagan był stanowczy, ale poprawny. Podobnie jak Trump. Na razie nie wiemy, jak wyglądała ta rozmowa za zamkniętymi drzwiami. Może obaj wrzeszczeli na siebie, a może ubili jakiś tajny interes.

Powiem panu tak: na razie Trump mnie w niczym nie wystawił do wiatru i realizuje punkt po punkcie wszystkie swoje obietnice wyborcze. Jestem ostrożny w pochwałach i cały czas spodziewam się, że Trump może mnie wystawić. No ale... na razie się jeszcze na niczym nie zawiodłem.

Arnold Schwarzenegger, komentując tę konferencję, stwierdził, że Trump sprawiał wrażenie, jakby miał za chwilę poprosić Putina o autograf. Podobnych komentarzy było wiele, nie tylko z lewej strony. Może Trump podziwia Putina jako silnego przywódcę?

Nie sądzę, by Trump podziwiał akurat Putina. Z punktu widzenia Trumpa Putin niczego w życiu nie dokonał. A Trump podziwia sukces, dorobek, konkretne dzieła, a Putin tego nie ma.

Wcześniejsze wypowiedzi i czyny Trumpa wobec Rosji zaświadczają o tym, że Trump zdaje sobie sprawę z tego, z kim lub czym ma do czynienia – KGB, nadal komunistyczna Rosja, nadal w rękach tych samych ludzi, nadal groźna, nadal bez wolności obywatelskich, nadal kłamliwa w wypowiedziach, deklaracjach i czynach. Trump Rosji nie ufa, lecz z nią gra – stara się ubić dobry dla Ameryki interes w sytuacji, gdy nie jesteśmy w stanie pozbyć się Rosji z planety Ziemi. Co miał zrobić na tej konferencji? Zwyzywać Putina? Ja bym się przez chwilę ucieszył, ale potem... potem bym ochłonął i pomyślał, że nie za to płacimy Trumpowi.

Wszystko wskazuje na to, że w sprawie ustawy o IPN PiS ustąpił pod naciskiem USA i Izraela. A jeśli tak, to takie ustępstwo powinno zaowocować polepszeniem relacji polsko-amerykańskich. Domyślam się, że pan nie podziela tego optymizmu, skoro był pan przeciwnikiem złagodzenia ustawy o IPN?

Wymuszone ustępstwa nie owocują polepszeniem relacji. Relacje międzypaństwowe robią się lepsze, gdy za naszymi słowami stoi jakaś siła, a nie gdy się siły wyzbywamy i pokazujemy uległość.

Skoro Stany Zjednoczone wymuszają na nas zmianę polityki historycznej, skoro stosunek Trumpa do Putina nie zawsze jest jednoznacznie negatywny, to może Warszawa powinna polepszyć swoje relacje z Brukselą czy Berlinem, choćby dla przeciwwagi?

Tak? A po co? Bruksela nami gardzi lub nas nienawidzi. Przymilają się jedynie wtedy, gdy czegoś chcą – np. przejęcia cukrowni, wejścia na nasze rynki, wykupienia elektrowni, zainstalowania swoich zagranicznych telefonii komórkowych. Berlin? Rura na dnie Bałtyku coś panu mówi o tej relacji? A nasze zrabowane dzieła sztuki – czemu Berlin odmawia zwrotu? Na czym miałoby polegać polepszenie stosunków z Berlinem? Na tym, że oni nam nie chcą zapłacić za wyburzenie Warszawy, a my się grzecznie zgodzimy z ich wrednym stanowiskiem?

Berlin to dwie wojny światowe plus ta trzecia, którą wywołała Merkel, sprowadzając na teren Europy wielotysięczne oddziały dżihadystów. Berlin należy zawsze zwalczać i osłabiać, bo silne Niemcy to kolejna wojna i niekoniecznie światowa – Niemcy były źródłem wielu mniejszych wojen i wiedzą o tym zarówno Francuzi, jak i Brytole. Cała ich przyjaźń z Berlinem to gry pozorów, a gdyby pan Macrona wziął na wykrywacz kłamstw, to by pan usłyszał, co myśli o Helmutach.

Wśród „dobrodziejstw" unijnych wymienia się często dotacje dla rolników. Pan tymczasem jest rolnikiem, ale dotacji nie bierze, bo – jak wyjaśnił to pan na swoim Facebooku – „Jak mogę brać dotacje, skoro one pochodzą z podatków, które płaci moja Mama? Starsza pani ma się dokładać do mojej produkcji rolnej? Dam sobie radę samodzielnie". W jaki sposób rolnik Cejrowski daje sobie radę bez dotacji?

Najnormalniej. Jak w każdej innej branży gospodarczej. I mam rentowność bez dotacji wyższą od sąsiadów. Sieję żyto bez dotacji, zbieram ziarno bez dopłat, sprzedaję piekarzowi i potem on z tego piecze chleb.

Nie uzależniłem się od pośredników – poszukałem kilku piekarzy i dostarczam im moje ziarno bezpośrednio. Moi piekarze też omijają pośredników i sprzedają ten chleb wysyłkowo. Nie mam znaku eko i nie chcę mieć, bo europejski certyfikat wcale nie oznacza, że żywność jest zdrowa – oznacza, że spełnia kolejną normę, czyli np. opryski były, ale w odpowiedniej porze. U mnie nie ma oprysków wcale, więc jestem lepszy od eko.

Dotacje są rolnikowi potrzebne tylko wtedy, gdy od początku się od nich uzależni w kalkulacji. Jeśli od początku oczekuje dotacji, wlicza je po stronie przychodów, to to zaburza jego rachuby. Bierze kredyty, licząc na to, że je spłaci z dotacji; sprzedaje ziarno zbyt tanio, bo kalkuluje, że różnicę odbije sobie z dotacji... Traci czas na wypełnianie papierów, a ja w tym czasie pracuję na polu i zarabiam.

Omijam pośredników, nie tracę czasu na papierologię i skoro nic od państwa nie biorę, to nie tracę też czasu na kontrole.

Rolnicy narzekają na suszę. Panu udało się uniknąć jej skutków. W jaki sposób?

Plony miałem niższe – tak jak wszyscy – ale nadal przyzwoite. To dlatego, że nie stosuję nawozów sztucznych. Nawóz sztuczny to jest skoncentrowany granulat, który trzeba rozsypać, a potem rozpuścić, i do tego potrzebny jest deszcz. Jeśli pan posypie pole, a deszcz nie pada lub pada za mało, nawóz spali panu uprawę, gdyż jest zbyt mocno skoncentrowany. Tak jakby pan tabletkę musującą rozpuścił nie w szklance, lecz w kieliszku wody – pali.

W zeszłym roku bez nawozów miałem połowę tego plonu co sąsiad nawożący, ale… sprzedałem moje niepryskane zboże kilka razy drożej niż sąsiad. Bez nawozu miałem niższy plon, ale ceny kilkukrotnie wyższe właśnie dlatego, że bez nawozu. Czyli przy niższych plonach zarobiłem z hektara jakieś cztery–pięć razy więcej niż sąsiedzi.

W tym roku jeszcze nie wiem, po ile sprzedam, ale zebrałem trzy razy więcej żyta niż sąsiedzi po nawozach. A teraz jeszcze dodatkowo sprzedam to żyto

Ja się sam wykluczyłem z Unii, nie biorąc dotacji. I pokazuję wszystkim dookoła, że bez dotacji można zarobić lepiej

eprasa.pl ee82e2794e

bez pośredników, czyli w cenie droższej niż sąsiedzi. Moja rentowność w złotych z hektara w porównaniu z sąsiadami to będzie w tym roku jakieś osiem razy tyle co u nich.

I nie robię tego złośliwie, lecz z pobudek patriotycznych. Zdziwił się pan? Polaków do polexitu mogą przekonać tylko takie przykłady osobiste jak mój. Ja się sam wykluczyłem z Unii, nie biorąc dotacji. I pokazuję na sobie, wszystkim dookoła, że bez dotacji można zarobić lepiej, że bez Unii można lepiej.

PiS podpadł rolnikom m.in. szeroko krytykowaną ustawą o ziemi. Teraz próbuje najwyraźniej znów przekonać ich do siebie. Niedawno rząd hucznie ogłosił „Plan dla wsi". Wśród założeń m.in.: „większe dofinansowanie do paliwa rolniczego", „więcej sprzedaży bezpośredniej i rolniczego handlu detalicznego". Ma też powstać Narodowy Holding Spożywczy, czyli grupa spółek państwowych, która zajmie się wsparciem polskiego rolnictwa. Pana, jako rolnika, te propozycje przekonują?

Ech… PiS zamiast pisać, powinien skreślać. Ludziom powinno się oddać wolność osobistą, gospodarczą, a nie regulować im życie. Dofinansowanie do paliwa rolniczego? Nawet nie wiedziałem, że takie g… istnieje. Kupuję ropę do mojego traktora normalnie – bez dofinansowania – i się świetnie wyrabiam finansowo na mojej roli.

Mieszkająca w Irlandii Polka próbuje zablokować pański występ w Belfaście. Wcześniej na Wyspach odwołano spotkanie z Rafałem A. Ziemkiewiczem, Wojciech Sumliński został zatrzymany na lotnisku w Londynie. Każdy z panów atakowany był mniej więcej za to samo: za prawicowe poglądy. Skąd u lewaków taka nienawiść do wolności słowa, którą przecież sami głoszą? Dlaczego zamiast dyskusji z przeciwnikiem wybierają terror?

Wolność słowa to dla nich osobiste zagrożenie. Nie mają dobrych pomysłów, więc wolą zakneblować cudze. A teraz chcą ludziom odebrać dwie godziny doskonałej rozrywki, bo im się nie podoba, że jestem katolik.

Moje występy stand-up są komediowe i podróżnicze. A prawicowość polega na tym, że nie przeklinam i nie świntuszę. Na moje występy można bez obawy zabrać dzieci lub zaprosić osobę starszą – uśmieją się bez wulgaryzmów.

Zaczynałem występować 30 lat temu w USA i od tamtego czasu odwołałem tylko jeden występ – z powodu biegunki. Teraz po prostu nic nie jem przed występem. Nie sądzę, by tej pani udało się wywołać u mnie biegunkę, wiec występ w Belfaście raczej się odbędzie.

Trudno teraz pana złapać, bo całe dnie przesiaduje pan na jarmarku dominikańskim. Zapewne pańscy klienci, fani czy przeciwnicy (jeśli tacy przychodzą na stoisko) zagadują często o sytuację w Polsce. I co ten „głos ludu" mówi o władzy, o opozycji? Kogo chwalą, na kogo narzekają, a kogo mają już dość?

Na jarmarku stoję tylko w czwartki, piątki i soboty. Resztę czasu spędzam na wsi lub w trasie z występami. A fani przychodzący po moje książki niezbyt często rozprawiają o polityce. Jeśli już mam takie rozmowy, to z przeciwnikami – ktoś podchodzi i mówi: „Nie cierpię pańskich poglądów, ale książki pisze pan świetne". I biorą książkę, proszą o wpis, a potem jeszcze o foto.

À propos, zdjęcie ze mną w tym roku podrożało. W latach ubiegłych prosiłem, by w zamian za foto zmówić za mnie jedno „Ojcze Nasz", w tym roku z powodu podwyżek cen benzyny proszę, by za mnie zmówić pacierz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl ee82e2794e

Na rozstajach

Łukasz Warzecha

Andrzej Duda wciąż nie wie, kim chce być: prezydentem PiS czy szeroko pojętego obozu konserwatywnego; wiernym sojusznikiem Jarosława Kaczyńskiego czy równorzędnym partnerem; strażnikiem stabilności państwa czy rewolucjonistą. Czasu na decyzję ma coraz mniej

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

Izbliżamy się do setnej rocznicy tej niepodległości z 1918 roku – i ja głęboko wierzę, że patrzą na nas dzisiaj z niebios tamci bohaterowie, ojcowie niepodległości i ci, którzy polegli albo pomarli w walce i w tęsknocie za Ojczyzną, i ci, którzy o nią walczyli i ją zdobyli – nie ma ich już dzisiaj między nami. Ale jestem święcie przekonany, że wszyscy oni chcieliby, abyśmy w tych sprawach fundamentalnych, a najbardziej fundamentalną z nich jest niepodległość – byli wszyscy razem. Żebyśmy nie szli w różnych marszach, dlatego że są polityczne swary i mamy różne poglądy, i często spieramy się ze sobą, bo w samym spieraniu się w państwie prawdziwie demokratycznym nie ma nic nienaturalnego. […] Ale są wartości fundamentalne, a tym fundamentem jest Polska niepodległa, suwerenna, jedna, dla nas wszystkich i dla naszych rodaków, którzy mieszkają poza granicami".

Gdy 11 listopada 2016 r. na pl. Piłsudskiego Andrzej Duda wygłaszał powyższe słowa, swoim ugodowym brzmieniem kontrastujące z konfrontacyjnymi wystąpieniami Jarosława Kaczyńskiego, brzmiały one dla wielu jak przesłanie nadziei, że to właśnie prezydent będzie siłą mitygującą temperamenty, starającą się spoić coraz wyraźniej pęknięte państwo. Po trzech latach prezydentury widać, że to się nie udało. W dużej mierze dlatego, że prezydent okazał się mistrzem w marnowaniu szans.

WOJNA O TRYBUNAŁ

Pierwszą szansę zmarnował w grudniu 2015 r., gdy zażądano od niego, żeby w błyskawicznym tempie zaprzysiągł trzech dodatkowych sędziów Trybunału Konstytucyjnego, powołanych przez PiS w odwecie za nominowanie dwóch nadmiarowych sędziów przez Platformę Obywatelską przed końcem poprzedniej kadencji Sejmu. Zorganizowana na chybcika w środku nocy uroczystość w Pałacu Prezydenckim będzie już zawsze jednym ze skojarzeń z prezydenturą Andrzeja Dudy. Można zresztą założyć, że poczucie własnej niemocy, które musiało wówczas prezydentowi towarzyszyć, kazało mu skompensować tamtą decyzję poprzez weta do ustaw sądowych ponad półtora roku później. To oczywiście psychologizowanie, którego w pisaniu o polityce na ogół warto unikać, ale też nie można zakładać, że czynniki ambicjonalne

eprasa.pl ee82e2794e

i emocjonalne nie mają żadnego wpływu na decyzje polityków.

Jeśli spojrzeć na sprawę Trybunału z dzisiejszej perspektywy, to widać, że był to początek kursu na rozmontowywanie systemu ustrojowych bezpieczników – być może zasadnego z punktu widzenia rewolucyjnego myślenia PiS o radykalnej zmianie państwa, ale niezwykle ryzykownego.

Ryzyko z tym związane jest dwojakiego rodzaju. Po pierwsze – że następcy równie dowolnie będą sobie poczynać z mechanizmami ustrojowymi, jeszcze bardziej rozhuśtując państwową nawę. Po drugie – że PiS, który wprawdzie wygrał wybory bezapelacyjnie, ale jednak nie zdobył sam większości konstytucyjnej, zbyt śmiało narusza mechanizmy stabilizujące państwo, powołując się na wynik wyborczy. Oba rodzaje ryzyka prezydent powinien był dostrzec. Powinien też rozumieć, że twierdzenie, iż jeśli nie przejmie się TK, to utkną wszystkie planowane reformy, jest histerycznie brzmiącym, nieweryfikowalnym teoretycznie, ale za to bardzo wygodnym uzasadnieniem rewolucyjnego sposobu działania. Prezydent jako głowa państwa nie powinien się na taki modus operandi godzić.

Owszem, wówczas, w grudniu 2015 r., Andrzej Duda nie czuł się wciąż zbyt pewnie w nowej roli. Jeszcze miesiąc wcześniej, podczas zaprzysiężenia rządu Beaty Szydło, wygłosił przecież wiernopoddańczy adres wobec Jarosława Kaczyńskiego, kompletnie nieprzystający do polityka wybranego na mocy najsilniejszego w Polsce demokratycznego mandatu. Wszystko to jednak nie oznacza, że postępowanie Andrzeja Dudy w sprawie TK można usprawiedliwić.

Jasne, że wystąpienie wtedy przeciwko politycznemu zapotrzebowaniu PiS niosłoby ze sobą ryzyko, ale przecież później Andrzej Duda poważył się na to kilkakrotnie (nie tylko wetując ustawy sądowe, lecz także ustawę o regionalnych izbach obrachunkowych czy degradacyjną). Paradoksalnie – późniejszy sprzeciw wobec ustaw o SN i KRS kosztował go więcej dlatego, że na samym początku swojej prezydentury skapitulował tak łatwo w sprawie TK. Gdyby już wtedy odmówił legitymizowania rewolucyjnych metod działania, obozowi władzy trudniej byłoby później wywierać na niego presję. Zarazem zagrożenia dla jego współpracy z PiS czy poparcia w kolejnych wyborach, wynikające z decyzji podjętej na samym początku kadencji, byłyby stosunkowo niewielkie.

REFERENDALNA KLĘSKA

Druga stracona szansa prezydenta z początku sprawiała całkiem odwrotne wrażenie. Gdy w lipcu 2017 r. Andrzej Duda ogłosił weto do ustaw o Krajowej Radzie Sądownictwa i Sądzie Najwyższym, wydawało się, że nareszcie staje się człowiekiem szeroko pojętego obozu konserwatywnego – we właściwym tego słowa znaczeniu – a nie jedynie radykałów z obozu władzy. Wielu obserwatorów skłonnych było przypisywać weta w co najmniej takim samym stopniu trosce prezydenta o państwo, co jego sporowi z frakcją Zbigniewa Ziobry. Z czasem można jednak było dojść do wniosku, że to drugie miało dalece większe znaczenie, a troska o państwo nie była istotna.

Prezydent, co łatwo było przewidzieć, stał się po swojej decyzji chłopcem do bicia dla twardego elektoratu PiS. Do tego stopnia, że już wówczas część twardogłowych ogłosiła, iż nie zagłosuje na niego w 2020 r. Najpóźniej wtedy Andrzej Duda powinien był zacząć myśleć strategicznie. Przewidując, że nie jest to ostatnia tego typu sytuacja, powinien był zacząć tym bardziej dbać o to, żeby ewentualną stratę wyborczą wśród jastrzębi (które mogą po prostu zostać w domach) wynagrodzić sobie zyskiem wśród gołębi i o ten zysk dbać, odpowiednio ukierunkowując całe swoje późniejsze postępowanie, nie tylko w sprawie sądów.

Sprawy potoczyły się jednak inaczej. Prezydent zaczął pracę nad nowymi projektami obu zawetowanych ustaw. Uzgodnienia z PiS były bardzo mozolne, ale rezultat okazał się średniej jakości: w obu przypadkach prezydent skapitulował przed rewolucyjnym temperamentem PiS. W przypadku KRS nastąpiło skrócenie kadencji, choć wątpliwości wobec takiego rozwiązania wyrażali nawet bliscy PiS prawnicy, np. sędzia Wiesław Johann, zresztą członek obecnej rady. W przypadku SN ustawą odesłano w stan spoczynku nie tylko szeregowych sędziów, lecz także pierwszą prezes. Był to skutek stanowczego żądania Jarosława Kaczyńskiego, na które prezydent nie powinien był absolutnie przystawać. Po pierwsze dlatego, że musiał świetnie rozumieć, iż dokończenie kadencji przez Małgorzatę Gersdorf, zgodnie z zawartym w konstytucji terminem, w żaden sposób nie będzie stanowić przeszkody

eprasa.pl ee82e2794e

dla innych zmian, które zamierzał w SN wprowadzić PiS – np. dla utworzenia Izby Dyscyplinarnej. Po drugie, ponieważ powinien był przewidywać, że danie drugiej stronie konfliktu tak ewidentnej przesłanki do stwierdzenia, iż łamana jest konstytucja, zaowocuje destabilizacją kluczowego elementu wymiaru sprawiedliwości. I tak się stało – wyłącznie ze względu na jedną czysto personalną kwestię.

Patrząc na prezydenckie weta z lipca ubiegłego roku z dzisiejszej perspektywy, widać, że jeżeli nawet Andrzej Duda zgromadził wówczas jakiś kapitał w grupie umiarkowanej, to do dziś stracił go niemal w całości. Upieranie się PiS przy odesłaniu I prezes w stan spoczynku spowodowało trudny do ogarnięcia chaos prawny, dając buntującym się sędziom SN pretekst do wciągnięcia w spór Trybunału Sprawiedliwości UE. Niezależnie od tego, kogo uznamy za głównego winowajcę, z punktu widzenia państwa dzieje się bardzo źle.

Tymczasem prezydent, poza wyznaczeniem tymczasowego zastępcy prof. Gersdorf – zresztą o nieciekawej przeszłości, jak się okazało – z pola widzenia zniknął. I to właśnie w momencie, kiedy jego mandat dawałby największe prawo do podjęcia pilnych działań stabilizacyjnych.

O tym, że szansą całkowicie zmarnowaną był pomysł referendum o konstytucji, zapowiedzianego 3 maja 2017 r., nie ma nawet co pisać. Można jedynie pozostać w niemym podziwie, jak tak ciekawą inicjatywę prezydentowi udało się tak spektakularnie utopić. To prawda, że od początku nie mógł liczyć na poparcie i współpracę PiS, które uznało, iż udane referendum może za bardzo wzmocnić głowę państwa, ale właśnie dlatego powinien był już w chwili ogłaszania projektu postawić na jedno, może dwa jasne, konkretne, proste pytania – w tym to o zmianę ustroju na prezydencki.

Obawiając się słusznie klęski frekwencyjnej, prezydent mógł nawet poczuć ulgę, gdy za sprawą senatorów PiS jego wniosek o referendum został odrzucony. Nie zmienia to faktu, że był to cios, może nawet upokorzenie głowy państwa przez jego własny obóz polityczny. Jeśli Andrzej Duda w jakiś sposób tego nie skompensuje, to pozostanie wrażenie, że jest bardziej politykiem uległym niż samodzielnym.

WYBORCY Z POGRANICZA

Sposobność nadarza się w postaci zmienionej przez PiS ordynacji wyborczej do Parlamentu Europejskiego, która trafiła na biurko prezydenta na początku sierpnia. Motywacja zmian jest czytelna: PiS, być może planując przystąpienie do Europejskiej Partii Ludowej, chce wzmocnienia swojej reprezentacji w PE, a przy okazji pogłębienia wygodnego dla siebie i PO podziału na dwa nienawidzące się plemiona. Ma się to stać kosztem wszystkich mniejszych ugrupowań, dla których droga do PE może zostać zamknięta. Apel o weto skierował do prezydenta konserwatywny think tank Klub Jagielloński wraz z czterema ugrupowaniami: Kukiz'15, PSL, Partią Razem i Prawicą Rzeczypospolitej.

W 2015 r. wielu wyborców głosowało na niego jako na kandydata PiS, ale też wielu oddało na niego głos jako na Andrzeja Dudę – młodego, dynamicznego, pracowitego, otwartego, innego niż PiS-owski stereotyp

To chyba pierwsza tego typu inicjatywa, łącząca środowiska skrajnie od siebie odległe.

Prezydent rozumie, że elektorat spoza kręgu PiS jest mu niezbędny, jeśli chce wygrać wybory w 2020 r., gdy w drugiej turze prawdopodobnie będzie miał przeciwko sobie kandydata całego antypisowskiego obozu. Walka będzie też znacznie bardziej zacięta niż pięć lat wcześniej, gdy Platforma i Bronisław Komorowski zostali uśpieni złudną pewnością siebie. Jeśli tym razem weta nie będzie, to prezydent może trwale zniechęcić do siebie wyborców z pogranicza (w momencie oddawania do druku tego numeru „DRz" prezydent nie podjął jeszcze decyzji).

Ma to znaczenie tym większe, że poza sprawą ustaw sądowych prezydent podczas trzech lat zrobił niewiele, żeby zachować przy sobie tę część własnego elektoratu. Jego wystąpienia o jednoczącym przesłaniu, wygłaszane podczas państwowych uroczystości, początkowo przyjmowane jako orzeźwiający powiew wobec agresywnych wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego, z czasem przestały robić wrażenie. To tylko „słowa, słowa, słowa". Andrzej Duda nie zawetował żadnej z populistycznych ustaw PiS. Zgodził się bez mrugnięcia okiem na psującą państwo obniżkę wynagrodzeń posłów i samorządowców. Nie przeciwstawił się żadnej ustawie, skutkującej wyciąganiem pieniędzy z kieszeni obywateli, jak ta, na mocy której wprowadzono opłatę emisyjną (10 gr do ceny litra paliwa od 2019 r.). Nie zrealizował własnej obietnicy systemowego rozwiązania problemu „kredytów" walutowych.

Przede wszystkim jednak nie zbudował własnego środowiska czy też grupy wpływu złożonej nie z polityków. Miał do tego środki i okazje. Powołał przecież Narodową Radę Rozwoju, która jednak pozostaje klubem dyskusyjnym bez większego znaczenia. Nie spróbował nawet powtórzyć znakomitego pomysłu Lecha Kaczyńskiego, którym były seminaria w Lucieniu, gdzie w swobodnej atmosferze gromadziły się osoby z bardzo różnych środowisk. W skrajnie podzielonej, targanej zabójczymi emocjami Polsce A.D. 2018 taka inicjatywa mogłaby wynosić głowę państwa na całkiem inny poziom i dawać prezydentowi spore możliwości nieformalnego oddziaływania na rzeczywistość. Na marginesie bardzo szeroko rozumianego obozu konserwatywnego pozostaje dzisiaj mnóstwo osób i środowisk, do których warto sięgać, takich jak prof. Andrzej Nowak, prof. Antoni Dudek, środowisko „Teologii Politycznej", Paweł Kowal i kierowana przez niego konferencja Polska Polityka Wschodnia, dynamicznie rozwijające się środowiska Klubu Jagiellońskiego czy Nowej Konfederacji, Warsaw Enterprise Institute i wiele, wiele innych. Prezydent jednak nie miał i nie ma pomysłu na skorzystanie z ich analiz, przemyśleń, wpływów.

OSTATNI MOMENT

Czy Andrzej Duda może to jeszcze zmienić? Musiałby przestać hamletyzować i zacząć myśleć o sobie jako o w pełni samodzielnym polityku. Owszem, wywodzącym się z PiS, konserwatywnym, ale samodzielnym. To absolutnie ostatni moment, żeby zmienić strategię. W 2015 r. wielu wyborców głosowało na niego jako na kandydata PiS, ale też wielu oddało na niego głos jako na Andrzeja Dudę – młodego, dynamicznego, pracowitego, otwartego, innego niż PiS-owski stereotyp. Jeśli prezydent się nie przełamie, to w 2020 r. będzie już wyłącznie kandydatem Jarosława Kaczyńskiego. To może nie wystarczyć, żeby wygrać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ee82e2794e

ZDROJOWA HOTELS®

pobyty
od 19.08 do 2.09

niekończące się wakacje

-20%!

Hotele w najpiękniejszych kurortach™

Kołobrzeg · Świnoujście · Ustronie Morskie · Szklarska Poręba

Rezerwuj bezpośrednio:

+48 91 40 40 400
rezerwacja@zdrojowahotels.pl

www.zdrojowahotels.pl

eprasa.pl ee82e2794e

Z senatorem Jarosławem Obremskim z Klubu Parlamentarnego PiS
rozmawia Marcin Makowski

Podpalanie Polski

FOT. TOMASZ RYNK/ BIURO SENATORSKIE JAROSŁAWA OBREMSKIEGO

eprasa.pl ee82e2794e

MARCIN MAKOWSKI: Dwukrotnie w ubiegłym roku wstrzymał się pan w Senacie od głosowania za ustawami reformującymi wymiar sprawiedliwości i Sąd Najwyższy. Chociaż bez legitymacji partyjnej, to reprezentuje pan w Izbie Wyższej PiS. Czarna owca w rodzinie czy pragmatyk?

JAROSŁAW OBREMSKI: Po prostu senator, który składał przysięgę. W lipcu uważałem, że ustawy obchodzą konstytucję, a ich celem – poprzez skrócenie kadencji – jest pozbawienie Małgorzaty Gersdorf stanowiska I prezes SN. Konsekwencją mojego punktu widzenia było głosowanie grudniowe. Od początku miałem wrażenie, że ze strony PiS to pewien błąd, ponieważ sprawa wieku emerytalnego będzie głównym punktem ataku ze strony Brukseli i opozycji. Pytał pan o mój pragmatyzm… Gdyby władza od tej strony spojrzała na sprawę, należałoby prof. Gersdorf zostawić. Ona, mówiąc delikatnie, zachowuje się niespójnie, a wypowiedzi pani prezes pokazują, jakie były ścieżki awansu za III RP w sądownictwie. To żywy argument za reformą.

W lipcu tego roku zmienił pan jednak zdanie i głosował za kolejnym pakietem ustaw. Co się zmieniło?

Owszem, głosowałem „za", ponieważ uznałem, że Sąd Najwyższy chce nie tylko wywrócić całą reformę do góry nogami, lecz także poprzez swoje działania w dłuższej perspektywie wywołać katastrofalne skutki. Państwo musiało się bronić przed obstrukcją. Nie sądzę, abym zmienił w tej kwestii zdanie. W zeszłym roku miałem wątpliwości dotyczące jednego zapisu i kadencji I prezes, ale teraz głosowaliśmy za pakietem innych reform, blokowanych przez niezadowolonych ze zmiany kształtu składu orzekającego sędziów. Gdybym uważał reformę za szkodliwą, głosowałbym przez cały czas „przeciw", bez niuansowania. A ona jest naprawdę potrzebna.

Kiedy opowiada pan o swoich wątpliwościach innym senatorom PiS, spotyka się pan ze zrozumieniem?

Prawo i Sprawiedliwość jest szeroką formacją nie tylko w Senacie, więc nie ma jednej odpowiedzi na to pytanie. Są ludzie, którzy mają wątpliwości, są tacy, którzy bronią mojego prawa do własnego zdania, i tacy, którzy traktują sprawę bardzo jurydycznie, mówiąc: „To Trybunał Konstytucyjny rozstrzygnie, co jest zgodne z konstytucją, ja głosuję za ustawą, która jest politycznie dobra, reszta nie należy do moich kompetencji". Jest naprawdę spory wachlarz poglądów.

Ryszard Czarnecki powiedział kiedyś, że „na froncie nie zakłada się klubów dyskusyjnych".

Cóż, moja droga jest inna. Jestem niezależnym senatorem i bardzo to sobie cenię. Rozumiem, że w Polsce obowiązuje narracja zero-jedynkowa – sam się czasami mentalnie w nią wpisuję, ale bywa, że próbuję się przed tym wybronić. Kiedy trzeba, stawiam jednak sprawy jasno.

Na przykład odnośnie do Sądu Najwyższego, zawieszającego ustawy regulujące przechodzenie sędziów w stan spoczynku do czasu wydania orzeczenia wstępnego przez europejski Trybunał Sprawiedliwości?

Tak, to jest dokładnie taki przykład, w którym SN wykroczył poza swoje kompetencje i trzeba to powiedzieć jasno. Samo wysyłanie pytań do TSUE jest być może kwestią dyskusyjną. Jednak zastosowanie czasowego zawieszenia prawa? To może być w przyszłości niezmiernie drogi precedens, który wygląda jak podpalanie Polski bez liczenia się ze skutkami.

Nazwałby pan takie zachowanie „puczem"?

Wiedząc, jak toczy się nasza „wojna polsko-polska", staram się szukać takich słów, aby jej nie pogłębiać. Uciekam zatem od słowa „pucz", ale odbieram tę sytuację jako próbę wypowiedzenia posłuszeństwa władzy. To jest temat na dłuższą dyskusję. Nie tylko w Polsce, lecz także ogólnie w naszym kręgu cywilizacyjnym nastąpiło przesunięcie władztwa z poziomu parlamentu na „superkontrolę" sądów. Ten proces rozpoczął się od końca II wojny światowej i jest niebezpieczny, ponieważ sprawia, że sądownictwo przestaje być niezależnym ciałem, a zamienia się w trzecią izbę parlamentu, nad którą wyborcy de facto nie mają żadnej kontroli. To, co brukselski mainstream nazywa „prawicowym populizmem", ja postrzegam jako wolę wyborców, którzy chcą upodmiotowienia oraz przywrócenia równowagi pomiędzy oboma obszarami. Nie jesteśmy pod tym względem żadnym wyjątkiem, a PiS chce po prostu ograniczyć władzę absolutną sędziów.

Często jednak krytykuje pan styl przeprowadzania tych zmian.

Robię tak, ponieważ o ile jestem w stanie zrozumieć przeprowadzenie powtórnej nowelizacji ustawy o IPN w 24 godziny – tam na szali stała racja stanu – o tyle istotna reforma państwa nie może być pisana i przegłosowywana w pośpiechu. Oczywiście potężnym usprawiedliwieniem dla strony rządzącej jest totalność opozycji, nie można jej jednak utożsamiać z totalnością oporu ludzi, którzy nie rozumieją zmian. Przecież zeszłoroczne weta prezydenckie też wypływały z refleksji, że ludziom trzeba pewne rzeczy spokojnie tłumaczyć. Jeżeli popatrzymy, ile razy musimy nowelizować ustawy, to widzimy przecież również element nieskuteczności Ministerstwa Sprawiedliwości. Oczywiście zawsze można powiedzieć, że trudno przewidzieć taką reakcję przeciwników politycznych, stąd tempo prac i wkradające się błędy, ale rządzący dźwigają na plecach większą odpowiedzialność i muszą przewidywać różne scenariusze, aby nie być zaskakiwanymi.

Może krokiem w kierunku dialogu z Komisją Europejską była nowelizacja z kwietnia?

W tym przypadku popełniliśmy błąd diagnostyczny, ponieważ Bruksela – moim zdaniem – wysyłała fałszywe sygnały. Myśleliśmy, że to się odbędzie na zasadzie: „My poudajemy zmianę ustawy, a oni będą udawać kompromis", ale zostaliśmy oszukani, bo o żadnym kompromisie mowy nie było. Bruksela chce konfrontacji.

Według prof. Ryszarda Piotrowskiego z UW wybranie nowego I prezesa Sądu Najwyższego jest już niemożliwe, ponieważ wszystkie ustawowe terminy minęły. Będzie kolejna nowelizacja?

Ech, znowu wracamy do punktu wyjścia. Gdybyśmy spokojniej pracowali w lipcu 2017 r., być może nie trzeba by było teraz wszystkiego poprawiać. Chociaż nie zmieniłoby to wściekłości ataków, trzeba było wtedy wziąć w nawias TVN oraz totalną opozycję i wciągnąć w dialog tę część społeczeństwa, którą da się jeszcze przekonać.

A co z elektoratem, który czekał na szybkie i stanowcze reformy? Mógłby się czuć zawiedzony.

Faktycznie, przez długi czas największym walorem PiS w oczach wyborców było to, że przeprowadza reformy skutecznie. Przy reformie wymiaru sprawiedliwości przeciwnik okazał się jednak tak silny, że skuteczność okazała się problematyczna. To przypomina mi sytuację, w której w pierwszej dekadzie XXI w. wymiar sprawiedliwości zbuntował się przeciwko ustawie lustracyjnej.

eprasa.pl ee82e2794e

Jarosław Kaczyński w niedawnym wywiadzie telewizyjnym stwierdził, że prawdziwa reforma systemu sądowniczego – taka, którą odczują ludzie – dopiero przed nami. Ile przyjdzie czekać na redukcję przewlekłości postępowań?

Tego nie wiem, ale wiem, że same ustawy nie są w stanie błyskawicznie zmienić mentalności ludzi. Można ustawami przyspieszać orzekanie, co starał się jeszcze w PO robić Jarosław Gowin, ale nie są to zmiany trwałe. Jeszcze niedawno sądziłem, że trzeba było faktycznie zaakcentować pozytywne skutki reform, zanim przejdzie się do rozgrywek personalnych. Teraz sądzę, że bez nich cała reforma i tak byłaby torpedowana. Proszę jednak zwrócić uwagę, że i tak minister Zbigniew Ziobro wprowadził sporo usprawnień, m.in. odnośnie do ściągania alimentów, losowania sędziów, poszerzenia obrony koniecznej czy więziennictwa.

Często bywa pan w Strasburgu w Radzie Europy. Czy sytuacja polskiego wymiaru sprawiedliwości faktycznie spędza tam sen z powiek?

Nie odniosłem takiego wrażenia. Europarlamentarzyści faktycznie coś słyszeli z zachodnich mediów, ale gdy im tłumaczę, że spór dotyczy tego, kto mianuje sędziów, dziwią się, ponieważ w większości krajów parlament wpływa na obsadę stanowisk. Polska ma złe papiery w innym obszarze. Tych polityków znacznie bardziej przejmuje perspektywa dyskusji nad zaostrzeniem prawa aborcyjnego czy kwestia małżeństw homoseksualnych. Tak zwane prawa reprodukcyjne, a nie sądy, to dzisiaj szkiełko, przez które Strasburg i Bruksela patrzą na Polskę jako na kraj, w którym „łamane są prawa człowieka".

Aborcja ważniejsza niż konstytucja?

Myślę, że tak. To są takie zbitki słowne i ideologiczne, które się ze sobą świetnie łączą. Populiści-faszyści, którzy walczą z „prawami kobiet". Gdzieś tam przy okazji „niszcząc sądy", które mogłyby tych uciśnionych mniejszości bronić.

Roger Waters, były muzyk Pink Floyd, na koncercie w Gdańsku nazwał Jarosława Kaczyńskiego „neofaszystą"...

Przezabawne, ale gdy człowiek sobie uświadomi, że to obowiązująca od końca 2015 r. narracja w większości państw Unii, robi się poważnie. Uważam, że w tej kwestii nigdy nie można odpuszczać, trzeba się spierać, tłumaczyć i prostować – łącznie z trzaskaniem drzwiami. Nikt nie ma prawa nazywać polskiego rządu „faszystami", nawet jeśli to słowo wytrych. Nawet Władimira Putina nie miałbym odwagi tak nazwać, chociaż uważam, że jest dyktatorem. Naprawdę, my w Polsce wiemy, czym były totalitaryzmy, bo doświadczyliśmy ich empirycznie. Niestety, w wielu państwach to tylko pałka do uderzania w polityków, którzy nie mówią jednym chórem z mainstreamem. Naprawdę przykro patrzeć, jak część opozycji stara się uwiarygodnić swoje skrajne metody, opowiadając za granicą, jak to muszą w Polsce walczyć z faszyzującym reżimem. Potem trudno się dziwić, że niektórzy ludzie naprawdę w to wierzą – w końcu otrzymują potwierdzenie swoich domysłów również z naszego kraju. No ale co zrobić, jeśli niektórzy dzielą świat według jednego kryterium: na faszystów i antyfaszystów?

> **Nikt nie ma prawa nazywać polskiego rządu „faszystami".**
> **My w Polsce wiemy, czym były totalitaryzmy, bo ich doświadczyliśmy**

Senat przyjął bez poprawek nowelizację kodeksu wyborczego dotyczącą ordynacji wyborczej do Parlamentu Europejskiego. Jako jedyny senator PiS głosował pan przeciw. Dlaczego?

To proste – uważam, że podwyższając progi wyborcze, pchamy opozycję ku koalicji i jedności, a to bardzo duży błąd polityczny.

Tak lakoniczny komentarz odnośnie do decyzji podjętej w kontrze do całej partii?

No dobrze, to jeszcze coś dodam: tym ruchem eliminujemy również potencjalnych sojuszników w postaci ludzi niegłosujących na PiS, ale niebędących „antypisem", np. ruch Kukiz'15.

Pana argumenty powtarzało wielu konserwatywnych publicystów, osobną petycję wystosował Klub Jagielloński. Dlaczego władza pozostała głucha? Duopol PO-PiS jest jej po prostu na rękę?

Tutaj znów będę dzielił włos na czworo. Patrząc tylko na potencjalne zyski, wydaje mi się, że duopol partyjny nie jest korzystny dla Prawa i Sprawiedliwości, ponieważ wyklucza on istnienie mniejszych grup, które mogłyby być naszymi koalicjantami. Analizując to zagadnienie szerzej, nie jestem z kolei przekonany, czy mnogość partii w parlamencie przekłada się na wzrost poziomu i korzyść dla państwa. Pluralizm jako taki nie może być fetyszem, bo w sytuacji systemu dwupartyjnego – tak jak w USA – tę rolę przejmują konkretne skrzydła w partiach. Mam nadzieję, że jestem właśnie kimś takim w PiS.

Pan mówi „skrzydło", a złośliwi powiedzą, że Obremski jest „rozkraczony".

A wie pan, raczej się z takimi głosami nie spotykam. Może ludzie tak myślą, ale nikt mi tego nie mówi wprost.

A jak było z pana startem w wyborach na prezydenta Wrocławia? Jarosław Gowin się starał, były podchody u Jarosława Kaczyńskiego, ale jednak wybrano posłankę PiS Mirosławę Stachowiak-Różecką. Kara za niesubordynację?

Wiem, że to zabrzmi mało wiarygodnie, ale mówię bez emocji: trzymam kciuki za panią Stachowiak-Różecką. Od początku zdawałem sobie sprawę, że nominacja dla mnie jest obarczona ryzykiem osoby, która orbituje w granicach PiS, do którego zresztą klubu, a nie partii, przyszedłem z daleka.

Bo aż z Platformy Obywatelskiej.

Hmm... PO opuściłem 10 lat temu. O kandydowaniu myślałem na chłodno i może mi się wydawać, że miałbym większe szanse na pozyskanie elektoratu środka, ale to dywagacje, które nie będą podlegać pod sprawdzian wyborczy. Teraz trzymam kciuki za kandydatkę partii.

A może prezes chciał uniknąć scenariusza Kazimierza Michała Ujazdowskiego? Też centrysta, też z innej partii, też Wrocław. A jak się skończyło, wszyscy wiemy.

Nie sądzę, aby była tutaj bezpośrednia analogia. Ujazdowski miał pokazać konserwatywną twarz Platformy, która przestała istnieć po głosowaniu w sprawie projektów prawa aborcyjnego i wyrzucenia posłów opowiadających się za jego zaostrzeniem. Tyle że chwilę później zaczął się wypowiadać pozytywnie o Paradach Równości i popierać in vitro, więc ludzie zobaczyli, że to jest jakieś niespójne.

Konserwatyzm bezobjawowy?

Absolutnie tak. Mam nadzieję, że PiS we Wrocławiu – i szerzej, w Polsce – taki bezobjawowy nie będzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ee82e2794e

Wojciech Wybranowski

Spokojnie jak nad Wisłą

Chociaż według wielu polityków w Polsce są dyktatura, rasizm i faszyzm, to właśnie do nas uciekają ludzie obawiający się zamachów czy represji urzędników. I do nas przyjeżdża coraz więcej turystów

Politycy UE, wspierani przez polską opozycję oraz lewicowo-liberalne media, rysują straszny obraz Polski. Z zachodnich publikacji można by wnioskować, że nasz kraj pod rządami PiS jest hybrydą co najmniej Łukaszenkowej Białorusi i Putinowskiej Rosji. Tylko obok tego medialnego obrazu funkcjonuje „świat równoległy", świat zwykłych mieszkańców państw Unii, którzy coraz częściej – i nierzadko w kontrze do swoich polityków – ciepło i ze sporym zainteresowaniem wypowiadają się o Polsce.

– Polska stała się obiektem ostrej nagonki lewicowej propagandy. Sęk w tym, że w ową propagandę wierzą głównie zwolennicy lewicy. Większość ludzi, którzy interesują się Polską, czytają o niej lub byli w waszym kraju, widzi, że prawda jest zupełnie inna – mówi „Do Rzeczy" Jack Posobiec, amerykański dziennikarz i PR-owiec, współpracujący z konserwatywną stacją One America News Network.

SZWEDZKA ZMIANA

„Dziękujemy, Polacy" – taki transparent wywieszony przez młodych Szwedów na trasie przejazdu wozów bojowych straży pożarnej pożegnał 139 polskich strażaków, którzy przez dwa tygodnie uczestniczyli w gaszeniu gwałtownych pożarów, które wybuchły w środkowej Szwecji.

– Te ostatnie dwa tygodnie dzięki wam, dzięki waszej pracy, to jedna z najpiękniejszych wizytówek i promocji naszego kraju – dziękował strażakom Joachim Brudziński, szef MSWiA. I wiele wskazuje na to, że nie były to słowa na wyrost. Jeszcze przed rokiem szwedzki minister sprawiedliwości i migracji Morgan Johansson, po głośnym Marszu Niepodległości w Polsce, mówił o rzekomo obecnych w naszym kraju „silnych elementach nazistowskich". A akcja polskich strażaków w Szwecji spowodowała, że w tamtejszych mediach społecznościowych zaczęło pojawiać się wiele ciepłych słów na temat Polski i Polaków sygnowanych hasztagiem #TackPolen [Dziękuję, Polsko – przyp. red.], zaś w Internecie przetoczyła się burzliwa dyskusja na temat tego, jaka Polska jest w rzeczywistości. Szybko okazało się, że wśród wielu zwykłych Szwedów opinia o naszym kraju jest diametralnie odmienna od tej, jaką w ich kraju kreślą bliskie socjalistycznemu rządowi media. „Należy się wstydzić. Polscy strażacy teraz pomagają ugasić pożary lasów. Polacy to ludzie, których nazwaliście rasistami, nazistami etc. Czy zamierzacie przeprosić?" – wytykał Johanssonowi na Twitterze internauta Stefan Fahlander. Inny zaś dodawał: „Teraz poprośmy Polaków, by wysłali swoich policjantów, niech chronią nas przed uchodźcami", co spotkało się z odpowiedzią innej internautki ze Szwecji: „I niech zrobią coś z tym gender", kolejna zaś napisała: „Śmiałam się z Polaków. Teraz jest mi wstyd. Płaczę".

AZYL DLA NORWEŻKI

– Nikt myślący, kto interesuje się tym, co dzieje się w środkowej Europie, nie powie, że Polska jest krajem antydemokratycznym – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" Tone Staum, tłumaczka na język norweski książki „Dzieci Norwegii" Macieja Czarneckiego. Staum, deklarująca się jako socjalistka, w latach 90. spędziła wiele miesięcy w Polsce, pisząc pracę magisterską o skrajnej prawicy w Europie Środkowo-Wschodniej. Od tego czasu stara się śledzić wydarzenia w naszym kraju.

– Niektórzy u nas mówią, że Polska zrobiła się bardziej konserwatywna, zwłaszcza jeśli chodzi np. o prawo do aborcji, ale nie nazywa się was czy nie porównuje z nazistami. Inna rzecz, że niestety polska historia i kultura są tutaj mało rozpropagowane – mówi Staum. Zwraca też uwagę, że Polska wśród norweskich rodzin zaczyna uchodzić za kraj, w którym można znaleźć schronienie przed aktywnością cieszącej się złą sławą norweskiej Barnevernet, znaną z odbierania rodzinom dzieci pod błahym pretekstem.

Rok temu Silije Garmo wraz ze swoją ośmiomiesięczną córką uciekła z Norwegii do Polski. Po wielu miesiącach nachodzenia w domu, przesłuchań, urzędnicy Barnevernet zarzucili jej, że nadużywa środków przeciwbólowych i jest „chronicznie zmęczona", co miało rzekomo uniemożliwiać właściwą opiekę nad dzieckiem. – Kiedy złożyłam wniosek o azyl jako Norweżka, polski urzędnik myślał, że się przesłyszał. Dopytywał kilkukrotnie, czy na pewno nie jestem z Czeczenii – opowiadała Garmo w rozmowie z „Super Expressem". Dziennikarz pytał ją też, czy nie wystraszyły jej publikacje europejskich mediów wieszczących, że Polska staje

eprasa.pl ee82e2794e

się krajem antydemokratycznym. – Studiowałam prawo i nauki polityczne, zatem umiem odróżnić propagandę od informacji – zripostowała Norweżka.

Mimo że Urząd ds. Cudzoziemców formalnie uznał, że „istnieją obiektywne przesłanki, aby zakładać, iż udzielenie azylu Silje Garmo oraz jej małoletniej córce – Eirze Garmo – jest niezbędne dla zapewnienia ww. cudzoziemcom ochrony", polskie MSZ odmówiło przyznania jej ochrony azylowej. Uznano natomiast, że kobieta może przebywać w Polsce, jak długo zechce. Kobieta, której pomaga Ordo Iuris, pod koniec lipca złożyła już kolejny wniosek o azyl.

POODDYCHAĆ WOLNOŚCIĄ

Do Szczecina ze szwedzkiego Göteborga uciekła także Greta Magnusson. Starsza kobieta zdecydowała się wybrać Polskę, bo w swoim rodzinnym kraju przestała czuć się bezpiecznie. Kilka razy była ofiarą agresji uchodźców z krajów islamskich i doświadczyła bezradności policji.

Któregoś dnia obejrzała program na YouTube, w którym jej rodaczka zachwycała się tym, że nad Wisłą można spotkać się z przyjaciółmi w kawiarni, nie obawiając się napadu. – I wtedy pomyślałam: tam chciałabym się przeprowadzić. Tu można oddychać wolnością, dokładnie tak jak kiedyś w Szwecji – mówiła Magnusson w rozmowie z dziennikarzem Radia Szczecin.

Kilka dni temu na swoim Facebooku zamieściła uśmiechnięte zdjęcie i rysunek biało-czerwonej flagi. „Polska wydaje się dla ciebie dobra, wyglądasz na szczęśliwą, musi być cudownie być w stanie wyjść na spacer bez konieczności ciągłego oglądania się za siebie" – skomentowała jej koleżanka Gunilla.

Polska jako kraj wolności i bezpieczny azyl – tak nasze państwo rysuje też w rozmowach ze swoimi czytelnikami popularna norweska pisarka Hege Storhaug, działaczka ruchów walczących o prawa kobiet, autorka wydanej także w języku polskim książki „Islam. Jedenasta plaga". – W Polsce nie ma zasłon na twarzach kobiet, nie ma lęku przed atakiem islamskich terrorystów – mówi „Do Rzeczy" Hege Storhaug. Właśnie wróciła ze swojej czwartej już wizyty w Polsce, tym razem odwiedziła Poznań, Gdańsk i Kraków. – Godny uwagi jest również wzrost zamożności w waszym kraju. My jesteśmy w odwrotnej sytuacji – przyznaje. – W Polsce panują bardzo pozytywne nastroje. To niesamowite widzieć, jak czyste i zadbane są miasta. Polacy są również bardzo pomocni i uprzejmi – podkreśla. Nie wyklucza, że sama niebawem przeprowadzi się nad Wisłę.

Urodzony w Gaskonii Marc Petit lubi dobrą kuchnię, dobre wino, lubi się śmiać i mieć wokół siebie przyjaznych ludzi. „Do Rzeczy" mówi, że jest też zadowolony, gdy nie musi się martwić o bezpieczeństwo swoje i najbliższych. To właśnie obawa przed coraz większą przestępczością we Francji, bezkarnością islamskich gangów i strach przed zamachami sprawił, że po tzw. buncie przedmieść w Paryżu i zamachu na redakcję „Charlie Hebdo" przeprowadził się wraz z rodziną do Polski – do Sopotu. Prowadzi restaurację Cyrano et Roxane. W Polsce zdążył się już zakochać, napisał nawet o niej książkę: „Gaskończyk w kraju Solidarności".

– Wiem oczywiście, co piszą francuskie media, ale ja mieszkam tu już długo, a nie widzę ani faszyzmu na ulicach, ani dyktatury, ani problemów z demokracją – mówi „Do Rzeczy". – Nie spotkało mnie w waszym kraju nic złego. Nie przywiązujcie wielkiej wagi do tego, co o was piszą nad Sekwaną. Mam wrażenie, że francuscy dziennikarze nie interesują się nie tylko tym, co się dzieje w Polsce, lecz także w ogóle poza granicami ich kraju.

CZYSTO I BEZPIECZNIE

Pradziadkowie Jacka Posobca, amerykańskiego dziennikarza, pochodzą z Polski, ale on sam po polsku nie mówi, choć trochę język rozumie. Pierwszy

eprasa.pl ee82e2794e

Turyści uważają Polskę za bezpieczny cel wycieczek. W ubiegłym roku nad Wisłę przyjechało 18,3 mln obcokrajowców

FOT. WOJCIECH ŁASKI/EAST NEWS

raz do kraju przodków przyjechał przed rokiem. Efektem jego podróży po Polsce było kilka filmów „Meanwhile in Poland", które zamieścił na Twitterze. Pokazywał ludzi odpoczywających w parkach, dzieci puszczające bańki mydlane na krakowskim rynku. – Zobaczcie, jakie to zabawne, w Polsce nie ma uzbrojonych patroli pilnujących bezpieczeństwa podczas Bożego Narodzenia – zachwalał pod jednym z nagrań.

Część młodych Amerykanów nie dowierzała: „Naprawdę nie ma tam zamachów?", „A gangi? Jak Polacy poradzili sobie z afrykańskimi gangami?" – dopytywali. Wśród komentarzy pod jego filmami pojawiło się też mnóstwo wpisów Amerykanów i zachodnich Europejczyków, którzy o Polsce mieli nieco większą wiedzę niż z mediów: „W przeciwieństwie do większości krajów UE Polska zapewniła swoje bezpieczeństwo. Nie ma terroryzmu, nie ma porwań dziewcząt przez gangi, nie ma prawa szariatu, nikt nie zmusza do ślubu ośmioletnich dzieci" – komentował Elbert Lyon, amerykański żołnierz weteran. Inni dodawali: „Nie wpuścili islamistów", „Ich lotniska i dworce też są bezpieczne", „Ameryka pierwsza, ale zaraz potem Polska", „To wygląda jak raj, może spędzić tam resztę życia", „Boże, błogosław Polskę". Krytyczne wobec Polski wpisy zarzucające nam „łamanie demokracji" tonęły w morzu pozytywnych.

– Amerykanie szanują odwagę Polski do obrony swoich tradycji kulturowych i dziedzictwa religijnego w świecie coraz bardziej lewicowym, w którym postmodernistyczny liberalizm promuje sekularyzm i ateizm – mówi Posobiec. I dodaje, że wśród młodych Amerykanów o konserwatywnych przekonaniach coraz więcej mówi się o Polsce jako jednym z niewielu krajów wolnych od islamskiego terroryzmu.

Latem ubiegłego roku zamieścił na Twitterze mapę zamachów terrorystycznych w Europie. Kropki wskazujące miejsca, gdzie doszło do zbrodni, pokrywały niemal cały kontynent. Nie było ich tylko w kilku krajach, w tym w Polsce.

„Polska ma bardzo rygorystyczną politykę. Zero islamskich imigrantów. Wnioski wyciągnijcie sami" – napisał Jack pod mapką. Reakcje Amerykanów znów były znamienne: bardzo wiele wpisów zachwalających nasz kraj jako miejsce bezpieczne, do którego chcieliby się kiedyś wybrać.

Podobnie sporo entuzjazmu wśród młodych internautów w Europie wywołało jedno z wystąpień premier Beaty Szydło, w którym sprzeciwiała się nieodpowiedzialnej polityce imigracyjnej krajów UE. Przetłumaczone na język angielski robiło furorę w sieci. „Polakom chyba w krew weszło ratowanie Europy", „Boże błogosław ten piękny kraj" – pisało wielu z internautów ostro krytykujących lewicowo-liberalne elity UE.

TURYŚCI WYBIERAJĄ POLSKI SPOKÓJ

W ubiegłym roku brytyjski „Daily Express" na podstawie danych brytyjskiego Biura Spraw Zagranicznych oraz Wspólnoty opublikował listę krajów, w których można bezpiecznie spędzić urlop lub wybrać się na wycieczkę. Polska znalazła się w ich ścisłej czołówce.

A zainteresowanie Polską wśród obcokrajowców wciąż wzrasta. W 2012 r. przyjechało ich do Polski 14,8 mln, rok później już 15,8 mln. W 2015 r. Ministerstwo Sportu i Turystyki zanotowało liczbę 16,7 mln turystów, w roku 2016 było ich już 17,5 mln, a rok temu – 18,3 mln.

W ubiegłym roku dało się zauważyć też inne ciekawe zjawisko – ponad 50-procentowy wzrost zainteresowania Polską wśród Chińczyków. W 2017 r. przyjechało ich do Polski ok. 142 tys. Znacznie więcej jest też odwiedzających z Izraela. Rok temu przyjechało ok. 100 tys. osób (to dwa razy więcej niż jeszcze w 2014 r.). O blisko połowę więcej turystów przyjeżdża też z Indii, Australii, Japonii czy Portugalii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ee82e2794e

Ukraiński

Piotr Semka

Stan zmarzliny w relacjach na linii Warszawa – Kijów potrwa jeszcze dłuższy czas

Polska – Ukraina – Wołyń
WOŁYŃ PAMIĘTAMY
STOP GLORYFIKACJI UPA
Piotr Żychowicz
PiS do niedawna uznawany był za najbardziej proukraińską partię w Polsce. Dzisiaj relacje z Kijowem są fatalne
ZWROT PIS
FOT. SUNDAY

Problem stosunków polsko-ukraińskich tkwi jak cierń w świadomości polskiej prawicy. Dlatego z dużym zainteresowaniem przeczytałem tekst mojego redakcyjnego kolegi Piotra Zychowicza „Polska – Ukraina – Wołyń" („Do Rzeczy" 29/2018). Piotr stara się w nim przeanalizować, co poszło „nie tak" w naszych wzajemnych relacjach i jak można wyjść z tego klinczu.

Zaczyna od dość często przytaczanego obrazka. Oto grudzień 2013 r. i na kijowskim Majdanie przemawia do „braci Ukraińców" Jarosław Kaczyński, wzywając ich do walki i wytrwania. I drugi obrazek – z lipca br. – gdy Andrzej Duda składa samotnie na Ukrainie hołd mieszkańcom Ołyki wymordowanym przez UPA. A w tym samym czasie prezydent Ukrainy Petro Poroszenko, także w pojedynkę, oddaje na terenie Polski hołd mieszkańcom wsi Sahryń, którzy zginęli z rąk AK i Batalionów Chłopskich. Piotr Zychowicz pyta, dlaczego nie powtórzyła się sytuacja z 2006 r., gdy prezydenci Lech Kaczyński i Wiktor Juszczenko w Pawłokomie wspólnie oddali hołd ofiarom polsko-ukraińskiego konfliktu?

NIC NIE JEST TAKIE SAMO

Jestem zaskoczony, że Piotr Zychowicz się dziwi. Nie można tego zjawiska po polskiej stronie wytłumaczyć – tak jak chce mój kolega – jedynie chęcią PiS do przypodobania się kukizowcom i Ruchowi Narodowemu.

Zychowicz pisze: „PiS tych wyborców lekceważyć nie może". Jest w tym część racji. Gdy Kaczyńskiemu na czymś zależało, np. na odkręceniu nowelizacji o IPN, nie zastanawiał się, jak przyjmie to jego elektorat. Bardziej prawdopodobne jest to, że rozczarowanie przeżył sam Kaczyński. Jak zwykle w przypadku lidera PiS może mieć ono związek z pamięcią o jego bracie Lechu. Pamiętając, jak wiele zrobił dla zasypywania rowów pamięci między Polską a Ukrainą, Jarosław Kaczyński mógł uznać zwrot prezydenta Wiktora Juszczenki z 2009 r. za osobisty afront. A gloryfikowanie UPA – za zlekceważenie wysiłków i dobrej woli jego brata Lecha.

I dopiero na tym tle możemy rozpatrywać realne zjawisko – powolny odwrót od sympatii proukraińskich w Polsce. To też nie wzięło się znikąd.

Po pierwsze, 10 czy 15 lat temu wiedza o skali i drastyczności mordu wołyńskiego nie była tak powszechna. Po drugie, to, że Ukraina w pełni uniezależniła się od Rosji – stworzyło u wielu Polaków poczucie, że imperium Putina oddaliło się od nas, więc i Ukraina nie musi być traktowana z przesadną rewerencją. Jednocześnie wojna w Donbasie poruszyła w pewnej części polskiego społeczeństwa dość egoistyczne poczucie: „My jesteśmy po bezpieczniejszej stronie płotu. Niech Ukraińcy radzą sobie sami. A skoro nie chcą uznać skali i niesymetryczności naszych ofiar na Wołyniu – to niech w dwójnasób sobie radzą sami". Tym bardziej że po niezaproszeniu Polski do tzw. Formatu Normandzkiego wyczerpało się zapotrzebowanie w naszej dyplomacji bycia aktywnym.

A co się stało po stronie ukraińskiej? Kijów wie, że ma otwarte drzwi w Berlinie i Brukseli, więc rola Polski zmalała. Gdy w 2003 r. Aleksander Kwaśniewski i prezydent Ukrainy Leonid Kuczma wspólnie mówili o pojednaniu ponad tragedią Wołynia, ukraiński lider wciąż był traktowany na Zachodzie jako niedemokratyczny autokrata. Dla Kuczmy towarzystwo „Europejczyka Kwaśniewskiego" było zdobywaniem punktów. Dzisiaj Andrzej Duda nie musi uwiarygodniać Poroszenki. Obecny prezydent Ukrainy ma na Zachodzie własną pozycję.

Ukraina – kraj, który prowadzi wojnę – potrzebuje bohaterów walki, a nie męczeństwa. Prezydent Juszczenko próbował budować nową tożsamość na pamięci o wielkim głodzie, ale odkrył, że nie jest to specjalnie nośne. Z kolei próby gloryfikacji Symona Petlury – bardzo atrakcyjnego z polskiego punktu widzenia – zostały oprotestowane przez dawną Galicję. Z punktu widzenia zachodnich Ukraińców Petlura lekką ręką oddał Polakom w 1920 r. ich ziemię.

A UPA walczyła, i to do końca. A że o rzezi Wołynia wie się za Bugiem niewiele, to mało kto kojarzył upowców z antypolonizmem. Im bardziej niebezpieczna sytuacja, tym bardziej – szczególnie młodym – bojownicy oddziałują na wyobraźnię. Nie dziwmy się, bo w Polsce kult wyklętych przebił znacznie mniej wyrazistą legendę antyjaruzelskiej Solidarności.

Dopiero tę zmianę zbiorowej świadomości wykorzystała grupa historyków, głównie z Lwowszczyzny, którzy zaczęli tworzyć nową szkołę historyczną. Wizję wydarzeń nastawioną na symetryzację wzajemnych krzywd w czasie wojny i tuż po jej zakończeniu. To tacy historycy jak Wołodymyr Wjatrowycz czy Mychajło Kowal. Ten ostatni lansuje tezę o osobnej wojnie polsko-ukraińskiej w latach 1942–1947.

To co odróżnia sytuację Polski i Ukrainy w tym sporze? O ile na Ukrainie istnieje jednomyślność, że winy polskie i ukraińskie są równe, o tyle po stronie polskiej znacznie silniejsza jest frakcja „pedagogiki wstydu", która na rozpamiętywanie Wołynia patrzy z dużą niechęcią. Znaleźliśmy się więc w klinczu. Opcja Wjatrowycza w ukraińskim IPN dominuje. Bardziej ugodowa linia takich badaczy jak Jarosław Hrycak jest słaba. A władze polityczne nie mają żadnej potrzeby, by na razie coś

eprasa.pl ee82e2794e

POLEMIKA

węzeł gordyjski

zmieniać w oficjalnej wizji historycznej honorującej UPA. Na dodatek w przyszłym roku na Ukrainie odbędą się wybory prezydenckie i można przypuszczać, że walczący o reelekcję Poroszenko raczej będzie podlizywał się „nastrojom czarno-czerwonym [barwy UPA – przyp. red.]", niż szukał jakiegoś dialogu z Polską. Jego rywalka Julia Tymoszenko też nie zrobi niczego, co mogłoby zrazić do niej Galicję.

Ten stan zmarzliny w relacjach na linii Warszawa – Kijów potrwa jeszcze dłuższy czas. Chociaż nie znaczy, że będzie trwał wiecznie. Po prostu na wyłonienie się nowej grupy badaczy trzeba 7 – 10 lat. Chyba że zdarzy się coś, co zmusi przywódców Ukrainy do zmiany tonu w relacjach z Polską. Na razie nic takiego nie następuje.

I tu wróćmy do tekstu Piotra Zychowicza, który snuje rozważania o jakimś historycznym kompromisie. Zychowicz pisze: „Polska mogłaby uznać niepodległościowe zasługi UPA w walce z bolszewikami i wycofać się z ukraińskich zapisów o IPN. Ale Ukraina w zamian musiałaby uznać rzeź na Wołyniu za ludobójstwo".

Pomysł brzmi nieźle, ale jest trudny do realizacji, bo np. uhonorowany na Ukrainie pomnikami Roman Szuchewycz bił się z komunistami po wojnie aż do śmierci w obławie NKWD, ale ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za wcześniejsze plany masakry wołyńskiej. Zychowicz swoje nadzieje na kompromis z Ukrainą buduje na przekonaniu, że „Ukraina potrzebuje Polski bardziej niż Polska Ukrainy".

Niestety, nie podzielam tej opinii. Ukraina nie postawi wyżej wrażliwości historycznej Polaków nad wymogi polityki wewnętrznej. A szczególnie w roku wyborczym.

Oczywiście jakieś deale Donalda Trumpa czy Europy z Putinem mogą ten stan zmienić, ale na razie to tylko gdybanie.

MOŻE BYĆ GORZEJ

Mój tekst nie ma służyć jakiemuś taniemu optymizmowi. Może właśnie dlatego, że partnerstwo polsko-ukraińskie jest mi bliskie. Obawiam się zamrożenia wszelkiej relacji między dwoma sąsiadującymi krajami na zasadzie swoistego paraliżu. Zwycięstwa opinii typu: „Jak możemy z nimi współpracować, skoro oni wciąż kłamią na temat Wołynia?". Szczególnie na prawicy bolesna kwestia rozrachunków historycznych stawiana jest jako czynnik, który winien blokować wszystkie kwestie. Próby zachęty, by dyskutować o innych aspektach wspólnej historii niż tylko o Wołyniu, wywołują ostre riposty: „Jak można dyskutować z kimś, kto chce pisać historię na nowo?". Powiem szczerze – taka postawa w zbyt dużym stopniu zdominowała myślenie po prawej stronie. Jednak życie nie znosi próżni. Monopol na dialog z Ukraińcami zyskały takie ośrodki jak „Krytyka Polityczna" czy „Gazeta Wyborcza". Nie bierze się to oczywiście znikąd. Ukraińcom wygodniej jest czytać dziennik z Czerskiej, w którym mogą przeczytać tezy Ernesta Skalskiego, że przypadki mordów ludzi „Łupaszki" czy „Burego" „tylko skalą różnią się od ludobójstwa dokonywanego przez UPA".

W perspektywie paru lat może dojść do bardzo niebezpiecznego zjawiska. Oto rosnąć będzie liczba młodych Ukraińców, którzy przyjechali do Polski z zamiarem pracy przez rok czy dwa lata, ale z czasem podejmą decyzję o ułożeniu sobie życia nad Wisłą na stałe. I wtedy część z ich elit może skorzystać z oferty naszej lewicy, by przyjąć rolę bojowników z polskim szowinizmem. Skoro będą słyszeć, że polska niechęć do Ukraińców to efekt „postkolonialnej" pogardy do narodu dręczonego między XIV a XIX w. na takiej samej zasadzie jak Belgowie dręczyli Kongo, to będą chcieli zrobić na tym karierę.

Na łamach portalu OKO.press reklamowany był niedawno list Igora Isajewa, dziennikarza mieszkającego od wielu lat w Polsce, ale rodem z Ukrainy. List odnosił się do wypowiedzi posła Tomasza Rzymkowskiego i wicemarszałka Stanisława Tyszki na temat Ukraińców. Isajew protestował przeciwko wypowiedziom posłów wyrażających zaniepokojenie skalą przyjazdów Ukraińców do Polski. To publiczne wystąpienie ukraińskiego dziennikarza nie budziłoby tak wielu złych emocji, gdyby nie zostało wystosowane z zaznaczeniem, że jego datą był 11 lipca – 75. rocznica krwawej niedzieli na Wołyniu. Jak pisze Isajew: „Brutalna fala zabójstw, która ogarnęła wówczas Polaków i Ukraińców, stała się możliwa między innymi dlatego, że w II Rzeczypospolitej doszło do zrujnowania debaty publicznej i wizji dobra wspólnego obywateli II RP. Historia sprzed lat powinna nas czegoś nauczyć; w żadnym wypadku wzajemnej nienawiści, a tym bardziej powielania wzorców budowania obrazu wroga, używania języka nienawiści, który w końcowym rezultacie kilkadziesiąt lat temu doprowadził do okrutnych zbrodni".

Sposób, w jaki Isajew połączył swoje zaniepokojenie ze słowami posłów Kukiz'15, jest przykładem tego, jak Ukraińcy w Polsce mogą temat Wołynia łączyć z przypominaniem o krzywdach swoich ojców w przedwojennej Polsce i z obecnymi przypadkami niechęci wobec przybyszy za wschodniej granicy. Dla wielu Polaków takie zestawianie dwóch tematów będzie nie do przyjęcia.

Dzisiaj Ukraińcy, którzy przyjeżdżają do Polski, skupiają się na swojej pracy i nie tworzą bardziej widocznych organizacji. Jednak tak nie musi być w przyszłości. A wtedy niewyleczone spory działać będą jak mieszanka wybuchowa. Ten niepokojący dylemat przyszłości nie jest specjalnie dostrzegany. Dla lewicy to nie jest problem, bo ona w ramach walki z „polskim samozadowoleniem" z rozkoszą będzie popierać i chwalić takie wystąpienie jak list Isajewa. Z kolei po prawej stronie reakcją na jakiekolwiek zaognienia będzie prosta recepta: „Wywalić wszystkich, jak leci, za Bug".

O wiele trudniejsze dla polskiej prawej strony będzie prowadzenie dialogu ze społecznością ukraińską tutaj i na Ukrainie. A jednak bez niego nie może się obyć. Jego uczestnicy z polskiej prawicy muszą umieć przedstawiać nasze racje historyczne w taki sposób, by Ukraińcy chcieli ich słuchać. Wymaga to dostrzegania po ukraińskiej stronie różnic i niuansów.

Polska prawica nie może zamknąć się w wygodnym myśleniu pt. „Czekamy, aż Ukraińcy zrozumieją swoje zbrodnie". Taka postawa jest bardzo wygodna, ale nie wróży sukcesu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ee82e2794e

Paradoksy opozycji

Klementyna Suchanow została okrzyknięta bohaterką po pomazaniu sprayem budynku Sejmu FOT. GRZEGORZ BANASZAK/REPORTER

Kamila Baranowska

Opozycja i jej sympatycy w swojej walce z PiS stosują metody, którymi dotąd szczerze pogardzali. To efekt bezsilności, która prowadzi do coraz większych frustracji i zdziczenia

Ostatnie trzy lata w polskiej polityce to czas pełen paradoksów. Zwłaszcza po stronie opozycji, która nadal zachowuje się tak, jakby była totalnie zaskoczona wynikiem wyborów i wierzyła w to, że rząd PiS jest rządem tylko na chwilę. O ile tuż po wyborach taki stan można było tłumaczyć szokiem, o tyle dziś trudno powiedzieć, czym kierują się wszyscy ci, których marzeniem jest odsunięcie PiS od władzy. Zachowują się coraz mniej racjonalnie i coraz bardziej emocjonalnie. A emocje w polityce nie są dobrym doradcą.

PARADOKS 1. To samo, tylko mocniej

O tym, dlaczego w 2015 r. PiS wygrał wybory – zarówno prezydenckie, jak i parlamentarne – napisano wiele tekstów, analiz politologicznych, raportów socjologicznych i tym podobnych. Wynika z nich jasno, że jednym z decydujących czynników były konkretne sprawy, które PiS obiecał załatwić, a które dużo wcześniej zamieścił w swoim programie. Chodzi zarówno o kwestie społeczne („500+", wiek emerytalny, stawki godzinowe etc.), jak i systemowe (jak reforma oświaty czy konieczność zmian w sądownictwie). Od trzech lat PiS pokazuje Polakom, że stara się dotrzymywać obietnic złożonych w kampanii. Wychodzi to lepiej (jak z „500+") lub gorzej (jak z budową mieszkań), ale jakoś idzie do przodu. Tymczasem opozycja ustami swoich prominentnych polityków twierdzi, że program nie jest jej do niczego potrzebny. Konkrety też nie są potrzebne, bo najważniejsze to odsunąć PiS od władzy. I na tym pomysły największej partii opozycyjnej się kończą.

„Dzisiaj najpilniejszą sprawą w Warszawie i w całej Polsce jest zatrzymanie niszczenia społeczeństwa i łamania praw obywatelskich, których dokonuje rząd PiS. Budowę autostrady można wstrzymać i wrócić do tego za kilka lat. Na spustoszenie w edukacji, zdrowiu, przyrodzie, zabudowie miast czy wreszcie na rozbudzanie faszyzmu musimy reagować natychmiast" – napisał w miniony poniedziałek Rafał Trzaskowski, kandydat PO i Nowoczesnej na prezydenta Warszawy. Do tego samego sprowadzały się słowa byłego szefa MON Tomasza Siemoniaka w niedawnym wywiadzie dla „Kultury Liberalnej". Siemoniak w tej rozmowie mówi rzeczy niezwykle ciekawe. Na przykład, że z jego rozmów na spotkaniach w terenie wynika, że „ludzie nie oczekują już odpowiedzi na pytanie, czy utrzymamy »500+« i inne pozytywnie oceniane rozwiązania wprowadzone przez PiS, tylko: jak można tej partii odebrać władzę". – Można sto zaklęć sformułować i mówić, że najważniejszy jest program. Ale naprawdę dawno nikt już mnie nie zapytał, co my zrobimy np. z reformą edukacji, czy będziemy ją odwracać, czy nie będziemy odwracać. Ludzie przestali o to pytać. Interesuje ich tylko to, jak sprawić, żeby Polska wróciła na normalną ścieżkę – tłumaczy Siemoniak.

Dokładnie ten sam sposób myślenia przyświecał Platformie w kampanii 2015 r. Cała kampania została oparta na straszeniu powrotem do władzy Kaczyńskiego, Macierewicza i Ziobry, tylko że to, co działało świetnie w roku 2007 i 2011, nie zadziałało w roku 2015. Pytanie, dlaczego miałoby zadziałać w roku 2020?

PARADOKS 2. Zakładnicy radykałów

Tomasz Siemoniak i inni politycy PO, powołując się na spotkania w terenie i rozmowy z ludźmi, którzy domagają się od opozycji głównie walki z PiS, muszą zdawać sobie sprawę z tego, kto na takie spotkania przychodzi. A przychodzą najbardziej radykalni zwolennicy opozycji (czy też przeciwnicy PiS, choć to nie zawsze są tożsame grupy). Jeśli jednak

eprasa.pl ee82e2794e

na podstawie ich opinii główna partia opozycyjna wyciąga wnioski na temat ogólnie panujących nastrojów społecznych, to może się na koniec mocno zawieść. Tak jak zawiodła się w 2015 r. Problem jest zresztą poważniejszy. Ponieważ ów najbardziej radykalny wyborca wraz z postępującą polaryzacją polityki staje się jeszcze bardziej radykalny i od swojej partii żąda tego samego, wierząc, że walka ze znienawidzonym wrogiem wymaga nadzwyczajnych środków. W tym kierunku zdaje się dziś podążać Grzegorz Schetyna, zapowiadając, że postawi polityków PiS przed Trybunałem Stanu, a Włodzimierz Czarzasty dodaje, że to SLD, a nie PO jest gwarantem tego, że dzisiejsi rządzący przed ów Trybunał trafią.

Politycy opozycji są dziś zakładnikami na własnej piersi wyhodowanych radykałów. Sęk w tym, że im bardziej spełniają ich oczekiwania, tym bardziej zrażają do siebie tych, którzy radykałami nie są. Czyli większość wyborców.

To problem, z którym boryka się nie tylko opozycja, lecz także PiS. Partia Kaczyńskiego potrafiła jednak w 2015 r. wyjść z tego błędnego koła i skierować się także ku tym wyborcom, którzy twardymi zwolennikami Kaczyńskiego nigdy nie byli. Trafiła do nich swoimi obietnicami. Tymi, które miała – będąc w opozycji – zapisane w swoim programie, a którego – jak słyszymy – dzisiejsza opozycja wcale nie potrzebuje.

PARADOKS 3. Kampania negatywna

Kolejny paradoks – związany z dwoma poprzednimi – polega na tym, że dziś poważni politycy opozycji oraz jej sympatycy, którzy mają się za tych lepszych, bardziej wykształconych, oświeconych, bez żadnych ogródek przyznają, że priorytetem w polityce jest nieustanna kampania negatywna, skierowana przeciwko jednej partii. Konstruktywne myślenie o polityce jest w tej logice wręcz niewskazane, bo zaciemnia obraz zła, jakim są rządy PiS. To zaskakująca zmiana w myśleniu tego środowiska o polityce.

PARADOKS 4. Cel uświęca środki

Skoro walka z PiS została uznana za absolutny priorytet polityki, to wiadomo, że wszystkie chwyty są w niej dozwolone. Także te, które jeszcze niedawno samemu uznawało się za żenujące i z których regularnie się wyśmiewano. To samo towarzystwo, które z obrzydzeniem patrzyło, jak Andrzej Lepper „kończy z Wersalem" w Sejmie, nie widzi problemu w okupacji mównicy sejmowej, przepychankach ze strażą marszałkowską czy wwożeniu liderów protestów przeciwko PiS w bagażniku samochodu na teren Sejmu. Ci sami ludzie, którzy z niesmakiem reagowali na uliczne protesty rozmaitych grup zawodowych czy społecznych, dziś nawołują do wychodzenia na ulice. Ci sami, którzy nie zostawiali suchej nitki na Marszach Niepodległości, bo „burdy, awantury i zatargi z policją", dziś marzą o tym, by podobne rzeczy miały miejsce podczas ich protestów i celowo prowokują policję, chcąc udowodnić światu, jak straszna dyktatura panuje w Polsce.

Kiedy okazuje się, że wszystkie te metody kiepsko działają, bo poparcie dla PiS nie spada, rośnie bezsilność. Ta zaś rodzi coraz większą frustrację i zdziczenie. Jak bowiem inaczej nazwać mazanie sprayem po budynku Sejmu i opowiadanie o tym jak o akcie bohaterstwa i odwagi? To przypadek Klementyny Suchanow, którą „Gazeta Wyborcza" okrzyknęła mianem polskiej Anny Politkowskiej. Albo wyznania pisarki Marii Nurowskiej, że wbija szpilki w laleczkę wudu posła Stanisława Piotrowicza w związku z czym „jego dni są policzone", by po chwili refleksji dodać, że „wystarczy mały wylew i paraliż". Z jednej strony trudno traktować takie wypowiedzi poważnie, z drugiej jednak strach pomyśleć, jak daleko można przesunąć granice debaty publicznej. I co z tego może wyniknąć.

PARADOKS 5. Być jak PiS, tylko bardziej

Patrząc na działalność opozycji i jej sympatyków z ostatnich trzech lat, ciężko oprzeć się wrażeniu pewnego déjà vu. Wszystko to, do czego dziś wzywają przeciwnicy PiS, widzieliśmy już parę lat temu. U zwolenników PiS. Na naszych oczach opozycja przejmuje praktyki, które – będąc w opozycji – stosował PiS. Znajomo brzmią dziś ostrzeżenia przed fałszowaniem wyborów i powoływanie własnych komitetów, które mają pilnować komisji wyborczych. Równie znajomo wyglądają organizowane od miesięcy Kluby Obywatelskie, czyli spotkania w terenie i próby tworzenia społecznego zaplecza. Do złudzenia przypomina to inicjatywy, takie jak kluby „Gazety Polskiej" czy Rodziny Radia Maryja. Te same, z których regularnie wyśmiewali się sympatycy ówcześnie rządzących. Dzisiaj ci sami ludzie podzielają sposób myślenia wyrażony przez prof. Magdalenę Środę, która niedawno nawoływała do organizacji antypisowskiego podziemia. I nie widzą w tym nic śmiesznego.

„Trzeba organizować podziemie: infrastrukturę, wydawnictwa, uniwersytety (nauczanie początkowe też), trzeba zorganizować system adwokatów, którzy będą bezpłatnie wspierać tych, którzy pójdą siedzieć, i system mieszkań dla tych, którzy się ukrywają; trzeba nauczyć się z powrotem robić i rozrzucać ulotki (»Precz z komuną«, »Kaczka orła nie pokona«, »Jesień wasza, wiosna nasza«, »Solidarność zwycięży«), tak by się nie dać złapać (najlepiej z dachów); trzeba zacząć się komunikować poza systemem, wymyślić i wyprodukować jakieś symbole (nowe oporniki?)" – proponuje prof. Środa. Można sobie wyobrazić komentarz prof. Środy, gdyby coś podobnego postulował jakikolwiek sympatyk prawicy w czasie, gdy u władzy była PO z PSL. Pewnie nazwałaby to szaleństwem. Albo gorzej.

PARADOKS 6. Nagiąć prawo w imię prawa

Przez ostatnie trzy lata dużo nasłuchaliśmy się o tym, jak bardzo PiS łamie prawo i konstytucję, oraz – co za tym idzie – jak bardzo rządy tej partii zagrażają demokracji i praworządności. Najznamienitsze autorytety prawnicze tłumaczą nam od trzech lat, że to właśnie kwestia przestrzegania prawa i zapisów konstytucji jest gwarantem demokracji liberalnej. Dzisiaj te same osoby zachwycają się tym, że sędziowie Sądu Najwyższego znaleźli sposób, prawniczą sztuczkę, by zrobić PiS na złość. Sąd Najwyższy skierował zapytania do Trybunału Sprawiedliwości UE i do czasu uzyskania odpowiedzi zawiesił stosowanie przepisów ustawy, z którą od początku się nie zgadzał. Po początkowej euforii przeciwników rządu, jak to wspaniale sędziowie „załatwili PiS", pojawiają się coraz to nowe pytania, na które nikt na razie nie potrafi sensownie odpowiedzieć. Skoro sędziowie Sądu Najwyższego mogą zawiesić zapisy ustawy w oczekiwaniu na orzeczenie, czy są zgodne z prawem europejskim, to czy tak samo nie mogą postępować sądy powszechne przy wydawaniu swoich wyroków? Rzecznik Sądu Najwyższego Michał Laskowski w rozmowie z „Dziennikiem Gazetą Prawną" stwierdził, że „taka interpretacja wydaje się możliwa". Może się zatem okazać, że sędziowie najważniejszego sądu w kraju, w imię obrony państwa prawa przed znienawidzonym PiS, wysadzają właśnie system prawny w powietrze. Czy można sobie wyobrazić większy paradoks?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ee82e2794e

Zwrot brukselski

Rafał A. Ziemkiewicz

„Ulica" okazała się odporna, dlatego opozycja stawia na „zagranicę" – tam odpowiadają życzliwie na wezwania do mieszania się w wewnętrzną politykę Polski

Wszystkie dotychczasowe siły opozycyjne, choćby najbardziej radykalne w odrzucaniu systemu, apelowały czy manifestowały pod różnie formułowanym hasłem: „Polacy, obudźcie się". Czy to blokady Samoobrony, czy „Rozmowy niedokończone" Radia Maryja, czy miesięcznice smoleńskie – schemat był mniej więcej ten sam: „Polacy, dzieje się zło, musicie je sobie uświadomić, zorganizować się i działać". Opozycja obecna manifestuje natomiast pod hasłem: „Europo, nie odpuszczaj". Rzecz nie tylko w haśle, lecz także w strategii. „Protesty, choć nieliczne, są sukcesem" – cieszą się działacze partyjni, a bardziej jeszcze ich medialni pomagierzy – bo są szeroko relacjonowane w zachodnich mediach i podtrzymują skupienie uwagi Europy na Polsce oraz przekonanie, że potrzebna jest międzynarodowa interwencja.

Przeciwnicy PiS właściwie nie ukrywają, że ich polityka to teatrzyk, którego widzami nie mają być Polacy. Tutaj, w kraju, przedstawienie trochę się rozłazi, widać szwy – ale to bynajmniej totalnej opozycji nie zraża, bo liczy się odbiorca zachodni. A ten zwyczajnie nie wie, że np. Dawid Winiarski, sfotografowany z temblakiem i w ortopedycznym gorsecie, tylko się tak przebrał, że już godzinę po rzekomym „porwaniu i skatowaniu" wrócił w pełnym zdrowiu na kolejną maskaradę, i nawet jego pełnomocnik prawny zmuszony był przyznać, że do zatrzymania go i postępowania policji z zatrzymanym nie można zgłosić żadnych zastrzeżeń. To wszystko nie ma znaczenia, bo tu, w kraju, żelazne elektoraty i tak wiedzą swoje. Chodzi o dostarczenie światu poruszającej ikonografii wspierającej prosty przekaz, którego zachodni odbiorca, a tym bardziej tamtejsze media, nie będą weryfikować.

Kolejnym krokiem w tej strategii jest sięgnięcie po oszczerstwo „faszyzmu". To oczywiście nic nowego, ale całkowicie bezpodstawna i obliczona na sprowokowania gwałtownych zajść decyzja warszawskiego ratusza o rozwiązaniu Marszu Pamięci 1 sierpnia, a także nieoczekiwane zapowiedzenie przez Rafała Trzaskowskiego w programie wyborczym polityki „zero tolerancji dla rasizmu i faszyzmu" oraz propagandowe wzmożenie „antyfaszystowskie" w PO to nie przypadek. To nic, że Polacy nie uwierzą w „dziesiątki tysięcy faszystów", a może nawet zezłoszczą się na rozgłaszających te bzdury za granicą polityków. Guy Verhofstadt i Frans Timmermans będą wiedzieli, co zrobić z tak podaną im piłką.

@

To inna strategia niż wcześniejsza „ulica i zagranica". Ówczesnym pomysłem było sprężenie trzyczłonowe: „ulica – zagranica – ulica". Wytwarzanie pozorów masowego społecznego sprzeciwu miało przekonać europejskich sojuszników PO, że władza PiS, podobnie jak w latach 2005–2007, wisi na włosku, i zachęcić ich do zaangażowania – ale kluczową rolę w planie obalenia PiS mieli odegrać Polacy pobudzeni do akcji przerażeniem, że władza PiS „oddala nas od Europy" i „robi nam obciach przed światem".

Od samego początku były to fantasmagorie, ale dziś realizacja tego scenariusza jest w ogóle niewyobrażalna. Opozycja przeceniła siłę, by użyć określenia Radosława Sikorskiego, „murzyńskości" Polaków, groza „obciachu", a nawet „wyprowadzenia z Europy" nie oddziałała mocniej niż przewodnie w kampaniach PO roku 2015 „cofanie do średniowiecza".

Co więcej, z kilkudziesięciu tysięcy aktywnych zwolenników, których udało się opozycji wyprowadzić na ulicę rok

eprasa.pl ee82e2794e

POSUBOTNIK

FOT. ANDRZEJ MULINKA/FORUM

temu, zdecydowaną większość zniechęciło przejęcie protestów przez wulgarnych i groteskowych radykałów z Obywateli czy Strajku Kobiet oraz zaangażowanie Lecha Wałęsy, i nie wydaje się, by straszenie ONR mogło ponownie ich przyciągnąć. Paradoksalnie, gorliwe zaangażowanie przeciwko PiS części środowiska medialnego, żyjącego emocjami własnego zamkniętego świata, w którym ruchy LGBT czy Partia Razem są punktami odniesienia, a nie, tak jak dla przeciętnego Polaka, groteskowym marginesem, w istocie fantastycznie się PiS przysłużyło. Lansowanie takich twarzy opozycji jak Paweł Kasprzak czy Marta Lempart immunizowało „normalsów" na wszelkie działania antypisu, nawet wtedy, gdy uważają, że władza rzeczywiście „jedzie po bandzie".

Im bardziej się tak dzieje, tym bardziej frustracja opozycji totalnej, szczególnie w jej celebryckim segmencie, znajduje ujście w publicznych filipikach przeciwko Polakom jako takim – „ludzie są kretynami, którym można sprzedać każde gówno, wystarczy drzeć mordę, a PiS drze mordę najgłośniej!", wścieka się Andrzej Saramonowicz i jego głos współbrzmi z dziesiątkami podobnych demaskacji „hołoty kupionej za pińset". A to oczywiście nakręca spiralę niepopularności opozycji. W furii dostaje się od tracących grunt pod nogami „autorytetów" wszystkim – młodzieży, która jakoby „pławi się w luksusach" i nie poczuwa do wdzięczności za nie pokoleniu, które stworzyło III RP, i Ukraińcom, sprowadzanym rzekomo przez PiS jako bojówki do… właściwie nie wiadomo, nawiasem mówiąc, do czego.

Z medialnej akcji demaskowania „aktora TVP" jako prowokatora wynikałoby bowiem, że „totalni" zyskali nagle świadomość, iż agresywne zachowania na protestach kompromitują ich, a nawet – jak ogłosiła Eliza Michalik – mają posłużyć PiS jako pretekst do ogłoszenia stanu wyjątkowego. Jednak jeśli tak, to dlaczego linczując przypadkowego ukraińskiego studenta, te same antypisowskie media największymi bohaterami ogłaszają mażącą na budynku Sejmu wulgaryzmy Suchanow, wdzierających się doń w bagażniku Kasprzaka i Kinasiewicza czy Lempart wydzierającą się: „Będziesz siedział" na Kornela Morawieckiego?

To, co nazywam „zwrotem brukselskim" w działaniu PO i pomniejszych sił opozycyjnych, nie wygląda na przemyślaną strategię. Po prostu opozycja zatrzymała się tam, gdzie polityczna materia stawiła jej opór – a posuwa tam, gdzie posuwanie się okazało łatwe. Bo o ile „ulica" okazała się oporna, o tyle „zagranica" na zaproszenie do mieszania się w wewnętrzną polską politykę odpowiedziała bardzo życzliwie.

@

Uściślijmy: „zagranica" to w tym przypadku przede wszystkim grupa eurokratów, dążących do pozatraktatowego poszerzenia kompetencji wspólnotowych organów, w których zasiadają. Wołania o interwencje w sprawie polskiej „praworządności" i wzięcia pod kuratelę krnąbrnego kraju środkowoeuropejskiego doskonale wyszły naprzeciw ich dążeniom. Tym bardziej że w pierwszej chwili wołający o pomoc zdołali wytworzyć na Zachodzie przekonanie, że będzie to dla eurokracji wojenka łatwa i radosna – rządy PiS są bowiem jakoby mniejszościowe i wystarczy doprowadzić do wcześniejszych wyborów.

W istocie sprawa okazała się trudniejsza i obraca się przeciwko spoistości Unii – ale Komisja Europejska w obecnym składzie i obecny europarlament uznały za wskazane w nią brnąć i przewlec zastosowane procedury przynajmniej do przyszłorocznych wyborów. Nie od rzeczy jest tu zapewne i chęć mobilizowania przeciwko krajom naszego regionu, przedstawianych jako zacofane i „faszystowskie", elektoratów partii lewicowych i propagandowe przygotowanie gruntu pod wyodrębnienie Europy „pierwszej prędkości" i zepchnięcie krajów peryferyjnych do roli jej „przestrzeni neokolonialnej".

Jakiekolwiek jednak cele stawia sobie „zagranica", nie są one tożsame z celami naszej totalnej opozycji. W tym sensie stosowane w dyskursie władzy porównanie totalnej opozycji z konfederacją targowicką rzeczywiście znajduje uzasadnienie.

Działając jedynie dla bieżącego uderzenia we władzę, bez jakichkolwiek dalszych horyzontów, opozycja może przysporzyć PiS problemów, może także – co gorsza – trwale zaszkodzić Polsce, a także całej UE – bo precedensy, które stwarza dla pozatraktatowego jej centralizowania np. akcja siódemki sędziów Sądu Najwyższego, nie pozostaną zapewne bez eurosceptycznej reakcji – natomiast sama nie ma nic do zyskania.

Owszem, Unia może zmusić Kaczyńskiego do ustępstw, jak jej się to wielokrotnie udawało z Viktorem Orbánem. Kapitulacja w sprawie nowelizacji ustawy o IPN pokazuje, że PiS jest już do tego zdolny. Załóżmy, że cofnie się w sprawie tej czy innej nominacji albo ustawy. Nie zmieni to przecież ogólnego rozwoju wypadków, jak nie stało się to w Budapeszcie, tylko spowolni rewolucję. I uczyni opozycję jeszcze bardziej bezradną wobec niej, bo obciąży ją piętnem jeśli nie zdrady, to w każdym razie „wynoszenia brudów", czego większość Polaków zdecydowanie nie akceptuje. „Zagranica" może punktowo zaingerować na rzecz obalonych elit III RP, ale nie ma żadnych narzędzi, którymi mogłaby je postawić ponownie na czele państwa.

Czy opozycja zdaje sobie sprawę, że „zwrot brukselski" wiedzie ją w istocie nie ku Brukseli, ale w ślepy zaułek? Nie wydaje się.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ee82e2794e

Łukasz Zboralski

Dmuchanie kierowców

Polska policja podsuwa alkomat kierowcom prawie 18 mln razy w roku. Tylko nie w tym czasie i nie w tych miejscach, gdzie pijani kierowcy stanowią największe zagrożenie. Dlaczego?

Chyba nikt nie ma wątpliwości, że trzeba eliminować z dróg tych, którzy jeżdżą pijani. Powód jest prosty – jak wynika z badań naukowych, przeciętnie od stężenia alkoholu w organizmie sięgającego 0,4 promila zaczyna istotnie rosnąć ryzyko, że kierowca doprowadzi do wypadku. Ma m.in. obniżone percepcję i czas reakcji.

Jedyną służbą, która może nas ocalić przed tym, że wjedzie w nas pijany kierowca, jest w Polsce policja. Pozornie działa wyśmienicie – przedstawiając wielkie liczby kontroli. Prawda o tych kontrolach jest jednak zatrważająca. Wygląda na to, że przez lata służba budowała system fikcji, który szkodzi nam wszystkim.

MĘTNA STATYSTYKA

Mimo rozwijanego latami medialnego przekazu o pijanych kierowcach w rzeczywistości nie mamy w Polsce wielkiego problemu z takimi szoferami. Powodują oni u nas mniej wypadków niż średnio tacy kierowcy w całej UE. To nie znaczy, że nie powinniśmy się tą sprawą zajmować. Tacy ludzie powodują wypadki i giną przez nich inni.

Jak to jednak dokładnie nad Wisłą wygląda, trudno się dowiedzieć. Obraz zaczyna być niewyraźny już przy zaglądaniu w policyjne statystyki – a to jedyne, które w kraju są gromadzone. Nie wiadomo np., jaką zawartość alkoholu mieli kierowcy powodujący wypadki. Policja twierdzi, że takich informacji nie posiada, i wrzuca wszystkie przypadki do jednego worka z napisem: „Kierujący będący pod działaniem alkoholu". W dodatku wiadomo, że do tej grupy zalicza kierowców z jakąkolwiek obecnością alkoholu w organizmie.

Wiemy więc, że tacy kierujący samochodami tylko w ubiegłym roku spowodowali 1097 wypadków drogowych, czyli niewiele ponad 3 proc. ze wszystkich, do których doszło w Polsce. Zginęło w nich w sumie 155 osób (to 5,5 proc. wszystkich ofiar wypadków drogowych), wliczając w to samych pijanych kierowców, którzy też giną.

Ogólny obraz też jest trudny do uchwycenia. W 2017 r. liczba wypadków powodowanych przez pijanych kierujących (już nie tylko samochodami) w stosunku do poprzedniego roku zmalała o 4,9 proc., ale przecież w 2016 r. wzrosła o 7 proc. Trochę więc drepczemy w miejscu (choć zginęło mniej osób i mniej zostało rannych).

Jak to jednak możliwe, że przy kontrolowaniu alkomatami blisko 18 mln razy rocznie – czyli statystycznie ponad połowy właścicieli pojazdów silnikowych zarejestrowanych w Polsce (nieco ponad 29 mln w 2017 r.) – policja nie notuje wielkich sukcesów w ograniczeniu liczby wypadków powodowanych przez pijanych?

To pytanie powinno zresztą zostać zadane już w 2015 r., gdy policjanci w ciągu trzech lat zwiększyli liczbę kontroli alkomatami dwukrotnie (w 2013 r. policja prowadziła rocznie 8,5 mln badań na obecność alkoholu u kierowców, rok później – 5,4 mln, a w 2015 r. było to już 17 mln kontroli), a efekt ich pracy w statystykach wypadków był niewielki. W raporcie Europejskiej Rady Bezpieczeństwa Transportu wskazano, że to u nas najszybciej rosła liczba kontroli alkomatami, a redukcja wypadków związanych z używaniem alkoholu była mniejsza niż redukcja wypadków powstających z innych przyczyn.

Trudno zresztą nawet porównać dane z innych krajów UE, bo w wielu z nich nie ma czegoś takiego jak „rutynowa kontrola trzeźwości" i tam policja bada tylko tych kierowców, co do których ma prawdziwe podejrzenie, że kierują po pijanemu. Z dostępnych danych wynika jednak, że polska służba rekordowo często posługuje się

eprasa.pl ee82e2794e

alkomatami na drogach. U nas kontroluje średnio 466 kierowców na tysiąc mieszkańców kraju. We Francji ten wskaźnik wynosi 152, na Węgrzech – 135, w Hiszpanii – 132, w Szwecji – 130, w Rumunii – 72, na Litwie – 48, we Włoszech – 25 (dane ETSC za 2015 r.).

POLOWANIE NA KACA

Częściową odpowiedź znajdziemy przyglądając się temu, w jaki sposób policja prowadzi w Polsce kontrole alkomatami

FOT. PIOTR JEDZURA/REPORTER

na drogach. Najczęściej w sprawozdaniach z takich akcji pojawia się hasło: „Trzeźwy poranek", bardzo często organizowany w poniedziałki. Jak to się sprawdza?

30 stycznia, poniedziałek. Drogówka w Wąbrzeźnie zatrzymuje kierowców jadących do pracy i każe im dmuchać w alkomat przesiewowy. 608 kierowców zbadanych. Ani jednego pijanego, ani jednego nawet po spożyciu alkoholu (czyli między 0,2–0,5 promila).

15 lutego, czwartek. 18 527 tys. kierowców dmuchających rano (w godz. 5–13) w policyjne alkomaty na Podkarpaciu. Sześciu kierujących pojazdami, a więc nie tylko samochodami, jest pijanych. Do tego ośmiu, którzy jechali na kacu i przekroczyli 0,2 promila. Zatem po akcji trwającej osiem godzin okazało się, że po alkoholu jeździł w tym województwie nawet nie promil kierowców. Wcześniej, w środę, policja w regionie zrobiła akcję „Trzeźwe popołudnie" – nie wykryła ani jednego pijanego kierowcy.

16 lipca, poniedziałek. 191 policjantów w Kujawsko-Pomorskiem przez kilka godzin każe rano dmuchać kierowcom w alkomaty. Z przebadanych w tym czasie14 617 kierujących 46 było „po alkoholu" (służba nie podała, ilu popełniło wykroczenie, a ilu przestępstwo). Zatem w całym regionie na drogach było 0,3 proc. nietrzeźwych wśród wszystkich kierujących.

1 sierpnia, środa. Busko-Zdrój. Policja bada rano alkomatami 500 kierowców. Złapała jednego pijanego kierowcę, jednego po spożyciu alkoholu (miał 0,3 promila) oraz jednego pijanego rowerzystę. Wliczając nawet cyklistę, odsetek jeżdżących po alkoholu wyniósł 0,6 proc.

A WIECZOREM W WEEKENDY?

Najbardziej w tej sprawie musi szokować nie tak niski odsetek Polaków jeżdżących po alkoholu, ale to, że każdy policjant drogówki dobrze wie, dlaczego wychodząc w poniedziałek rano na drogę z alkomatem, niewiele zdziała. Jest to wyraźnie zapisane w raportach przygotowywanych przez Komendę Główną Policji.

Jak bowiem wynika ze statystyki, pijani kierowcy powodują najmniej wypadków właśnie rano i do południa (od północy do godz. 12). Najwięcej wypadków spowodowanych przez nich wydarza się od godz. 16 do 22. To wtedy też ginie najwięcej ludzi i najwięcej zostaje rannymi. Jak podaje policja, w ubiegłym roku w tych godzinach osoby pod wpływem alkoholu uczestniczyły (a więc znów ujęci zostali nie tylko kierowcy samochodów i nie tylko pijani) w 1373 wypadkach, co stanowiło prawie połowę wszystkich wypadków z ich udziałem.

A to nie wszystko. Najwięcej wypadków pijani kierowcy powodują w Polsce w soboty (19,8 proc. wszystkich wypadków z udziałem osób będących pod wpływem alkoholu) i niedziele (21,3 proc.). Policja świetnie więc wie również o tym, że celując w środek tygodnia, wybiera źle. W raporcie KGP pisze nawet: „koniec tygodnia, dni wolne od pracy, sprzyjają spotkaniom towarzyskim i imprezom, podczas których spożywany jest alkohol. Generalnie bowiem w te dni zwiększa się liczba uczestników ruchu pod wpływem alkoholu".

Jeśli dołożyć do tego kolejne fakty, które policja zna – czyli że najwięcej wypadków pod wpływem alkoholu powodują kierowcy w wieku 18–24 lata i że najwięcej wypadków związanych z alkoholem wydarza się z powodu nadmiernej prędkości (52,9 proc.) – to widać jak na dłoni, że zamiast ustawiać w kolejce ludzi jadących w poniedziałek do pracy, policja z alkomatami powinna krążyć tam, gdzie w weekendy imprezuje młodzież. Niestety, w policyjnych raportach nie ma danych o tym, na jakich drogach dochodzi do tych wypadków – wówczas można by nawet dość dokładnie typować rejony zagrożeń.

Żaden z komendantów głównych policji do tej pory nie był w stanie zmienić tego służbowego pójścia z alkomatami na łatwiznę, choć nie tylko kosztuje to nas wszystkich utratę życia i zdrowia na drodze, lecz także wydajemy na te działania mnóstwo pieniędzy. Policja nie tylko za setki tysięcy złotych kupuje alkomaty, ale też płaci już ok. 1 mln zł rocznie na kalibrację tego sprzętu.

I jest tylko gorzej. Od niedawna policja chwali się akcjami... na autostradach. Funkcjonariusze ustawiają się na bramkach i każą dmuchać wszystkim przejeżdżającym. Chociaż w statystykach wypadków na autostradach w Polsce trudno doszukać się przyczyn związanych z alkoholem. Stąd i wyniki takich akcji nie mogą dziwić. W marcu policjanci z Wielkopolski zbadali 1032 kierowców na autostradzie A2. Dwie osoby były w stanie „po spożyciu" alkoholu (a więc miały mniej niż 0,5 promila), czyli odsetek takich kierowców wyniósł 0,19 proc. W lipcu akcję „Trzeźwa autostrada" przeprowadzili policjanci z Kujawsko-Pomorskiego. Na 455 przebadanych dwóch było „na podwójnym gazie" (nie podano stężenia), czyli odsetek takich kierowców wyniósł 0,44 proc.

Może jednak ktoś w Komendzie Głównej Policji w tej sprawie otrzeźwieje?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ee82e2794e

Polityczna atletyka

Radosław Wojtas

Były minister obrony narodowej skacze do wody z pięciometrowej wieży, prezydent jeździ na nartach, a były premier kopie piłkę i biega. Uprawianie sportu politykom poprawia nie tylko kondycję

Kiepskiej jakości nagranie, na którym uwieczniono pokaz krótkiego filmu zorganizowany podczas pewnej imprezy, zdobyło w Internecie sporą popularność. Mężczyzna na prezentowanym wideo wchodzi na wieżę przy basenie, skacze i wykonując w powietrzu półtora salta, wpada głową w dół do wody. Niby nic takiego, ale biorąc pod uwagę to, że ten efektowny skok oddaje 70-latek, na dodatek znany polityk, nie ma co się dziwić popularności nagrania opublikowanego na Twitterze przez Edmunda Jannigera. Ten współpracownik byłego szefa MON w rządzie PiS opatrzył film komentarzem: „To ten właśnie skok @Macierewicz_A (półtora salta w przód w pozycji kucznej z 5-metrowej wieży) pokazali organizatorzy wczorajszego przyjęcia urodzinowego". I nic na imprezie urodzinowej Antoniego Macierewicza – ani szeroko komentowana lista obecnych i nieobecnych, ani kierowana pod adresem jubilata laudacja prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego – nie wzbudziło tak dużego zainteresowania jak pokazany skok na do basenu.

TRAMPOLINA MACIEREWICZA

Formy wyprostowanemu jak struna, energicznemu 70-latkowi może pozazdrościć wielu młodszych polityków. Nie jest tajemnicą, że były szef MON lubi sport. W młodości m.in. jeździł na łyżwach, pływał, żeglował i szusował na nartach. Ale to skoki do wody zdobyły jego serce. W latach 60. trenował je intensywnie. Specjalnością Macierewicza miały być skoki z 10-metrowej wieżyczki, ponoć trampolinę lubił mniej. „Jak mówią eksperci – był gwiazdą wśród juniorów" – ustalili dziennikarze portalu TVN24.pl.

Były szef MON o swojej przygodzie ze sportem opowiadał kilka lat temu w „Nowym Państwie". „Dawały one [skoki do wody – przyp. red.] możliwość fizycznego i charakterologicznego rozwoju, bo wymagały wysiłku, inteligencji i odwagi. Pożegnałem się z tym sportem w szczególnych okolicznościach. Skakałem w klubie sportowym w Pałacu Młodzieży, tam też mieliśmy studniówkę. O północy w obecności całej klasy po raz ostatni wykonałem swój program. Koledzy i koleżanki obserwowali moje wyczyny w strojach balowych" – wspominał.

Z poważnymi treningami Macierewicz pożegnał się dość wcześnie, ale pasja nie minęła. W czasie, gdy był szefem MON, korzystał z pływalni Żandarmerii Wojskowej. I to o nietypowych porach. Onet.pl donosił, że kierownik basenu bywał zrywany z łóżka o pierwszej czy drugiej w nocy po to, by umożliwić Macierewiczowi skorzystanie z basenu. Specjalnie dla niego miała też zostać tam ustawiona trampolina. „Trampolina nie była zbudowana, tylko jako cały element została w ramach współpracy szkoleniowej z sekcją pływacką Wojskowej Akademii Technicznej, bez ponoszenia wydatków finansowych, wypożyczona i zamontowana w marcu 2016 r. na obiektach sportowych OSŻW" – tłumaczył portalowi rzecznik prasowy ŻW, mjr Artur Karpienko.

HARATANIE W GAŁĘ

W poselskich ławach zasiada więcej wysportowanych parlamentarzystów. Największą popularnością cieszą się piłka nożna i biegi, a ze sportów zimowych – narciarstwo.

Ta pierwsza dyscyplina kojarzy się głównie z politykami Platformy Obywatelskiej. Jej były lider Donald Tusk biega, ale przede wszystkim jest zapalonym fanem piłki nożnej i chętnie w nią grywa. – Bez haratania w gałę to by nie były urodziny – mówił przewodniczący Rady Europejskiej przed ubiegłorocznym meczem zorganizowanym z okazji jego 60. urodzin.

Zanim przeniósł się na brukselskie salony,

FOT. ŁUKASZ CAGULSKI/SE/EAST NEWS

FOT. ŁUKASZ SZELĄG/REPORTER

eprasa.pl ee82e2794e

często wbiegał na boiska, również w towarzystwie kolegów z partii. Z Tuskiem grywali Grzegorz Schetyna, Sławomir Nowak, Andrzej Biernat, Tomasz Arabski czy Ireneusz Raś.

„Newsweek", opisując jeden z meczów z udziałem ówczesnego premiera, nie najlepiej ocenił jego piłkarskie umiejętności: „Minuty uciekają, a on psuje kolejne akcje. W większości wypadków piłka plącze mu się między nogami i odskakuje. Po jednej z sytuacji sam chwyta się za głowę, po innej zachęca kolegów do dalszych zagrań. […] Gdyby był zawodowcem, sędziowie co chwila musieliby odgwizdywać spalonego. Po prostu stał i czekał. To nie on grał dla drużyny, ale drużyna grała dla niego. Interesowało go tylko jedno: strzelanie bramek".

Chłodnej oceny dziennikarza nie podzielali koledzy z drużyny Tuska. Chociaż tu opinie też są podzielone i nie zależą od barw koszulek (w meczach „parlamentarzyści kontra…" w jednej drużynie grywają zawodnicy z różnych opcji politycznych), ale raczej przynależności partyjnej. Posłowie PO porównywali Tuska do Filippo Inzaghiego, Emilia Butragueño, a nawet Diego Maradony. Polityczna opozycja wykazywała mniejszy zachwyt. Parlamentarzysta PiS Marek Matuszewski ocenił, że Tusk jest za delikatny, boi się wślizgów i nie ma lewej nogi. Matuszewski w drużynie parlamentarzystów gra w obronie, ale najbardziej lubi hokeja.

Zimą wielu polskich polityków zamienia korki na buty narciarskie. Na stokach lubią pojawiać się prezydent Andrzej Duda, Beata Szydło, Stanisław Karczewski, Piotr Gliński, Antoni Macierewicz, Donald Tusk czy Aleksander Kwaśniewski. Ten ostatni uprawia też tenisa. Na nartach fotografowany i filmowany był również Bronisław Komorowski, który w 2011 r. musiał zmodyfikować swój polityczny kalendarz z powodu kontuzji, której uległ na stoku.

Jedną z najciekawszych sportowych metamorfoz przeszedł były rzecznik PiS Adam Hofman. Jeszcze przed aferą madrycką, która wypchnęła go z polityki, widywany był na boiskach piłkarskich czy w stroju do joggingu. Ale skrzydła rozwinął dopiero po przejściu do biznesu. Dzisiaj Hofman w niczym nie przypomina pulchnego polityka, któremu waga pokazywała nawet 100 kg. Wrócił do sportu, zwłaszcza do biegania, i to dość ekstremalnego – na dystansach ultra w górach.

FOT. MACIEJ KOSYCARZ/KFP/REPORTER

ĆWICZYĆ KAŻDY MOŻE?

Politolog i ekspert od marketingu politycznego, dr Olgierd Annusewicz, zauważa, że witalność to ważny element wizerunku, dlatego politykom zależy, by ich sportowe wyczyny nie umknęły mediom.

– Ludzie chcieliby widzieć polityków, którzy mają dużo energii, mają wewnętrzny wigor, który sprawia, że będą aktywnie i efektywnie pełnili funkcje publiczne. Drugi wątek to jest coś, co w politologii nazywamy celebrytyzacją polityczną. Poznajemy rodziny polityków, informacje o ich preferencjach kulinarnych, dowiadujemy się, jak mieszkają, jak spędzają wolny czas. A to dlatego, że kluczowym elementem w procesie podejmowania decyzji wyborczej jest sympatia. Pomijając drugie tury wyborcze, w 99 proc. przypadków nie zdarza nam się głosować na polityka, którego nie lubimy. A sympatię można najłatwiej zdobyć działaniami pozapolitycznymi, również za pomocą sportu – mówi dr Olgierd Annusewicz.

Chociaż zdarza się, że próba pokazywania swojego wigoru przynosi efekt odwrotny. Przed wyborami prezydenckimi w 2015 r. w sieci pojawiały się nagrania porównujące umiejętności narciarskie Bronisława Komorowskiego i Andrzeja Dudy, w których zdecydowanie korzystniej wypadał polityk PiS. Na początku tego roku gromy posypały się na Donalda Tuska, który zamieścił na Twitterze film, na którym bawiąc się z psem swojej córki, żonglował piłką. Mocno kopnięta futbolówka uderzyła psa prosto w pysk. To rozwścieczyło wielu internautów.

Największą wpadkę zaliczył Marek Borowski, który podczas kampanii w 2005 r. zachęcał polityków i wyborców do jazdy na rowerze. Jego koalicja przekonywała do siebie m.in. hasłami: „Rower nie truje – my też. Jak mówimy, to z sensem", „Rower nie hałasuje – my też. Nie bierzemy udziału w politycznych pyskówkach". Gdy Borowski na spotkaniu z wyborcami otrzymał od swoich politycznych sojuszników z partii Zieloni rower w prezencie, przejechał na nim jedynie kilka metrów, po czym zaliczył spektakularny upadek. Pokazywały go wszystkie telewizje.

– Kiedy karta, którą się wcześniej zagrało, okazuje się blefem, a blef zostaje odkryty, to nasza pozycja – czy to w kartach, czy w negocjacjach – słabnie – konkluduje dr Annusewicz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ee82e2794e

Bitwa o Dywizjon 303

Piotr Gociek

Cóż za miła niespodzianka: nakręcony przez Brytyjczyka film o polskich lotnikach jest dziełem stuprocentowo wpisującym się w polską narrację historyczną

Chaosu, jaki oczekiwał nas w Bordeaux, nikt sobie wcześniej nie mógł wyobrazić. Sądziłem, że odbywać się tu będzie ponowne formowanie rozbitych jednostek, że będą one przygotowywane do walki, która przecież dopiero się zaczęła. Zamiast tego byłem świadkiem powtórki żenujących (lub prawie takich) scen, znanych mi z Polski" – napisał w swojej kapitalnej autobiografii „Ostatnia walka" Jan Zumbach, legendarny pilot Dywizjonu 303. „Przesyłano nas z jednego biura do drugiego, a wydawane w nich rozkazy wzajemnie sobie przeczyły. Panował nastrój nieuniknionej klęski i pełnej rezygnacji. Spotkałem znajomych lotników: Polaków, Czechów, Francuzów. Uradziliśmy, że na lotnisku Mérignan przejmiemy dwusilnikowy samolot i polecimy nim do Wielkiej Brytanii".

Nie udało się. Do brytyjskich brzegów w roku 1940 Zumbach wraz z innymi pilotami dobił na pokładzie statku, ale film zaczyna się od tego, co być mogło: przebijający się na własną rękę lotnik porywa francuski samolot, a potem już w Anglii spotyka innych Polaków, którzy dotarli na Wyspy wcześniej. Wszyscy połączeni jedną myślą: walczyć! Trzeba dalej walczyć!

Jan Zumbach grany przez Iwana Rheona to główna postać filmu Davida Blaira „303. Bitwa o Anglię". Ktoś musiał nim być, bo przecież nie da się nakręcić filmu o wydarzeniu historycznym czy o całym oddziale. Potrzebny jest bohater, którego dzieje staną się podstawą opowieści. Zumbach na takiego bohatera nadawał się jak mało kto: utalentowany, odważny, bezczelny, zawadiacki. Wnuk Szwajcara, ale stuprocentowy Polak po matce i z wyboru. Polak ochotniczy, niczym Marian Hemar, można rzec. Ochotniczy i ochoczy.

eprasa.pl ee82e2794e

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

A przecież mógł wybrać inaczej, szwajcarski paszport był gwarancją bezpiecznego przeczekania wojny w neutralnym kraju.

BRYTYJCZYCY BYLI SZYBSI

Film „303. Bitwa o Anglię" („Hurricane: Squadron 303") trafia do polskich kin 17 sierpnia, ale nie jest to produkcja zapowiadana przez polskich producentów od niemal dekady, lecz projekt konkurencyjny. Twórcy polskiego filmu „Dywizjon 303. Historia prawdziwa" (ten pojawi się na ekranach dwa tygodnie później) sami sobie zgotowali ten los, bo ociągali się ze swoim filmem niemiłosiernie. Przeglądam archiwalne doniesienia prasowe. Ileż zakrętów! Reżyserem miał być Jerzy Skolimowski albo może Władysław Pasikowski. Mówiło się nie tylko o filmie, lecz także o serialu. „Ta książka wciąż jest aktualna, żywa. Mieliśmy już wiele propozycji, by sprzedać prawa do niej, ale kończyło się na niczym" – opowiadał w 2011 r. „Wyborczej" Arkady Fiedler, syn Arkadego seniora, autora „Dywizjonu 303". Cieszył się wtedy, że to już. Nie wyszło.

Brakowało pieniędzy, czasem dobrej woli, kiedy indziej wycofał się dystrybutor.

Projekt był zawieszany, ewoluował. Potem zajął się nim Łukasz Palkowski (twórca filmu „Bogowie" o prof. Relidze). Kiedy odpadł Palkowski, za sterami stanął Wiesław Saniewski. I kolejny pech: jesienią 2016 r. reżyser doznał udaru. Zastąpił go Chorwat Denis Delić znany z komedii „Ja wam pokażę!".

Skończyło się więc na tym, że opowieść z importu pojawia się w kinach pierwsza. Cóż za niespodziewane bogactwo – nie mogliśmy się doczekać choćby jednego filmu o polskich asach myśliwskich, teraz dostajemy od razu dwa.

W Internecie na forach wybuchła już wielka kłótnia o to, czy bardziej patriotycznie będzie poczekać na polski film, czy może jednak obejrzeć też ten angielski. Oprócz troski o jakość pojawiają się pytania o wierność prawdzie historycznej, o koniunkturalizm. Fakty przeczą rozmaitym teoriom spiskowym, np. projekt „angielski" jest tak naprawdę polsko-angielski, bo stoją za nim w większości ludzie pochodzący z rodzin polskich emigrantów lub po prostu Polacy: m.in. Michael Paszko, Krystian Kozłowski i Robert Chadaj z firmy producenckiej Prospect 3. Sami wpadli na pomysł, sami zgromadzili środki, sami doprowadzili do szczęśliwego finału.

Co do podejrzenia, czy „Anglicy" nie chcą czegoś na swoje w historii przekręcić, przypomnę, że kiedy Kino Świat zrywało umowę z producentami polskiego projektu, użyło jako koronnego argumentu stwierdzenia, że to „nasi" wbrew umowie są na bakier z faktami. Paradoks za paradoksem.

Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że dziś to samo Kino Świat jest polskim dystrybutorem „angielskiego" projektu. I że wystraszeni zagraniczną konkurencją przedstawiciele polskiego filmu spinują w mediach narrację skierowaną do widzów: „Żebyście tylko poszli zobaczyć WŁAŚCIWY film", a miła pani od PR pisze do mnie: „Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony z polskiego filmu o Dywizjonie!". Polski czy nie, najbardziej chciałbym zobaczyć film dobry. Na razie czuję się usatysfakcjonowany jedynie częściowo, bo z pokazu „Hurricane'a", czyli „303. Bitwa o Anglię", wychodziłem w nastroju słodko-gorzkim. O tym za moment.

Najpierw garść informacji porządkowych: wspomniany już David Blair, czyli reżyser, to weteran brytyjskiej telewizji, dwukrotny zdobywca telewizyjnej nagrody BAFTA (za seriale „The Street" i „Takin' Over the Asylum"). Film wyświetlany będzie zarówno na dużych ekranach (także w innych krajach), jak i dostępny w brytyjskich serwisach video-on-demand. Magnesem dla zagranicznego widza mają być dwa nazwiska: Iwan Rheon jako Jan Zumbach oraz Milo Gibson w roli Johna Kenta, kanadyjskiego dowódcy Dywizjonu 303, nazywanego żartobliwie Kentowskim. Iwan Rheon zdobył uznanie jako psychopatyczny Ramsay Bolton w serialu „Gra o tron", z kolei Milo Gibson to 28-letni syn Mela Gibsona. Milo debiutował niedawno w wojennym dramacie ojca „Przełęcz ocalonych" (2018).

Honoru polskich aktorów broni przede wszystkim Marcin Dorociński, który w ostatnich latach staje się coraz bardziej rozpoznawalny na rynku międzynarodowym (m.in. serial „Cape Town" według prozy Deona Meyera czy szwedzki kryminał komediowy „Małżeńskie porachunki"). Dorociński zagrał innego polskiego legendarnego pilota myśliwskiego, Witolda Urbanowicza. Jest w obsadzie i Czech, Kryštof Hádek, wcielający się w Josefa Františka, asa przestworzy, który wolał latać z Polakami niż z Czechami. „Wyrodził się ze swego narodu: nie był stateczny i nie był układny" – pisał o nim Arkady Fiedler w »Dywizjonie 303«. – Właściwie wyrodził się ze wszystkich ludzi naszego wieku: miał bujność romantyków, żar średniowiecza i był jak wulkan wyrzucający lawę nie tam, dokąd ludzie przywykli".

HEROICZNA FERAJNA

Najważniejsza wiadomość dla wyczulonego na niuanse polskiego widza: film Davida Blaira, choć robiony z myślą o publice międzynarodowej i z walnym udziałem Brytyjczyków, jest dziełem stuprocentowo wpisującym się w polską narrację historyczną. Rola Polaków w bitwie o Anglię jest podkreślona jak należy, osobiste cnoty lotników wybite na plan pierwszy,

eprasa.pl ee82e2794e

znalazło się i miejsce na wielką politykę. Przede wszystkim na przypomnienie, że za sprawą niemieckich okupantów działy się w owym czasie na terenie podbitej Polski rzeczy straszliwe, ale także na wytknięcie zachodnim aliantom, że w 1945 r. zachowali się niewdzięcznie i po prostu haniebnie, odmawiając polskim żołnierzom miejsca w paradzie zwycięstwa ze strachu przed Stalinem.

Widać, że scenarzyści (debiutujący Robert Ryan i Alastair Galbraith) uważnie przeczytali nie tylko reportaż Fiedlera, lecz także wspomnienia Zumbacha. Wiem, że historyczni fetyszyści będą mieli do nich pretensje o rozmaite uproszczenia i dowolność w przedstawianiu znanych motywów, jednak takie jest zbójeckie prawo twórców fikcji (nieważne filmowej czy literackiej), trzeba pewne rzeczy skompresować, ułożyć gładko dla dobra narracji, jedne wyolbrzymić, inne niestety pominąć. W ogóle nie powinno nas to martwić, jak długo rzecz jest wierna duchowi czasów, a pod tym względem wszystko udało się jak należy. Od początku do końca nie mamy wątpliwości, że polscy lotnicy to nieco szalona, lecz heroiczna ferajna, do której trudno nie czuć i sympatii, i podziwu.

Nic dziwnego, że lgną do nich także piękne Angielki, wśród których prym wiedzie Phyllis Lambert (w tej roli bardzo dobra Stefanie Martini, myślę, że usłyszymy o niej jeszcze nieraz). Postać inspirowana chyba wprost tymi fragmentami wspomnień Zumbacha, w których opisywał ulubioną knajpę polskich lotników Orchard Inn, gdzie „dziewczyny był ładne, przystępne i przyjazne", no i „odkładały na bok mundury, wełniane skarpetki i wojskowe buty i każdego wieczoru oczekiwały nas ubrane w barwne stroje, jedwabne pończochy i pantofle na wysokim obcasie".

Wiele rzeczy zrobionych jest w tym filmie jak należy, choć siłą rzeczy w opowieść wkrada się skrótowość, w końcu Zumbach Zumbachem na pierwszym planie, ale zaraz obok niego występuje cała gromada innych bohaterów, których trzeba było naszkicować. Chaosu jednak nie ma i wszystko składa się ze sobą, choć powtórzę: nie oczekujcie od filmu niewolniczej wierności faktom. Ot, choćby historia Josefa Františka: jego akces do polskiego lotnictwa miał miejsce latem 1939 r., a nie dopiero w Wielkiej Brytanii. Za to sposób wprowadzenia go na scenę wybrany przez scenarzystów pysznie pasuje do postaci i do filmu. Oto grupa Polaków obserwuje małego zawadiakę, który wdaje się oburzony w bójkę z dwoma większymi od siebie Czechami, po czym dołącza niespodziewanie do naszych rodaków, którzy pytają, o co chodzi. „A, właśnie opuściłem czeski dywizjon" – odpowiada nabuzowany emocjami František. I napomina od razu nowych kolegów, żeby go nie obsmarowywali za plecami, bo rozumie język polski.

BEZ „WOW!"

Skoro jest tak dobrze, to skąd zatem mój słodko-gorzki nastrój po seansie? Bo w jednych miejscach rzeczywiście jest dobrze, a w innych, niestety, już kiepsko. To nie jest produkcja o budżecie setek milionów dolarów i biedę na ekranie widać. Przede wszystkim w scenach walk powietrznych, które są statyczne, nieciekawe, po prostu nudne, zaś efekty specjalne godne raczej przestarzałej gry komputerowej. Trudno wykrzesać z siebie wielki entuzjazm dla kunsztu polskich lotników, oglądając film, w którym ten kunszt nie jest pokazany. Bliźniaczo podobne do siebie sekwencje lotów bojowych szybko zaczynają się zlewać w nieistotne brzęczenie. Wszak wielkie dni chwały Dywizjonu 303 to czas, kiedy Hitler rzucił do bitwy o Anglię ogromne i przeważające siły powietrzne. Tego stopniowania napięcia – od lotów treningowych przez pierwsze strącenia do bitewnego apogeum grozy – w filmie Blaira zabrakło. Zabrakło dramaturgii i pieniędzy na efekt „wow!".

★★★☆☆☆
REŻ. DAVID BLAIR „303. BITWA O ANGLIĘ" („HURRICANE: SQUADRON 303") WIELKA BRYTANIA 2018

Drugi powód do wątpliwości – wspomniana wcześniej skrótowość. Tutaj jestem w rozterce, bo nie umiem być obiektywny. „Dywizjon 303" był jedną z ukochanych książek mojego dzieciństwa, potem pożerałem też wspomnienia Zumbacha i Urbanowicza, sięgałem po biografie innych polskich pilotów: Łokuciewskiego i Pisarka. Dzisiaj widzę na ekranie bohaterów, których ujrzeć tam chciałem od zawsze, znam doskonale tło historyczne, pamiętam, skąd która postać się wzięła. A co z widzem, który tego przygotowania nie posiada? Czy będzie to dla niego dzieło wystarczająco czytelne? Próbowałem, jak mogłem, oglądać film Blaira zimnym okiem analityka. Nie wiem, na ile mi się udało. Jestem jednak przekonany, że w przeważającej części udało się scenarzystom wyjść z opresji obronną ręką.

Tylko czy nie przeszarżowali? Aż sam jestem zdumiony, że zadaję to pytanie, bo przecież nieraz krytykowałem filmowe opowieści o polskiej historii za kunktatorstwo, za niezdolność do wskazania wprost, kto był katem, a kto ofiarą, za jakieś fałszywe dekonstrukcje, bezmyślne przyczynkarstwo. Oto wreszcie film bezwstydnie dumny z tego, że opowiada o bohaterskich Polakach, film jednoznacznie antyniemiecki, wytykający hipokryzję naszych zachodnich sojuszników. Tylko czy o jeden raz albo dwa razy nie nazbyt natrętnie próbowano w nim podkreślić, że każdy lot polskiego pilota myśliwca był okazją do wspomnienia o niemieckich okrucieństwach w Polsce? Czy rzeczywiście większość motywacji bohaterowie Dywizjonu 303 czerpali tylko z troski o los pozostawionych w kraju bliskich? Tak, wiem, przed chwilą sam broniłem prawa filmowców do kinowych uproszczeń, teraz na te uproszczenia narzekam.

Werdykt końcowy brzmi: obejrzeć mimo wszystko warto, bo wiele w tym filmie rzeczy się udało. Tym bardziej żal tych paru, które udały się gorzej. I oczywiście z niecierpliwością czekam na premierę polskiego filmu „Dywizjon 303. Historia prawdziwa", bo ciekaw jestem porównania. Jak inaczej można było opowiedzieć tę historię? Zwiastuny obu produkcji wyglądają bardzo podobnie, ale to w końcu rzecz zrozumiała, przecież jedni i drudzy szukali inspiracji w tych samych wydarzeniach, anegdotach, pamiętnikach. No i sama konstrukcja dzieła kultury popularnej też wymusza takie, a nie inne podejście do materiału, te, a nie inne rozwiązania fabularne.

Im dłużej myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że plusów jest więcej niż minusów. Co z tego, że w tej skromnej opowieści nie ma oddechu epickiego kina? W pamięci po seansie zostali wskrzeszeni na ekranie przez niezłych aktorów kapitalni, niezwykli ludzie. A to oni przecież są najważniejsi w opowieści o Dywizjonie 303.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ee82e2794e

Z Wandą Zwinogrodzką, wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego
rozmawia Przemysław Skrzydelski

Ryzykowny eksperyment

PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI: Czy patrząc na sytuację w Narodowym Starym Teatrze, można uznać, że Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego poniosło porażkę i się poddało?

WANDA ZWINOGRODZKA: Rzeczywiście pierwszy sezon nowego dyrektora trudno uznać za sukces, wyglądał raczej na ilustrację rzymskiej maksymy: „Concordia parvae res crescunt, discordia maximae dilabuntur" („W zgodzie małe sprawy wzrastają, w niezgodzie nawet największe się rozpadają"). Wszelako ostatecznie zwyciężyło poczucie odpowiedzialności i jest nadzieja na nową odsłonę, której oczekiwaliśmy. Mówię tu o pomyślnie zakończonych negocjacjach między dyrektorem teatru Markiem Mikosem a Radą Artystyczną NST i wspólnie przyjętym programie działania tej sceny, który, mam nadzieję, będzie z sukcesem realizowany.

Po wszystkich tych perturbacjach – po odejściu we wrześniu 2017 r. Michała Gielety, dyrektora artystycznego ze zwycięskiego duetu Mikos/Gieleta, po niemal natychmiastowej rezygnacji kierownika literackiego Artura Grabowskiego w listopadzie ubiegłego roku, po fali protestów przytłaczającej większości zespołu aktorskiego, utrzymującej się przez prawie cały sezon 2017/2018, i w końcu teraz, po zwolnieniu przez Mikosa kolejnego dyrektora artystycznego, Jana Polewki – jak ministerstwo ocenia pracę dyrektora naczelnego Starego Teatru?

Cóż, bez wątpienia źle zaczął. Jeden z byłych premierów mawiał, że mężczyznę poznaje się po tym, jak kończy.

Resort jest zadowolony z repertuaru, który został ustalony w toku tych negocjacji?

MKiDN nie recenzuje repertuaru, to nie jest jego rola. Nie kształtuje też planów artystycznych. Instytucje mają gwarantowaną ustawowo autonomię, plany układa dyrektor. Oczywiście interesuje nas kondycja artystyczna placówek powierzonych naszej pieczy. Ona wszelako zależy od jakości realizacji. Oboje wiemy, że przedstawienia można oceniać dopiero po premierach.

To jasne, ale ministerstwo rok temu, organizując konkurs na dyrektora naczelnego Starego Teatru, stawiało jednak na program zupełnie inny, miało jakieś oczekiwania. A minister kultury może odwołać dyrektora za brak realizacji programu złożonego w aplikacji konkursowej. Dzisiejsze propozycje Marka Mikosa i rady artystycznej to mimo wszystko powrót do teatru Jana Klaty, tyle że różnicą jest brak Klaty. Tylko w przypadku dwóch nazwisk zapowiedzianych reżyserów można mówić o poszerzeniu pola wyboru.

Dwa nazwiska z ośmiu to jedna czwarta, nie tak znów mało. Jan Klata realizował model teatru autorskiego, w przypadku sceny narodowej dość dyskusyjny. Obecnie proponuje się model repertuarowy, zgodnie z intencjami Marka Mikosa deklarowanymi w konkursie. Jego program od początku przewidywał wolę kontynuacji przy założeniu wzbogacenia dotychczasowych wątków o nowe. To się nie udało dlatego, że reżyserzy podjęli bojkot tej sceny pod nową dyrekcją, a nie dlatego, że Mikos odrzucał ich współpracę. Teraz sytuacja się zmieniła i budzi nadzieje. Zobaczymy, czy zasadne.

Jednak w statucie Narodowego Starego Teatru nie ma formuły, która pozwala, by to rada artystyczna – ciało wyłącznie doradcze, co najwyżej pomocnicze – nagle przejęła główną funkcję jednoosobowego dyrektora artystycznego i odpowiadała za program sceny.

Rada oczywiście nie będzie wielogłowym dyrektorem artystycznym, ma pan rację, to niemożliwe w określonej prawem strukturze teatru, a szczerze mówiąc – praktycznie też trudne do wyobrażenia. W świetle ustawy odpowiedzialność za instytucję bez reszty ponosi dyrektor i nikt go z tego nie zwolni. Dyrektor może oczywiście posiłkować się sugestiami rady artystycznej albo jakiegoś doradcy czy pełnomocnika, ale skoro je akceptuje, to bierze za nie odpowiedzialność, to on będzie rozliczany z konsekwencji. Niemniej w świetle doświadczeń pierwszego sezonu fakt, że zamiast konfliktu mamy porozumienie między zespołem a dyrektorem, wypada uznać za dobry prognostyk.

Marek Mikos okazał się kimś, kto za wszelką cenę będzie próbował się utrzymać na swoim stanowisku, mimo że wszelki racjonalizm to wyklucza.

Nie czuję się powołana do analizy osobowości Marka Mikosa.

Nie odnosi pani minister wrażenia, że to wszystko ze strony Marka Mikosa jest tylko

eprasa.pl ee82e2794e

kalkulacją: na ile można się dogadać, a na ile nie, byle pozostać na lukratywnej posadzie.

Nie wiem, czy ta posada dotąd przysporzyła panu Mikosowi więcej profitów czy zgryzot. Jej lukratywność w jego wypadku wydaje mi się dość wątpliwa. Publiczna wymiana wzajemnych oskarżeń przy rozstaniu z Michałem Gieletą była żenująca. Chyba nikt nie chciałby być bohaterem mediów w taki sposób. Chociaż oczywiście to się zdarza, ta para nie była pierwsza, że przypomnę choćby początki Teatru Wierszalin założonego przez Tadeusza Słobodzianka i Piotra Tomaszuka – ten obiecujący tandem też się rozpadł z hukiem…

Sytuacja ze Słobodziankiem i z Tomaszukiem to historia małej grupy teatralnej z początku lat 90., działającej na obrzeżach, a my rozmawiamy o najważniejszym teatrze w Polsce i o scenie narodowej jednocześnie…

Racja, skala jest zgoła inna. Zmierzam jednak do tego, że obiecujące zamierzenia i umowy nie zawsze udaje się zrealizować i w takich okolicznościach organizator instytucji staje wobec dylematu, czy ingerować w dość drastyczny sposób, w dodatku w środku sezonu artystycznego… Odwoływać dyrektora? To może jeszcze pogłębić chaos. Uznaliśmy, że lepiej dać panu Mikosowi możliwość ogarnięcia sytuacji, pozyskania nowych współpracowników, dialogu z zespołem i wyłonioną przezeń reprezentacją: radą artystyczną…

Jednak przy tym natężeniu kłopotów, których Marek Mikos przysporzył organizatorowi przez niemal cały rok, i biorąc pod uwagę to, że jesteśmy już zresztą w momencie, gdy ten sezon – z raptem dwiema pełnoprawnymi, w ocenie wszystkich nieudanymi premierami – daje się już podsumować pod każdym względem, można zadać zupełnie podstawowe pytanie: Czy Marek Mikos jest osobą, która w Ministerstwie Kultury nadal ma kredyt zaufania?

Nie da się ukryć, że – nazwijmy to – eksperyment, na który jako organizator przystaliśmy, jest bardzo ryzykowny. Zdajemy sobie z tego sprawę. Zarazem jednak jest on wspólnym planem dyrektora i zespołu, a to trudno zlekceważyć. Nieraz mówiłam, że ufam w dojrzałość zespołu Starego Teatru, który jest bardzo szczególny, m.in. z racji swojej tradycji i dokonań. Teraz ta wiara zdaje się znajdować jakieś potwierdzenie.

A jaki błąd tak naprawdę popełnił Jan Polewka, że został przez Marka Mikosa pozbawiony funkcji? Ostatnio stwierdził, że o fakcie swego odwołania dowiedział się z przekazów medialnych. Powiedział też, że od października 2017 r. nie miał wpływu na nic, a wszystkie decyzje były podjęte już wcześniej przez dyrektora. Tylko ostatnia kameralna premiera miała być w jakimś stopniu jego decyzją. Można powiedzieć, że Polewka został pozostawiony sam sobie – jednak jako człowiek z wiele znaczącym dorobkiem dla polskiego teatru, nie tylko jako scenograf.

W złożonym do ministerstwa wniosku o odwołanie Jana Polewki dyrektor Mikos nie wspominał o błędach. W uzasadnieniu pisał o braku dobrej współpracy między swoim zastępcą a zespołem. Ponoć to odwołanie było warunkiem porozumienia postawionym przez radę artystyczną. Dlaczego – nie umiem powiedzieć. Bardzo nad tym ubolewam, bo osobiście wysoko cenię nie tylko dorobek artystyczny, lecz także rzetelność i odwagę myślową Jana Polewki. Wydawało mi się, że z racji wieloletniej, owocnej współpracy ze Starym Teatrem zasłużył sobie na zaufanie kolegów. Nie wiem, dlaczego odrzucili jego kierownictwo, ale skoro tak się stało, to trudno, by organizator wymuszał współpracę, której ani zespół, ani dyrektor nie chcą kontynuować. Co więcej, sądzę, że ministerialna protekcja nie jest potrzebna artyście tej miary co Polewka – jego osiągnięcia i pozycja na firmamencie teatralnym pozostają niekwestionowane bez względu na wewnątrzteatralne swary czy poczynania urzędników.

Czy można powiedzieć, że przez decyzję o współpracy z radą artystyczną Marek Mikos się wyratował? Inaczej nie byłby już dyrektorem Starego Teatru?

Nie wiem, nie jestem mocna w gdybaniu. Z perspektywy MKiDN istotna jest kondycja instytucji. Najlepiej, gdy jest stabilna i dobrze rokuje. W Starym wciąż jest chwiejna, ale zaczyna rokować. Gdyby dyrektor opracował inny, ale wiarygodny plan, też byłby to argument na jego rzecz. Gdyby nie miał żadnego, byłaby to przesłanka do jego odwołania.

Program rady artystycznej, pod którym podpisał się Marek Mikos, jest na tyle szczegółowy, jeśli chodzi o tytuły oraz daty premier, że można już stwierdzić, iż Stary Teatr od września rusza zupełnie innym trybem.

Jest dość precyzyjny w zakresie tytułów i nie aż tak, ale dostatecznie, w terminarzu premier.

Czy pani minister nie czuje się jednak w jakimś stopniu rozczarowana? Nie da się zapomnieć pani wypowiedzi – jeszcze wtedy nie w roli ministerialnej – sprzed kilku lat, kiedy to mówiła pani o wrzaskliwości kultury lewicowej, którą wręcz trzeba by wyciszyć, żeby w ogóle móc prowadzić dyskusję. W dużej mierze chodziło pani o współczesny teatr.

To była puenta jednego z moich tekstów, która – przytaczana w oderwaniu od całego wywodu – wykoślawia jego sens. Mniejsza o to – ważne, że sformułowałam ją z pozycji niezależnego krytyka. Perspektywa urzędnika państwowego jest inna, ciąży na nim odpowiedzialność za całokształt życia artystycznego, także tych jego przejawów, które nie budzą jego osobistego entuzjazmu. Pracuję w ministerstwie RP, czyli instytucji wszystkich jej obywateli, a nie tylko tych, którzy bliscy mi są poglądami. Zatem odpowiedź brzmi: nie. Nie odczuwam frustracji, ponieważ niweluje ją moje rozumienie ducha państwowości. Inna rzecz, że w tym rozumieniu mieści się także pogląd na rolę scen narodowych jako takich, które powinny prezentować szeroką, urozmaiconą ofertę. Bo one również są zobowiązane działać dla ogółu obywateli,

> **Stary Teatr zamknął się w jednej, dość specyficznej dykcji, która zniechęciła znaczny odłam jego niegdysiejszej publiczności**

a nie tylko dla wybranych. I o ile Teatr Narodowy w Warszawie – tu chyba nie ma między nami sporu – realizuje to zadanie, o tyle Stary Teatr w Krakowie zamknął się w jednej, dość specyficznej dykcji, która zniechęciła znaczny odłam jego niegdysiejszej publiczności…

… i chyba nadal się zamyka? Stary Teatr od roku nadal gra spektakle z repertuaru Jana Klaty i również te wyreżyserowane przez niego samego.

Nic w tym dziwnego. W pierwszym sezonie nowy dyrektor zwykle eksploatuje wcześniejszy repertuar, a tu jeszcze okoliczności były szczególne – Jan Klata zaciekle bronił swojego dominium, obwiesił budynek kirem, w ogóle nie przekazał instytucji swojemu następcy, odmówił mu prawa wstępu za kulisy, paraliżując możliwości działania przed formalnym rozpoczęciem sezonu. I to mimo tego, że Mikos od początku deklarował chęć zachowania ciągłości repertuarowej, proponował tylko rozszerzyć ofertę o nowe, inne tytuły. Nie zdołał ich wprowadzić z powodu bojkotu zorganizowanego przez

eprasa.pl ee82e2794e

Gildię Polskich Reżyserów i Reżyserek Teatralnych, powołaną tuż po rozstrzygnięciu konkursu i – wedle oświadczenia samej Gildii – w reakcji na jego wynik. Gildia postanowiła storpedować plany Mikosa w przekonaniu, że Stary Teatr musi działać tak jak dotąd albo wcale. Zdumiewająco zachowawcze stanowisko jak na szermierzy postępu, trzeba powiedzieć.

Nieustannie fascynuje mnie to ryzyko, na które waży się ministerstwo, pokładając nadzieje w tym nadchodzącym sezonie.

A jakie ma inne wyjście? Wzbogacić repertuar o tytuły nacechowane wrażliwością konserwatywną mogą tylko sami artyści. Skoro nikt nie odważył się przełamać bojkotu i zrealizować spektaklu utrzymanego w poetyce odmiennej niż ta, która zawładnęła tą sceną, to widać potencjał i determinacja opcji konserwatywnej pozostają zbyt nikłe, by skutecznie konkurować na wolnym rynku idei.

Czy tym razem Marek Mikos zostanie oceniony szybciej, jeśli np. w grudniu okaże się, że Stary Teatr nie wypełnia założonego planu, na który resort teraz przystał?

Na pewno będziemy obserwować sytuację w NST bardzo uważnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

RECENZJA KSIĄŻKI „TEATR STARY JAKI BYŁ 1945–2000" NA STR. 52

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

eprasa.pl ee82e2794e

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Skandal w synagodze

★★★☆☆☆

REŻ. SEBASTIÁN LELIO
„NIEPOSŁUSZNE" („DISOBEDIENCE")
USA/IRLANDIA/ WIELKA BRYTANIA 2018

wyst. Rachel Weisz, Rachel McAdams, Alessandro Nivola

Odwiecznego sporu między wolnością i odpowiedzialnością odsłona kolejna. Zgodnie z aktualną modą wolność została tu sprowadzona do kwestii cielesnych.

Sebastián Lelio, umówmy się, wybitnym reżyserem nie jest. Oscara za „Fantastyczną kobietę" dostał w zastępstwie transseksualnej gwiazdy filmu – najwyraźniej akademicy nie potrafili się zdecydować, czy nagrodzić ją (jego) w kategorii męskiej czy kobiecej. Świadom źródeł swego sukcesu i oczekiwań fanów, Chilijczyk skwapliwie przyjął propozycję zekranizowania debiutanckiej (i poniekąd autobiograficznej) powieści Naomi Alderman. Do pomocy wziął współscenarzystkę „Idy".

Rzecz dzieje się w zamieszkanym przez żydowskich ortodoksów rewirze Londynu. Na pogrzeb ojca, charyzmatycznego rabina, przyjeżdża z Nowego Jorku jego zbuntowana córka. Ronit pali papierosy, uprawia seks w toalecie, jest pyskata i nieprzewidywalna. Nikt za nią specjalnie nie tęsknił, z wyjątkiem dawnej przyjaciółki. Esti, z zawodu nauczycielka, też ma diabła za skórą, lecz sztukę mimikry opanowała do perfekcji. To jedyny sposób na przetrwanie w społeczności, w której wszyscy się znają i wszystko o sobie wiedzą. Jej mąż ma zostać następcą rabina, lecz dramatycznie brak mu pewności siebie.

Z ekranu, oprócz tradycyjnej formułki: „Żyj długo i szczęśliwie", padają również słowa: „Najważniejsze to zachować honor". Widać, że londyńscy starozakonni, w sporej części emigranci z Europy Wschodniej, czegoś się nauczyli od naszej szlachty. W pożegnalnym kazaniu rabin słusznie prawi, że „jesteśmy rozdarci między czystością aniołów i zwierzęcym pożądaniem". W zderzeniu z obyczajową swobodą pięknych i młodych konserwatyzm reprezentowany przez starych, brzydkich i zawistnych broni się słabo. Sympatie twórców są jednoznaczne: „nie" dla hipokryzji, „tak" dla dezercji. Śmiem jednak twierdzić, że da się pogodzić wewnętrzną wolność z elementarną lojalnością wobec wspólnoty. Wymaga to pewnego wysiłku, ale lepiej go podjąć, niż skazać się na dozgonne wykorzenienie.

Lelio nie do końca panuje nad filmową materią. Całą uwagę skupił na głównych bohaterach, reszta ludzkości przypomina szablony wycięte z papieru. 114 minut – dwie i pół postaci. Trochę to dziwne, w dodatku obie Rachele grają osobno, nawet gdy w kadrze znajdują się razem. Dyskusyjny jest też wybór muzycznego motywu. Chilijczyk postawił na „Lovesong" The Cure. Moim zdaniem do fabuły o krnąbrnych i niecierpliwych millenialsach lepiej pasowałby Tata Kazika, czyli Stanisław Staszewski, śpiewający: „Jest tyle różnych dróg przez życie, każdy ma prawo wybrać źle". ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „KRZYSIU, GDZIE JESTEŚ?"

Przepracowany, ponury dorosły potrzebuje pomocy, by znów odnaleźć radość życia. Któż nadaje się do tego lepiej od przyjaciela z dzieciństwa? Jeśli komuś przypomina się film Spielberga o Piotrusiu Panie („Hook", 1991), ten ma rację, bo to podobne klimaty. Do opowiedzenia historii spotkania (po latach) dorosłego Krzysia oraz Kubusia Puchatka i całej leśnej ferajny zabrał się Marc Forster, reżyser ciepło przyjętego „Marzyciela" (2004) o życiu i pisarstwie J.M. Barriego. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Krzysiu, gdzie jesteś?" („Christopher Robin"), reż. Marc Forster, wyst. Ewan McGregor, Hayley Atwell, Bronte Carmichael, USA 2018***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„303. Bitwa o Anglię", reż. David Blair, Wielka Brytania 2018*** *(recenzja – s. 44)*
- ***„Szpieg, który mnie rzucił", reż. Susanna Fogel, USA 2018***
- ***„Do zobaczenia w zaświatach", reż. Albert Dupontel, Francja 2017***
- ***„Slender Man", reż. Sylvain White, USA 2018***

eprasa.pl ee82e2794e

Bomba na otrzeźwienie

Kolejna „misja niewykonalna" Toma Cruise'a będzie największym kinowym przebojem lata. Nie dadzą jej rady „Don Kichot" ani podwojone siły „Dywizjonu 303". Można powiedzieć, że uczeń przegonił mistrza, bo serial bondowski zdradzał już wyraźne objawy zadyszki, zaś cykl traktujący o wyczynach agenta Hunta wciąż nabiera rozpędu.
Każda moneta, nawet złota, ma jednak dwie strony. Film jest hałaśliwy, przytłaczający i ciut za długi. Liczyłem na trochę więcej humoru, dostałem jeszcze więcej akcji. Ucieczki, pościgi, bójki, strzelaniny i eksplozje odwracają uwagę od wtórnej i nielogicznej fabuły. Nawróceni na anarchizm agenci-renegaci chcą zafundować ludzkości ozdrowieńczy wstrząs, detonując ładunki nuklearne tam, gdzie narobią najwięcej szkód.

O tym, że tajne służby bohatersko walczą z zagrożeniem, które same tworzą, wiadomo już od dawna. Jakim cudem jednak uchował się w ich szeregach osobnik, wyznający etos rycerski, litościwy dla wrogów i lojalny wobec podwładnych? Cruise na to pytanie nie odpowie, bo ma większe zmartwienie: wygląda już starzej od Ibisza. Jak wiadomo, Sean Connery i Roger Moore wcielili się w Bonda siedem razy. Obstawiam, że Tom zechce ich zakasować. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆
REŻ. CHRISTOPHER MCQUARRIE
„MISSION: IMPOSSIBLE – FALLOUT"
USA 2018
wyst. Tom Cruise, Henry Cavill, Rebecca Ferguson

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZBRODNIA, KARA, PUSTKA

★★★★☆☆
REŻ. FATIH AKIN
„W UŁAMKU SEKUNDY" („AUS DEM NICHTS")
NIEMCY/FRANCJA 2017, MONOLITH
wyst. Diane Kruger, Denis Moschitto, Numan Acar

Katja i Nuri to małżeństwo po przejściach. Ślub wzięli, gdy on odsiadywał wyrok za handel narkotykami. Ona też nie była grzeczną dziewczynką. Miłość i rodzicielstwo odmieniło ich życie. A potem wszystko się skończyło, kiedy bomba wybuchła przed biurem Nuriego, odbierając Katji męża i syna. Do akcji wkracza niemiecka policja, która wietrzy porachunki bandytów albo zamach islamistów, nie jest to jednak kryminał z cyklu „Kto zabił?". Sprawców poznajemy szybko, ważniejsze okaże się to, co może im zrobić wymiar sprawiedliwości, a co sama Katja. „W ułamku sekundy" to film o bezsensie przemocy. Zamach był czynem irracjonalnym, pomsta też nie przyniesie ukojenia. Fatih Akin, reżyser głośnego „Głową w mur", opowiada sprawnie, ale nie dałby rady, gdyby nie Diane Kruger w roli głównej. Jej kreacja jest nietuzinkowa, a nagroda aktorska na festiwalu w Cannes była zasłużona. To ona wyciąga film Akina ponad gładką przeciętność.

OD JASKINIOWCA DO FUTBOLISTY

★★★☆☆☆
REŻ. NICK PARK
„JASKINIOWIEC" („EARLY MAN")
WIELKA BRYTANIA/USA 2018, DASAN
wyst. Eddie Redmayne, Tom Hiddleston, Maisie Williams

„Jaskiniowiec" opowiada o gromadzie niezbyt rozgarniętych osobników z epoki kamienia łupanego, których przodkowie wymyślili piłkę nożną. Cichą dolinę naszych bohaterów dotyka jednak pewnego dnia inwazja bardziej zaawansowanych cywilizacyjnie (epoka brązu) intruzów, którzy dziwnie przypominają Niemców. Reszta ułoży się w hollywoodzką formułę starcia skazywanych na porażkę amatorów z przeceniającymi swe siły zawodowcami. Stąd poczucie, że film nie jest tak oryginalny i świeży jak wcześniejsze dokonania Aardman Animations, sporo gagów bawi jednak jak należy (najbardziej chyba prehistoryczna poczta głosowa). Pewne jest też jedno – oglądanie tego filmu już po mundialu, z którego Niemcy odpadli błyskawicznie, a Anglicy zaszli do półfinału, musi widzom znad Tamizy przynosić wiele dodatkowej, nieprzewidzianej wcześniej satysfakcji. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „1979 REVOLUTION: BLACK FRIDAY"

★★★★★☆

Chociaż przygodówka „1979 Revolution" ukazała się na większości dostępnych platform w 2016 r., to dopiero teraz debiutuje na Xbox ONE. Dzięki temu mam świetny pretekst, aby przedstawić niesłusznie zapomnianą produkcję jednego z twórców GTA III, dziejącą się podczas... rewolucji islamskiej w Iranie. Do gry wkraczamy w momencie, w którym niezadowolenie społeczne wywołane rządami zainstalowanego przez USA szacha Mohammada Rezy Pahlawiego prowadzi do ulicznych protestów, wynoszących do władzy ajatollaha Chomejniego. Jako młody fotograf o imieniu Reza staniemy w samym sercu politycznego i rodzinnego tygla. Intrygujące. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Przygodowa*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/PS3/XONE*
- ***Producent:*** *iNKstories*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl ee82e2794e

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Teatr jak ze snu

To wprost niewiarygodne, jak wspaniała była ta scena przy pl. Szczepańskim w Krakowie. Scena reżyserów Konrada Swinarskiego, Andrzeja Wajdy, Lidii Zamkow, Jerzego Jarockiego i Jerzego Grzegorzewskiego. Scena dyrektorów: Zygmunta Hübnera, Jana Pawła Gawlika, Stanisława Radwana. Scena takich aktorów jak Anna Polony i Jerzy Trela. Takich scenografów jak Andrzej Pronaszko, Krystyna Zachwatowicz, Kazimierz Wiśniak. I takich kierowników literackich jak autorka książki „Teatr Stary jaki był 1945–2000" – Elżbieta Morawiec.

Poznajemy dzieje Starego Teatru, który nawet z ciężkiej próby socrealizmu potrafił wyjść obronną ręką i dopiero teraz, na naszych oczach, stacza się w niebyt. Jednak o tym Elżbieta Morawiec nie pisze; zatrzymuje swą opowieść na roku 2000, inwentaryzując jeszcze dokonania Krystiana Lupy, choć nie ukrywa, że nie był to „jej teatr", ale nawet – cytuję – „jeśli »galaktyka Lupa« świeci dla nas światłem zbyt odległym, to przecież jakaś cząstka tego światła rozjaśnia i nasze światy".

O rządach w Starym Teatrze Jana Klaty, zakończonych pasmem skandali w roku 2013, Elżbieta Morawiec powiada w posłowiu, że stały się one impulsem do napisania tej książki. „Miałam to szczęście – wyznaje – że wychowałam się na niezapomnianych dokonaniach tej sceny w jej najlepszych latach. Uznałam za swój obowiązek zapisanie tego, co w dziejach Starego Teatru było wielkie". A co nie ma nic wspólnego z tym, co się dzieje obecnie w tych teatrach, gdzie barbarzyńsko niszczy się nie tylko dorobek polskiej sceny, lecz także w ogóle kulturę.

I kłamie się, w sprawach ważnych i najważniejszych, jak we wciąż pozostającej w repertuarze

FOT. ARCHIWUM

Starego Teatru „Bitwie Warszawskiej", w której znakiem ujemnym opatrzona jest postać Piłsudskiego, dodatnim zaś Dzierżyńskiego, a w całej sztuce chodzi głównie o to, by „wywrócić na nice kossakowsko-hoffmanowski patos i kicz". W sprawach pomniejszych również się łże bez opamiętania. I nie pomagają zmiany personalne. Marek Mikos, dyrektor Starego, boi się teatralnej „grupy trzymającej władzę", a ta wyrzuca z pracy dyrektora artystycznego, bo ten ośmiela się mieć własne zdanie i nie akceptować tych reżyserów, których aktorzy wyznaczą do pracy, ani repertuaru – jak na stulecie niepodległości – ekscentrycznego raczej.

Rada artystyczna proponuje bowiem do grania sztukę o głośnym przed wojną zabójstwie pięknej Zośki, modelki z Akademii Sztuk, pozbawionej życia przez kochanka, następnie adaptację filmu (!) Agnieszki Holland „Aktorzy prowincjonalni" i przeróbkę amerykańskiego serialu telewizyjnego „Szpital »Królestwo«", w którym pozbawieni rozumu są, tak jak w Polsce, wszyscy. Dodajmy do tego sceniczną adaptację „Podróży Guliwera" Jonathana Swifta, którą podsuwa Paweł Miśkiewicz (ten od pani Strzępki), dramat Czechowa „Iwanow", rzecz o kosztach osobistej wolności i poczuciu winy, wreszcie deser na stulecie niepodległości, sprawdzony: antyakowskie „Do piachu" Tadeusza Różewicza.

Jak się do takich tytułów miałaby proponowana przez wyrzuconego ze Starego Teatru Jana Polewkę historia o spotkaniu Wyspiańskiego z Conradem, adaptacja utworów Kochanowskiego i Leśmiana czy legionowe widowisko na kanwie „Odznaki za wierną służbę" Andrzeja Struga, spektakl w części mający być śpiewany? Toż to byłoby kolejne „Dziś do ciebie przyjść nie mogę"!

Szkoda nawet słów. Nazwę Starego Teatru poprzedza przymiotnik – Narodowy, a imię nosi Heleny Modrzejewskiej. Niesie ze sobą wspomnienie XIX-wiecznego teatru Stanisława Koźmiana, pozwala przywoływać nazwiska sławnych aktorów: Antoninę Hoffmann i Wincentego Rapackiego. A w 1945 r., gdy na nowo Stary budził się do życia pod dyrekcją Jerzego Ronarda Bujańskiego, w jego zespole aktorskim znaleźli się m.in.: Maria Dulęba, Zofia Małynicz, Danuta Szaflarska, Jan Ciecierski, Janusz Warnecki.

Książkę Elżbiety Morawiec uzupełnia szczegółowy wykaz repertuarów oraz występów zagranicznych Starego Teatru. Jednak o randze tego tytułu decyduje, poza znajomością tematu i erudycją autorki, także miłość, z jaką opowiada nam o teatrze, który Narodowym był przez lata nie tylko z nazwy. A, bywało, idealnie zestrajał się „z dramatycznymi przeżyciami narodu". Tak jak w 1982 r. w wyreżyserowanym przez Jerzego Jarockiego „Mordzie w katedrze". Były to czasy! ©℗

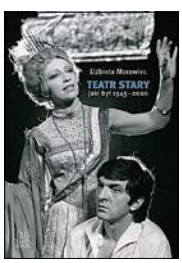

★★★★★★

ELŻBIETA MORAWIEC „TEATR STARY JAKI BYŁ 1945–2000" ARCANA 2018

eprasa.pl ee82e2794e

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Dziennik impotenta

Narrator nowej powieści Jerzego Pilcha zostaje sam na świecie. Dosłownie. „Mało, że wszystkich szlag trafił, to wszyscy zniknęli" – informuje na wstępie. „Liczyłem na parę lat samotnej pracy, otrzymałem bezmiar samotności". Chwyt fabularny nie jest nowy, czego autor jest świadomy, przywołując później esej Jana Gondowicza o skonstruowanych podobnie dziełach pisarskiej konkurencji, jedno wskazane jest nawet konkretnie – powieść „Wydarzenie" Guido Morsellego. Miewaliśmy i w kinie takie apokalipsy.

Jako że wszelkie pisanie Pilcha ma tylko jednego bohatera – Pilcha właśnie, zwykle nawet nie bardzo zamaskowanego, to i podobnie do innych jego książek „Żywego ducha" błyskawicznie zamienia się w typową Pilchową gawędę o wszystkim: kobietach, książkach, malarstwie. Dużo bardziej od dociekania, co się stało ze światem (właściwie z ludzkością, bo przecież świat ocalał, istnieją drzewa, ptaki, morza), narratora bardziej zajmują wspominki, dygresje, rozmaite próby autoanalizy. A może tak właśnie by było? Może w obliczu nadmiaru apokalipsy ciekawi bardziej próba przypomnienia sobie, dlaczego właściwie „pierwsza żona nie lubiła się całować". Wszak póki żyjemy – póki Pilch narrator żyje – jego prywatny koniec ludzkości wciąż się nie dokonał, istnieje on, a wraz z nim wspomnienia.

Pilch jest wytrawnym składaczem słów, pięknie klei frazy, uwodzi elegijnym tonem, błyśnie tu i ówdzie anegdotą, gdzie indziej próbuje w zawoalowany sposób rzec co nieco o polityce, co wychodzi absurdalnie, gdy przywołuje swe lęki przed jakąś nazwaną wprost figurą stylizowaną na Kaczyńskiego. Tu napomknie o „profilu wodza", tam o nienapisanym eseju, którego tematem miały być studium „białej czy też aksamitnej tyranii" i pytania: „Kiedy pojawią się więźniowie polityczni?". A rozważania te bywają też zwyczajnie głupiutkie, tak jak wtedy, gdy narrator zabiera się do reinterpretacji biblijnej opowieści o wieży Babel. Według bohatera „Żywego ducha" był to sygnał od Boga, że ideologia „jeden język, jeden lud" oraz „jeden naród, jeden wódz" nie znajduje Bożego uznania.

Co z tego wszystkiego wynika? Ano nic. Trochę jojczenia na tematy egzystencjalne. Pilch pozostaje sobą – świetnym stylistą, zaklinaczem słów, który mógłby pisać jak najwięksi pisarze świata, tylko nie ma o czym. Pisze więc o tym, o czym może, czyli o Pilchowych rojeniach. Efektowne to świadectwo warsztatowej biegłości. I smutny dowód myślowej pustki literackiego idola salonów III RP. ©℗

★★★☆☆☆
JERZY PILCH
„ŻYWEGO DUCHA"
WYDAWNICTWO LITERACKIE 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Postanowiłem zająć się bohaterem jako osobą prywatną" – pisze autor biografii, który omija więc kwestię oceny spuścizny reżysera. Mimo to powstała ciekawa opowieść, najciekawsza tam, gdzie Sjöberg oddaje głos samemu Bergmanowi.

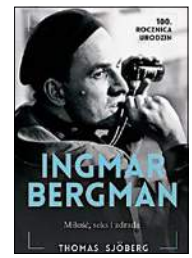

THOMAS SJÖBERG
„INGMAR BERGMAN. MIŁOŚĆ, SEKS I ZDRADA"
ALBATROS

Podtytuł wyjaśnia wszystko: „Moja służba w Navy SEALs i strzały, które zabiły bin Ladena". Wspomnienia O'Neilla są dużo obszerniejsze, obejmują liczne akcje w Iraku i Afganistanie, autor sporo miejsca poświęca też morderczemu szkoleniu.

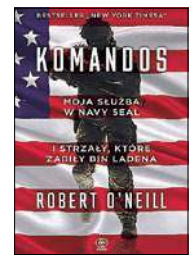

ROBERT O'NEILL
„KOMANDOS"
REBIS

To już 16. tom cyklu o sycylijskim komisarzu Montalbano, tym razem wciągniętym w pozornie niewinną grę przez autora dziwnych anonimów. Przy okazji tej premiery seria doczekała się nowej szaty graficznej.

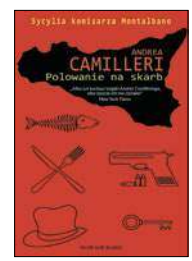

ANDREA CAMILLERI
„POLOWANIE NA SKARB"
NOIR SUR BLANC

Oparte na źródłach, lekko napisane, z ciekawym dodatkiem w postaci słownika mniej znanych pojęć. Dla żądnych wiedzy do kompletu z inną książką tych samych autorów – o życiu w średniowiecznych zamkach. ©℗

poleca Piotr Gociek

FRANCES GIES, JOSEPH GIES
„ŻYCIE W ŚREDNIOWIECZNEJ WSI"
ZNAK

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Katarzyna Nosowska „A ja żem jej powiedziała" (Wielka Litera) – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.***
2. ***Remigiusz Mróz „Hashtag" (Czwarta Strona) – nowa powieść najpłodniejszego autora polskich kryminałów. O dziwnych zaginięciach i mocy Internetu.***
3. ***Beata A. Dąbrowska „Dieta warzywno-owocowa dr Ewy Dąbrowskiej" (WAM) – zbiór przepisów opartych na popularnej diecie. Autorką jest synowa lekarki.***
4. ***Katarzyna Michalak „Kropla nadziei" (Znak) – literatura dla pań, ostatni tom trylogii mazurskiej, rozpoczętej powieścią „Gwiazdka z nieba".***
5. ***Piotr Krysiak „Dziewczyny z Dubaju" (Deadline) – jak polskie modelki zarabiały na spełnianiu sekszachcianek szejków. Niestety na faktach.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej BookBook od 17 do 31 lipca)

eprasa.pl ee82e2794e

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Z góralskiej piersi

Solidnie ryktowali się górale do tegorocznego Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem. Impreza na Podhalu musi być z przytupem, musi być dopięta na ostatni guzik, goście – i miejscowi, i liczne cepry, które przybędą do Zakopanego – muszą być zadowoleni, przekonać się na własnej skórze, co to znaczy góralska gościnność. I prawdziwie góralska zabawa, bo skoro – nie to, co na nizinach, gdzie poprawiny odchodzą do lamusa – wesele trwa tu co najmniej dwa dni, a czasem i dłużej, to i festiwal nie może być krótki. Zwłaszcza że okazja jest ku temu wyjątkowa, bo imprezie w sercu Tatr stuknęła w tym roku pięćdziesiątka. Tegoroczna edycja Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem potrwa 10 dni, nie licząc imprez towarzyszących (m.in. wystaw), które przeciągną się do końca września.

I choć to 50. edycja festiwalu, to jego rodowód sięga II Rzeczypospolitej i koncepcji „Związku Ziem" skonkretyzowanej przez Władysława Orkana w latach 20. XX w. Proponowana przez niego inicjatywa zakładała zjednoczenie i stworzenie wspólnego programu rozwoju wszystkich grup zamieszkujących polskie Karpaty. Podobna idea przyświecała twórcom Święta Gór, zorganizowanego w 1935 r., kiedy to przez tydzień swój dorobek prezentowali górale żywieccy, sądeccy, beskidzcy, Huculi, Łemkowie i Bojkowie. Po II wojnie światowej góralskie świętowanie powróciło pod nazwą Jesieni Tatrzańskiej. W 1968 r. na imprezę pod Giewontem po raz pierwszy przyjechały zagraniczne zespoły i wprowadzono nagrodę, która do dziś jest najcenniejszym trofeum festiwalu – Złotą Ciupagę. Przez pół wieku w Zakopanem wystąpiło 600 zespołów zagranicznych z kilkudziesięciu krajów i przeszło dwie setki polskich grup.

Również w tym roku będzie międzynarodowo. W festiwalowych konkursach o Złote, Srebrne i Brązowe Ciupagi bić się będą zespoły z Polski, Bułgarii, Hiszpanii, Indii, Macedonii, Rosji, Rumunii, Słowacji, Słowenii, Turcji, Ukrainy, Węgier i Włoch. Będzie też polonijna grupa Ślebodni ze Stanów Zjednoczonych. A także koncerty pozakonkursowe, m.in. przypominające historię festiwalu oraz ciekawe imprezy towarzyszące. Zapowiada się niezła baciarka! ©℗

Radosław Wojtas

Festiwal rozpoczyna się 16 sierpnia. Szczegółowy program na stronie: festiwale.zakopane.pl/2018/festiwal-folkloru.

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Abba na ratunek

W czerwcu, po 36 latach od rozwiązania grupy, członkowie szwedzkiego kwartetu ponownie weszli do studia, by zarejestrować dwie premierowe piosenki. Miesiąc później do kin trafiła kontynuacja musicalu „Mamma Mia!". W trzy tygodnie film zarobił 230 mln dol.

Sequel pewnie nie pobije wyniku „jedynki", która przed 10 laty przyniosła 615 mln dochodu. Szczególnie że w przeciwieństwie do znakomitego oryginału, „Here We Go Again", jest o niczym. Również nowa płyta rozczarowuje. Spośród 18 piosenek tylko „Fernando" w wykonaniu Cher i jej duet z Meryl Streep „Super Trouper" wzbudzają emocje. Pozostałe nagrania są jedynie poprawne.

Urok przebojów Abby jest tak wielki, że płyta ze ścieżką dźwiękową dotarła do trzeciego miejsca w USA i pierwszego w Anglii. Poprzedni album osiągnął ponadpięciomilionowy nakład. Współczesny pop oparty na superprodukcji nagraniowej jest jednak pozbawiony zaraźliwych melodii. A to był największy atut szwedzkiego kwartetu. Dlatego wieść o przyszłorocznej trasie koncertowej Abby zelektryzowała muzyczny świat.

I będzie to wydarzenie bez precedensu, ponieważ 70-letnich członków zespołu zastąpią na scenie ich cyfrowe, holograficzne awatary. Będą wyglądać i poruszać się tak, jak to robili muzycy w 1979 r. W kwietniu rozpocznie się nowa epoka występów „na żywo". ©℗

★★★☆☆☆
MUZYKA FILMOWA
„MAMMA MIA! HERE WE GO AGAIN"
POLYDOR

★★★★☆☆
UNDERWORLD & IGGY POP
„TEATIME DUB ENCOUNTERS"
CAROLINE

„Lust for Life" Popa i „Born Slippy" Underworld rozbłysły w filmie „Trainspotting". Spotkanie w studiu 20 lat później dało cztery elektroniczne podróże ze śpiewanodeklamowanymi opowieściami Popa o czasach, kiedy można było palić w samolotach.

★★★★★☆
JON HASSELL
„LISTENING TO PICTURES"
NDEYA

Od 40 lat amerykański trębacz tworzy na pograniczu jazzu, minimalizmu i globalnego transu, nagrywając muzykę „czwartego świata". Jest to fascynująca ilustracyjno-dźwiękowa podróż po zakątkach naszej podświadomości. Bardzo eleganckie. ©℗

eprasa.pl ee82e2794e

OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL TWÓRCZOŚCI PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

NIEZAPOMNIANY KONCERT

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

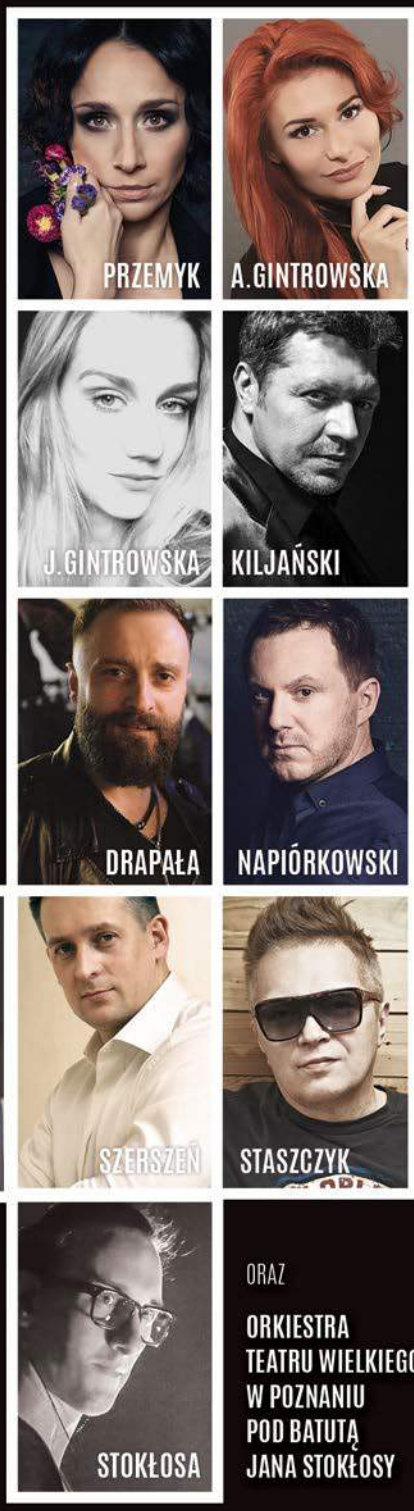

ORAZ

ORKIESTRA TEATRU WIELKIEGO W POZNANIU POD BATUTĄ JANA STOKŁOSY

12 WRZEŚNIA POZNAŃ GODZ. 20.00

TEATR WIELKI IM. STANISŁAWA MONIUSZKI

BILETY JUŻ W SPRZEDAŻY: BILETY24.PL

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MECENAS KONCERTU

Enea

PARTNER

LOTTO

WSPÓŁORGANIZATOR

PMPG POLSKIE MEDIA SA

PATRONI MEDIALNI

wprost | Do Rzeczy | TVP | GŁOS WIELKOPOLSKI

eprasa.pl ee82e2794e

Filip Memches

Polskie środowiska pro-choice naznaczone są kulturą polityczną uznawaną na świecie przez środowiska lewicowe za relikt katolicyzmu

Aborcja i właściwy ciemnogród

Wojna ludzi światłych z ciemnogrodem – taki obraz bojów o prawo do aborcji kreślą od prawie trzech dekad polscy zwolennicy opcji pro-choice. Ich zdaniem możliwość usuwania ciąży jest standardem europejskim, który wynika z neutralności światopoglądowej i laickości krajów zachodnich. Narzekają więc oni na dużą rolę Kościoła katolickiego nad Wisłą, upatrując w nim przyczynę „piekła kobiet" i „iranizacji Polski".

Czy linia podziału, którą wskazują polscy zwolennicy pro-choice, jest prawdziwa? Zanim odpowiemy sobie na to pytanie, warto przede wszystkim scharakteryzować myślenie tych osób na temat życia poczętego. Otóż uważają one, że płód to nie człowiek, i nie mają co do tego żadnych wątpliwości. I chodzi tu nie tylko o feministki z radykalnej lewicy, lecz także polityków deklarujących centryzm i ubiegających się o głosy liberalnego mieszczaństwa.

eprasa.pl ee82e2794e

FOT. FOTOLIA

Znamienne były słowa Katarzyny Lubnauer, które w marcu padły w rozmowie z Bogdanem Rymanowskim w TVN24. Szefowa Nowoczesnej oznajmiła wprost: „Nie ma czegoś takiego jak dziecko poczęte. Jest zarodek, płód. Życie ludzkie jest w momencie, kiedy się człowiek urodzi, a wcześniej nie ma takiego pojęcia”.

Jak widać, polscy zwolennicy pro-choice nie bawią się w niuanse. W swojej determinacji rezygnują z rozważań nad tym, czy człowiek „się zaczyna” od drugiego trymestru ciąży, czy może w innym momencie życia płodu. A skoro tak, to nasuwa się wniosek, że ich dalekosiężnym celem jest wprowadzenie w Polsce właściwie nieograniczonego prawa do aborcji.

Rzecz w tym, że takie podejście nie jest charakterystyczne dla Zachodu, ale… Rosji. To właśnie w tym kraju obowiązują liberalne przepisy dotyczące prawa do aborcji. Znacząca część Rosjan wciąż traktuje zabicie nienarodzonego dziecka tak, jak się ten proceder traktowało w okresie sowieckim – niemal jak środek antykoncepcyjny. Tak się dzieje niezależnie od antyaborcyjnych kampanii podejmowanych przez Cerkiew prawosławną i konserwatywnej retoryki Kremla.

Warto natomiast zwrócić uwagę na państwo, które jest przez polskich zwolenników pro-choice stawiane za wzór europejskich standardów praw człowieka – na Niemcy.

Jeśli chodzi o prawo do aborcji, to w sensie formalnym daleko im do Rosji. Artykuł 218 niemieckiego kodeksu karnego generalnie zakazuje aborcji.

Inna rzecz, że artykuł 218a dopuszcza uchylenie jej karalności w określonych sytuacjach. I tak usunięcie ciąży nie jest ścigane, jeśli nastąpiło w jej pierwszych 12 tygodniach, a kobieta przed poddaniem się aborcji zasięgnęła konsultacji w autoryzowanej przez państwo poradni, której zadaniem jest promocja macierzyństwa. Po 12. tygodniu również nie ma karalności za proceder, jeśli lekarz stwierdzi ciężkie upośledzenie płodu, mogące mieć negatywne skutki dla fizycznej i psychicznej kondycji matki.

W praktyce zatem można mówić o tym, że aborcja w Niemczech jest legalna, natomiast są w tym zakresie rozmaite ograniczenia. Jakie są ich źródła? Konstytucja RFN.

PŁÓD, CZYLI CZŁOWIEK

I tu można przywołać orzeczenia Federalnego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe wydawane w trakcie kolejnych niemieckich batalii o liberalizację ustawodawstwa dotyczącego usuwania ciąży.

W 1975 r. uznał on, że prawo do aborcji jest niezgodne z gwarantowanym przez ustawę zasadniczą prawem do życia. Natomiast w 1993 r. upomniał się o ochronę nasciturusa. Ten łaciński termin stosowany był jeszcze w prawie rzymskim. Chodzi o traktowanie dziecka poczętego jak narodzonego, głównie gdy ma ono przed urodzeniem odziedziczyć jakiś spadek.

Tak więc niemieckie ustawodawstwo przyjmuje odmienną perspektywę

eprasa.pl ee82e2794e

od tej, do której przyzwyczaili nas polscy zwolennicy pro-choice. Definiuje właściwie płód jako człowieka.

To nie tylko przypadek Niemiec. Daje do myślenia wyrok Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej z roku 2011 w sporze między niemieckim neurobiologiem Olivierem Brüstle a Greenpeace. Sędziowie UE zakazali patentowania metod, w których dochodzi do niszczenia ludzkich embrionów, argumentując swój werdykt tym, że życie ludzkie powinno być chronione od momentu poczęcia.

Bywa jednak, że owo mocno obecne wśród zachodnich elit przeświadczenie o człowieczeństwie płodu skutkuje nieoczekiwanymi, kuriozalnymi wnioskami. Aleksander Stępkowski, prawnik, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, zwraca uwagę na stanowisko australijskiego bioetyka, Petera Singera, znanego m.in. z tego, że domaga się on prawa do uśmiercania noworodków.

– Ten jego postulat wynika wprost z uznania, że płód ludzki jest człowiekiem – zauważa Stępkowski. I dodaje: – Singer przyznaje, że dziecko przed urodzeniem i krótko po urodzeniu ma ten sam status etyczny, więc i przed, i krótko po powinno być tak samo chronione. Skoro jednak na Zachodzie akceptujemy powszechnie aborcję, to z tych samych względów, twierdzi Singer, powinniśmy zaakceptować dzieciobójstwo.

Zdaniem Australijczyka ochrona życia przysługuje nie ludziom, lecz osobom, czyli – w jego rozumieniu – organizmom cechującym się w pewnym stopniu samoświadomością. Tak więc – uważa Singer – ludzie przed porodem, podobnie jak ludzie przez pewien czas po urodzeniu, nie są osobami i powinno się pozwolić na swobodne decydowanie, którzy spośród nich będą mogli kontynuować życie.

Konkluzja Aleksandra Stępkowskiego jest następująca: – Australijski filozof wskazuje, że akceptacja aborcji musi logicznie prowadzić do akceptacji dzieciobójstwa – jego uczniowie mówią o „aborcji pourodzeniowej" – ponieważ płód jest tak samo człowiekiem jak dziecko urodzone. A zatem kwestionowanie człowieczeństwa płodu ludzkiego otwiera drogę do dowolnego decydowania o tym, kto zasługuje lub nie zasługuje na ochronę również po urodzeniu.

Jednego więc zachodnim elitom nie można odmówić – respektu wobec nauk przyrodniczych. A te nie są w stanie zaprzeczyć, że płód to człowiek, zwłaszcza że przybywa środków – takich jak USG – dzięki którym można się o tym przekonać. W rezultacie zapłodnienia powstaje nowy, cechujący się własnym odrębnym DNA organizm, który się rozwija. Na gruncie naukowym można zatem mówić o jednym rozwijającym się podmiocie, a nie o przemianie jednego podmiotu („zlepku komórek") w człowieka.

Na tle takiego podejścia polscy zwolennicy pro-choice jawią się jako istny ciemnogród. Kierują się oni ideologicznymi przesądami, z których płynie wniosek, że jeśli nienarodzonego dziecka nie widać, to znaczy, że nie „stało się" ono jeszcze człowiekiem.

Jednego zachodnim elitom nie można odmówić – respektu wobec nauk przyrodniczych. A te nie są w stanie zaprzeczyć, że płód to człowiek

W przypadku Zachodu wyraźny jest jednak rozdźwięk między aksjologią ustawodawstwa a szczegółowymi rozwiązaniami prawnymi. Płód definiowany jest bowiem jako człowiek, ale zarazem aborcję się dopuszcza ze względu na wyższą konieczność (sprowadzającą się głównie do ochrony szeroko pojętego zdrowia fizycznego i psychicznego matki).

Tymczasem polscy zwolennicy pro-choice nie brną w takie sprzeczności. Stawiają sprawę prosto: skoro płód nie jest człowiekiem, to i nie powinien być chroniony jako człowiek.

Być może ta różnica między polskimi zwolennikami prawa do aborcji a elitami zachodnimi, których stanowisko odcisnęło swoje piętno na ustawodawstwie choćby niemieckim lub unijnym, wiąże się z różnicami kulturowymi.

W Niemczech i innych krajach Europy Zachodniej – zwłaszcza tam, gdzie kulturę polityczną ukształtowało doświadczenie protestantyzmu – liczy się legalizm. O tym, co jest dopuszczalne, a co niedopuszczalne, decyduje umowa społeczna.

Polską kulturę polityczną ukształtowało natomiast doświadczenie katolicyzmu. Odwołuje się on do prymatu etyki nad prawem, do niezbywalnej godności ludzkiej, która okazuje się ważniejsza niż umowa społeczna.

ODCZŁOWIECZANIE

W Europie Zachodniej dał o sobie znać, przecierający szlaki protestantyzmowi, nominalizm. Ta koncepcja filozoficzna, sformułowana w XIV w. przez angielskiego myśliciela Wilhelma Ockhama, zakładała, że idee w ludzkim umyśle nie są autonomicznymi, obiektywnymi bytami.

Upraszczając, można przyjąć, że w świetle nominalizmu pojęcie niezbywalnej godności ludzkiej to abstrakcja nieznajdująca potwierdzenia w rzeczywistości. Istnieje ono o tyle, o ile człowiek czyni z niego użytek.

Według prof. Jadwigi Staniszkis Polska nie przeszła przez przełom nominalistyczny, więc jej kultura polityczna – jak przekonuje socjolog – pozostaje ukształtowana wciąż przez realizm filozoficzny. A ten zakłada, że pojęcie niezbywalnej godności ludzkiej to autonomiczny, obiektywny byt, a nie abstrakcja istniejąca wyłącznie w ludzkim umyśle.

Tak więc w zachodnioeuropejskim postnominalistycznym podejściu relatywizacja wartości, jaką stanowi życie nienarodzonego dziecka, skutkująca łamańcami prawnymi, nie powinna dziwić. Inaczej jest w Polsce.

Dlatego polscy zwolennicy pro-choice, żeby uzasadnić swoje stanowisko, odczłowieczają płód i ignorują wiedzę dostarczaną przez nauki przyrodnicze. Gdyby bowiem przyjęli perspektywę zachodnioeuropejską, to uznaliby ludzki status nienarodzonego dziecka – wówczas musieliby się zmierzyć z dysonansem poznawczym spowodowanym kolizją owego statusu z forsowaniem prawa do aborcji.

A jednak tego nie robią. I odczłowieczając płód, okazują się tym właściwym ciemnogrodem. Paradoksalnie ich mentalność naznaczona jest bowiem kulturą polityczną kraju postrzeganego przez lewicowo-liberalne środowiska na świecie jako relikt katolicyzmu. Tyle że akurat Kościół katolicki zachowuje respekt wobec nauk przyrodniczych. A te jego bioetycznemu nauczaniu nie przeczą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą magazynu Tygodnik.tvp.pl.

eprasa.pl ee82e2794e

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Okno przeszłości

Każdy zna zapewne to uczucie zdziwienia, które towarzyszy nam, gdy odwiedzamy świat naszego dzieciństwa. Wielkie przestrzenie, w których się obracaliśmy, okazują się niewielkie. A właściwie malutkie.

Moja mama mieszka wciąż w naszym rodzinnym mieszkaniu. Często ją odwiedzam. Za każdym razem odczuwam specyficzny, w sumie dość nieprzyjemny dysonans, gdy przekraczam trawnik, który kiedyś był terenem naszych zabaw. Tam rozstawialiśmy namioty z koców, bawiliśmy się w Indian, graliśmy w karty (w kuku i króla-chama) i łapaliśmy pszczoły do pudełek po zapałkach. W nocy opowiadaliśmy sobie historie o czarnej wołdze, która porywa dzieci. Ten skrawek zieleni odgrywał nieskończoną liczbę ról. Wydawał się ogromy, a jest mikroskopijny.

Z boku bloku był nieco większy teren, na którym organizowaliśmy bardziej wymagające zabawy. Robiliśmy tam trasy do wyścigów kapsli albo rzucaliśmy nożem, grając w państwa (proszę sobie dziś wyobrazić dzieci rzucające nożem – interweniowałby co najmniej rzecznik praw obywatelskich). Dzisiaj czuję się tam jak Guliwer w Krainie Liliputów.

Ale jedno w naszym bloku się nie zmieniło. Na parterze trzeciej klatki mieszka koleś, który – gdy trochę wyrośliśmy – zaczął słuchać heavy metalu. Jak większość metali dostał ksywę Łysy ze względu na swe długie włosy. Łysy jako 14-latek kupił sobie sprzęt grający i od tej pory z otwartego okna na parterze zawsze rozbrzmiewa metalowa muza. A to AC/DC, a to Black Sabbath, a to inni faceci machający głowami.

Metal nawala stamtąd zawsze. Łysy przetrzymał rodziców i protestujących sąsiadów oraz interwencje milicji, a potem policji. Wszyscy się z tym pogodzili i przyzwyczaili, bo jak wiadomo, do wszystkiego można się przyzwyczaić. Trzeba zresztą przyznać, że Łysy nie katuje muzyką nastawioną na cały regulator. Ale z drugiej strony słuchanie metalu zupełnie cicho nie ma sensu oczywiście.

Rodzice Łysego zmarli, on sam nie robi chyba nic innego prócz słuchania – chyba wciąż tych samych płyt. W każdym razie standard lokalu na parterze nieco się pogorszył. Jedną z szyb zastąpiła parę lat temu deska i zostanie już pewnie na zawsze, bo popularyzacja heavy metalu, przynajmniej w tym bloku, nie jest zbyt popłatna.

Nie ukrywam, że przez pryzmat Łysego postrzegam trochę wszystkich ludzi, którzy mają wypisane na chlebakach długopisem TSA albo Motörhead. Tudzież Metallica. Zapewne niesłusznie widzę w nich osoby nieco ograniczone – przynajmniej jeżeli chodzi o gusta muzyczne.

Przez lata tak monstrualny brak zainteresowania czymkolwiek poza metalem wręcz mnie oburzał. Ale na szczęście pewność tego, jak powinni żyć inni ludzie, w końcu ze mnie wyparowała. Teraz lubię to okno. Za to, że wciąż jest takie samo. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Kata żal

W przeciwieństwie do Kościoła katolickiego, który po XX stuleciach zmienił stosunek do kary śmierci (swoją drogą, czy przy okazji planuje się ocenzurowanie Pisma Świętego, które w tym temacie wypowiada się jednoznacznie?), ja przeżyłem ewolucję odwrotną. Jako zarozumiały młodzian karmiony frazesami, skłonny do uproszczeń i wiary w byty idealne byłem przeciwnikiem odbierania życia w majestacie prawa.

Dzisiaj już nie! Oczywiście nadal uważam (w zgodzie z obowiązującym do niedawna katechizmem), że jest to kara wyjątkowa, która winna być stosowana możliwie jak najrzadziej i niewykonywana w przypadku najmniejszych choćby wątpliwości. Musi jednak istnieć. Choćby jako ostateczna ewentualność. A przynajmniej zwornik po ludzku rozumianej sprawiedliwości. Dożywotnie więzienie (zresztą coraz rzadziej stosowane) nie gwarantuje pełnej ochrony społeczeństwa przed bestiami w ludzkiej skórze. Zawsze możliwe są rewolucja, trzęsienie ziemi, bunt więźniów. Możliwość, że po wyjściu na wolność seryjny morderca nadal będzie zabijać, jest ostatecznym argumentem za jego anihilacją. Nadto żadne więzienie nie stanowi tak mocnego argumentu prewencyjnego jak możliwość utraty życia.

Kara śmierci (nawet po wyparowaniu z kodeksów i katechizmu) wcale nie zniknie

Odeszliśmy od Kodeksu Hammurabiego, ale to, że wielokrotny zabójca (vide Breivik) prowadzi mimo pewnych niedogodności dość luksusowe życie, którego możliwość odebrał kilkudziesięciu młodym ludziom, burzy moje poczucie sprawiedliwości.

Wbrew wszelkim pięknoduchom, kara śmierci (nawet po wyparowaniu z kodeksów i katechizmu) wcale nie zniknie – nadal będzie wykonywana w ramach obrony społeczeństwa – policjanci będą strzelać do zbrodniarzy „podczas próby ucieczki", a współwięźniowie wobec najgorszych z najgorszych będą odgrywać role sędziego i kata. Tylko czy o to właśnie wszystkim nam chodzi? ©℗

eprasa.pl ee82e2794e

SIDNEY REILLY

„AUTENTYCZNY JAMES BOND"

Sto lat temu – u schyłku sierpnia roku 1918 – komórka operacyjna brytyjskiego wywiadu, której asem był Sidney Reilly, podjęła w Moskwie brawurową próbę obalenia reżimu bolszewickiego przez równoczesne wyeliminowanie (jednym zbrojnym uderzeniem) Lenina, Stalina, Trockiego i całej reszty kierownictwa bolszewików. Gdyby ten zamach się udał – nie powstałoby mocarstwo ZSRR i losy świata potoczyłyby się zupełnie inaczej.

eprasa.pl ee82e2794e

Waldemar Łysiak

Weterani KGB i nowy narybek ruskich służb (FSB) wciąż wspominają autentyczne (choć dziś już anegdotyczne) zdarzenie z roku 1979. Ówczesny naczelnik Pierwszego Zarządu Głównego KGB, późniejszy (od roku 1988) szef KGB, generał Władimir Alieksandrowicz Kriuczkow, kazał przynieść sobie wszystkie dokumenty o Reillym, jakie posiadało *„firmowe"* archiwum, tudzież wszystkie książki o Reillym, jakie miała *„firmowa"* biblioteka (a było tego sporo) — i w ciągu kilku tygodni przeczytał to wszystko uważnie. Oleg Gordijewski, wysoki oficer KGB, który jedenaście lat pracował sekretnie dla Brytyjczyków i w roku 1985 uciekł do Londynu pod skrzydła MI 6, pięć lat później (1990) zapewniał: *„Nawet dzisiaj Reilly cieszy się wśród funkcjonariuszy i hierarchów rosyjskich służb specjalnych opinią superszpiega angielskiego"*, dodając jednak, że *„nie jest to opinia zasłużona"*. Czy rzeczywiście? Zdania co do fachowości Reilly'ego są bardzo podzielone wśród komentatorów. Ci, którzy go cenią, nadali mu już drukiem szumne przydomki: *„szpiegowski as nad asy"*, *„maestro szpiegostwa"*, *„prawdziwy James Bond"*, *„pierwsze wcielenie agenta 007"*, *„król szpiegów"*, etc., inni wszelako twierdzą, że był tylko postrzelonym awanturnikiem, fanfaronem, mistyfikatorem, raptusem, który najpierw działał, a dopiero później zastanawiał się co robi. Jedni historycy szpiegostwa, jak choćby Richard Deacon, twierdzą, że *„Reilly, praktyk likwidowania wrogów trucizną, sztyletem, kulą i pętlą, posiadał więcej władzy, autorytetu i wpływów niż jakikolwiek inny szpieg"* (1969), drudzy natomiast przypominają co ujawniła po latach sekretarka Reilly'ego, Eleanor Toye (*„Czasami cierpiał na zaburzenia świadomości. Pewnego razu stwierdził, że jest Jezusem Chrystusem"*), i piszą, że *„wyczyny tego niezrównoważonego gościa graniczyły z farsą"* (Christopher Andrew, 1989). Mają rację, zważywszy że pewnego dnia Reilly w przebraniu czekisty prawie dotarł do Lenina na Kremlu (zatrzymał go sekretarz tuż przed progiem). Właśnie dzięki tej szalonej brawurze stał się bohaterem licznych powieści sensacyjnych oraz filmów (grał go m.in. sławny nowozelandzki aktor Sam Neill).

Ale nie tylko brawura i znajomość sztuk walki dały Reilly'emu miano swoistego prototypu Jamesa Bonda — także powodzenie u płci pięknej. Choć średniego wzrostu i drobnej figury — miał zniewalający urok (*„charme"*), podparty świetną inteligencją oraz erudycją (był poliglotą), nienaganną garderobą (był zawsze wykwintnie ubrany) i manierami towarzyskimi klasy arystokratycznej, słowem: wypisz–wymaluj Bond. Jako *„kobieciarz"* nie polował na kobiety, to one polowały na niego, vulgo: ten przystojniak o smagłej semickiej cerze (Europejki uwielbiają takich lekko egzotycznych) musiał się opędzać od rozpalonych względem niego dam, co skutkowało posuniętą daleko wybrednością w doborze metres. Zawsze miał ich kilka równocześnie, jednak cytowany już Deacon myli się, gdy stwierdza, że Reilly *„legitymował się jedenastoma paszportami i do każdego z nich przynależała inna żona"*. Reilly miał „tylko" trzy żony, choć paszportów istotnie bez liku. Zaczął je inkasować od *„służb"* bardzo wcześnie:

ZUCHWAŁY FARMAZON

Pochodzenie arcyszpiega jest pełne legend, tajemnic i bzdur. Nawet z datą urodzenia są kłopoty: prawdopodobnie zobaczył świat 24 marca 1874 roku, chociaż rozmaite publikacje od prawie stulecia rzucają różnymi datami (1872, 1873, 1880). Gdzie przyszedł na świat? Długo twierdzono (wierząc danym z archiwum CzeKa), że w Odessie lub pod Odessą, jako syn oficera rosyjskiego i pewnej Irlandki (bądź odwrotnie: Irlandczyka–wojskowego i pewnej Rosjanki), a gdy mając 19 lat odkrył, że spłodził go ktoś inny (*„wiedeński lekarz Rosenblum"*) — uciekł z domu. Dzisiaj sądzi się, że został powity jako Sigmund Gieorgijewicz Rosenblum w Piotrkowie (to polski akcent jego biografii), i że opuścił Polskę szybko, bo jego żydowscy rodzice (przedsiębiorca Hersh Jakow Rosenblum i Paulina Bramson), choć przyjęli katolicyzm, ewakuowali się do prawosławnej Odessy gwoli robienia tam interesów.

Pierwsze dwadzieścia lat życia Zygmunta to kompletna enigma, a historyjki, jakie później o sobie opowiadał (że był wtedy kucharzem, dokerem, inżynierem kolejowym w Indiach, odźwiernym burdelu w Brazylii, szpiegiem w Japonii, itp.), to zmyślenia z palca wyssane. Kłamliwie też przypisywał sobie studia na uniwersytetach Heidelberg i Cambridge oraz na brytyjskiej górniczej uczelni Royal School of Mines, lecz musiał mieć przynajmniej studia chemiczne, bo dzięki dużej wiedzy w tym zakresie przyjęto go do Chemical

Nowozelandzki aktor Sam Neill jako Sidney Reilly w brytyjskim serialu telewizyjnym „Reilly – szpiegowski as" z roku 1983

eprasa.pl ee82e2794e

Młody Zygmunt Rosenblum

Society (1896) i do Institute of Chemistry (1897).

Pojawił się w Londynie (1895) jeszcze jako Rosenblum, jednak trzy lata później (1898) zangielszczył się poślubiając owdowiałą guwernantkę, swoją rówieśniczkę Margaret Callahan Thomas, dzięki czemu otrzymał wkrótce (1899) paszport na nazwisko: Sidney George Reilly (notabene: jego drugą żoną została pani Chambera, a trzecią poznana w Berlinie

Trzecia żona, Pepita Reilly

Pepita Burton). Wskutek złego angielskiego akcentu i semickiego wyglądu nie brano go za klasycznego *„gentlemana/Englishmana"*, raczej za bezpaństwowca o skłonnościach globtrotterskich, bo chociaż mieszkał w Londynie — *„nosiło go"*: ciągle się gdzieś wyrywał w świat. Czasami aż do Chin — roku 1904 wylądował w Port Arthur (jako pracownik firmy handlowej M. A. Ginsburg & Company), będąc *„podwójnym agentem"* (angielskim i japońskim), lecz chyba tylko doraźnie, półamatorsko, nie zaś etatowo. Roku 1906 wybrał się do Petersburga (jako łącznik między rosyjską firmą, która go zatrudniła, a przedsiębiorstwami niemieckimi), nawiązując tam komitywę z kontrcarskim podziemiem rewolucyjnym, by je inwigilować dla *„służb"* Londynu i caratu. Płacono mu hojnie, bo od razu zamieszkał w luksusowym, przepełnionym cennymi dziełami sztuki apartamencie, do którego ustawiała się kolejka rozkosznych dam.

Kiedy został zatrudniony przez angielski wywiad na stałe? Trudno powiedzieć, najpóźniej w 1916 roku, prawdopodobnie dzięki szpiegowskiemu urobkowi z Niemiec, gdzie przebrany za inżyniera hutnika i za oficera marynarki penetrował stocznie, wykradając dla Londynu projekty okrętowe i szyfr niemieckiej floty. W każdym razie do Nowego Jorku (1917) jechał już jako agent Secret Intelligence Service (SIS) vel Secret Service Bureau (SSB), lecz nie MI 6 (tak błędnie pisało i pisze wielu dyletantów interesujących się Reillym), bo owa nazwa wówczas jeszcze nie istniała — lecz MI 1c, którego szefem był sir Mansfield Smith–Cumming. Tego samego roku zaczęto planować dla Reilly'ego misję jego życia: obalenie bolszewików.

LENINA ROZSTRZELAĆ CZY ROZEBRAĆ?

Pucz, który wyniósł bolszewików do władzy, zwany później przez Sowietów *„Rewolucją Październikową"* (1917), bardzo zaniepokoił władze brytyjskie i zmobilizował *„jastrzębi"* pokroju zajmującego się wojskiem ministra Winstona Churchilla. Smith–Cumming dostał polecenie *„zrobienia porządku z Leninem i jego hałastrą"*. Brytyjskie służby specjalne miały na tym polu (na polu dokonywania przewrotów w Petersburgu) solidne tradycje. Ich ukoronowaniem było zamordowanie cara Pawła I (1801) przez spiskową kamarylę dworską, którą motywował i opłacał brytyjski ambasador Withworth, bo Londyn wkurzało, iż Paweł dogaduje się z Napoleonem. U schyłku rosyjskiego października 1917 SIS planowała już zamach w Rosji, szukając wykonawców. Powiadomiono o tym Bruce'a Lockhar-

Konsul Bruce Lockhart

ta, angielskiego konsula generalnego w Petersburgu, ten zaś — rozumiejąc jak bardzo szalone jest owo przedsięwzięcie, wymagające kowboja, który szybciej strzela niż myśli — wskazał Reilly'ego, bo miał na jego temat opinię taką: *„Ten człowiek to skrzyżowanie artystycznego temperamentu Żyda z junacką odwagą Irlandczyka"*. Doradcy szefa MI 1c protestowali, wskazując, że Reilly jest łasym na pieniądze hucpiarzem, wyzbytym choćby

Minister Winston Churchill

krztyny patriotyzmu, lecz przeważyło zdanie Churchilla, którego Reilly zdążył oczarować. Chcąc nie chcąc Smith–Cumming podjął decyzję. I tak, na samym

eprasa.pl ee82e2794e

początku roku 1918, w Piotrogrodzie pojawił się lewantyński kupiec Massino, handlujący diamentami…

Jako Massino Reilly udawał, że robi interesy, konsolidując jednocześnie zamachową grupę operacyjną, której pierwszorzędnym graczami byli Ernest Boyce (kierownik petersburskiej rezydentury SIS) i kapitan G. A. Hill, agent o kryptonimie IK–8 (Reilly miał tam kryptonim ST–1). Wspierał tę grupę główny amerykański agent w Rosji Lenina — Xenophon Kalamatiano. Tymczasem — zanim spiskowcy obmyślili sposób ataku — rząd bolszewicki (Lenin i jego ferajna) przeniósł się z Petersburga do Moskwy (marzec 1918), gdyż ku portom rosyjskim płynęły coraz gęściej angielskie, amerykańskie i francuskie okręty wiozące kontyngenty alianckich wojsk mających wspierać rozlewającą się po całej Rosji kontrrewolucję białogwardyjską. Siatka Reilly'ego rekrutowała elementy kontrrewolucyjne (zwłaszcza spośród wojskowych) nie tylko w Petersburgu, w Moskwie również, więc zmiana lokalizacji nie wydawała się utrudnieniem. Wbrew jednak oczekiwaniom Lockharta i Reilly'ego — właściwy impuls przyszedł nie z kręgu wyższych oficerów sztabu generalnego Armii Czerwonej zwerbowanych przez spiskowców, tylko z najlepszego możliwego środowiska: od łotewskiej straży przybocznej Lenina i kierownictwa bolszewickiego.

Łotysz Edward Berzin

Latem 1918 z konsulatem brytyjskim skontaktowali się dwaj Łotysze, Sprogis i Buikis, dzięki którym doszło do spotkania między Lockhartem a płk. Edwardem Berzinem, szefem Gwardii Łotewskiej na Kremlu. Berzin oświadczył konsulowi, że chociaż Łotysze poparli zrazu Rewolucję Październikową, teraz mają już dość bolszewików i nie chcą walczyć przeciwko wojskom brytyjskim lądującym w Archangielsku, proponują więc likwidację sztabu Lenina. Do dalszych kontaktów z Berzinem dla wspólnego opracowania planu Lockhart wyznaczył Reilly'ego (Christopher Andrew: *„Lockhart nie przepadał za nim, lecz zuchwała odwaga Reilly'ego budziła jego podziw”*). Obaj — Reilly i Berzin — zgodzili się, że najlepszym miejscem kontrleninowskiej operacji będzie moskiewski Teatr Bolszoj, gdzie 28 sierpnia (później datę przesunięto na 6 września) miał się odbyć Wszechrosyjski Kongres Rad, zatem całe bolszewickie kierownictwo byłoby zgromadzone w jednym miejscu, stając się łatwym celem uderzenia, bo Łotysze Berzina stanowiliby jedyną straż obradujących. Rozbieżność wywołały proponowane środki: Berzin chciał na miejscu *„rozwalić”* Lenina i jego kompanię, Reilly jednak oponował twierdząc, że *„robienie z bolszewików męczenników”* źle by się przysłużyło sprawie kontrrewolucji, lepiej tedy aresztować rząd bolszewicki, rozebrać jego członków i w samych kalesonach przegonić ulicami Moskwy chłostając, co ośmieszyłoby Lenina, Trockiego i całą resztę, eliminując ich definitywnie z polityki. Lockhart wyśmiał tę kolejną fanfaronadę Reilly'ego, wolał krwawy zamach, na który sojusznicy (Anglicy, Amerykanie i Francuzi) przeznaczyli 1 200 000 rubli gotówką.

FIASKO

Koncypowana przez Reilly'ego i Lockharta operacja usunięcia Lenina, Stalina oraz Trockiego i tym samym „zdetronizowania” bolszewików — nie mogła się udać z jednego powodu, który władze sowieckie odtajniły oficjalnie dopiero w roku 1956: bo od samego początku była wymyśloną przez szefa CzeKa, Feliksa Dzierżyńskiego, prowokacją. To on wysłał Łotyszy do Lockharta, on mamił spiskowców, on kontrolował wszystkie ich ruchy. Przykładowo: gdy 25 sierpnia w moskiewskim konsulacie USA zebrało się grono dyplomatów i agentów służb specjalnych Ententy, na którym Reilly poinformował ambasadorów zaprzyjaźnionych państw o spisku (to wskutek tego zebrania Sowieci przezwali ową konspirację *„spiskiem ambasadorów”*, rzadziej używali terminu: *„spisek Lockharta”*) — Dzierżyński znał każde słowo tam wypowiedziane, ponieważ uczestnikiem spotkania był jego szpicel, francuski dziennikarz René Marchand (późniejszy założyciel FPK — Francuskiej Partii Komunistycznej).

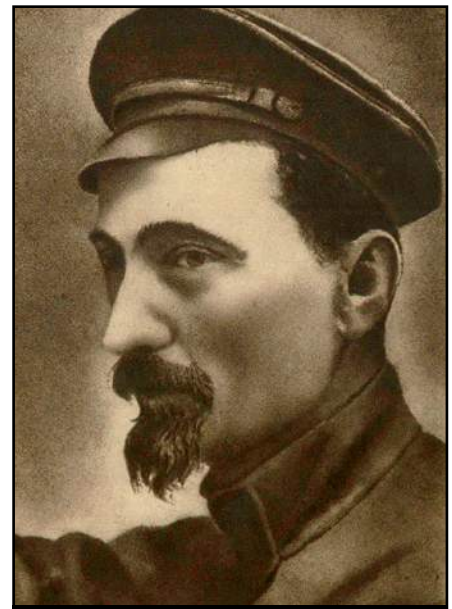

Feliks Dzierżyński

eprasa.pl ee82e2794e

Reilly ucharakteryzowany

CzeKa planowała rozpoczęcie aresztowań 5 września, lecz działania represyjne niespodziewanie przyspieszyło postrzelenie Lenina przez Dorę Kaplan (31–VIII–1918), które nie miało żadnego związku z Lockhartem i Reillym. Zastępy czekistów uderzyły na konsulaty Ententy, dokonując masowych aresztowań. Lała się krew, choćby w Petersburgu, gdzie ostrzeliwując się browningami z obu rąk zginął brytyjski attaché morski, Francis Cromie (przyjaciel Reilly'ego). 2 września ukazał się następujący komunikat Sownarkomu: *„Organy bezpieczeństwa zlikwidowały bandycki spisek koncypowany przez cudzoziemskich dyplomatów. Na czele spisku stali: szef misji brytyjskiej Lockhart, francuski konsul generalny Grenard, francuski generał Lavergne, i inni. Celem spisku było porwanie Rady Komisarzy Ludowych, zabicie jej członków i ogłoszenie imperialistycznej wojskowej dyktatury. Cel ten chciano osiągnąć przekupując żołnierzy Armii Czerwonej oraz czerwonych gwardzistów”*, itd. W grudniu odbył się pokazowy proces schwytanych spiskowców, wkrótce jednak mający status dyplomatyczny Francuzi i Anglicy (m.in. Lockhart) zostali uwolnieni i wrócili do swych państw.

Reilly'ego nie udało się schwytać, mimo że Dzierżyński rozpuścił za nim swoje najlepsze psy. Aresztowano każdego, kto się z nim stykał (m.in. siedem jego rosyjskich kochanek), a jego twarz rozplakatowano po całej Rosji, lecz wymykał się obławie skutecznie. Prawdopodobnie dlatego, że wdział mundur… czekisty i posługiwał się dokumentami na nazwisko Sidor Gieorgijewicz Reliński, które były perfekcyjną fałszywką (załatwił mu ją IK–8, czyli kapitan Hill). Gdy CzeKa się o tym dowiedziała i na plakatach pojawiło się nazwisko: Reliński — przebrał się za greckiego kupca, później za urzędnika i robotnika. Wymknął się z Rosji jako marynarz holenderskiego frachtowca, dzięki temu, że obok znajomości rosyjskiego, polskiego, angielskiego, niemieckiego i francuskiego — dukał też nieco po holendersku. Miał sporo szczęścia, gdyż wszystkich zamieszanych w spisek, którzy nie posiadali dyplomatycznego statusu, nawet kilkudziesięciu drugorzędnych pomagierów (kurierów itp.) — torturowano i rozstrzelano.

Do Anglii Reilly wrócił drogą morską via norweskie Bergen, jednak już w następnym roku (1919) Churchill wysłał go ponownie do Rosji, bo trzeba tam było zorganizować siatkę szpiegowską dla kontrrewolucyjnego gwiazdora, generała Antona Denikina, szefa zjednoczonych białogwardyjskich Sił Zbrojnych Południa Rosji (Armia Ochotnicza, Armia Dońska i Armia Kubańska). Już wtedy i przez następnych kilka lat współpracował z najsławniejszym wówczas spośród wszystkich rosyjskich kontrrewolucjonistów, legendarnym później Borisem Sawinkowem. Ten zawzięty antykomunista/antyLeninista, bojowiec z partii SR (Socjalistów–Rewolucjonistów — *„eserowców”*), wiceminister wojny w przedbolszewickim rządzie tymczasowym Kiereńskiego, był początkowo terrorystą kontrcarskim (zamachy na ministra spraw wewnętrznych Plehwego, na wielkiego księcia Siergieja, i in.), a po obaleniu caratu szefem Związku Obrony Ojczyzny i Wolności organizującym powstania kontrbolszewickie (w Jarosławiu, Rybińsku, Murmańsku, etc.). Winston Churchill uważał go za człowieka odznaczającego się *„mądrością męża stanu, śmiałością bohatera, cnotami wodza i pomysłowością”*. Cenił go również marszałek Piłsudski i gościł w Warszawie nie raz. Tutaj Sawinkow mógł spokojnie knuć z Reillym, którego brygadier Edward Louis Spears wysłał do Europy wschodniej (pierwsza połowa

Kontrrewolucjonista Sawinkow

lat 20–ych XX wieku) pod przykrywką organizowania biznesu na terenie Polski, Ukrainy, Rumunii i Czech. Rok 1921 Reilly kończył mając stopień porucznika, później dochrapał się pono kapitana, choć damom przedstawiał się jako pułkownik.

eprasa.pl ee82e2794e

Dzierżyński w swoim gabinecie

Sidney Reilly w roku 1924

KONIEC GRY

W owej pierwszej połowie lat 20–ych Dzierżyński zmontował dwie perfidne operacje pod kryptonimami „Sindikat" i „Trust", które przeszły do historii prowokacji tudzież mistyfikacji szpiegowskich jako modelowe kontrwywiadowcze pułapki, i po dziś dzień są wykładane na szpiegowskich akademiach. Istotą obu było tworzenie wewnątrz Rosji fałszywych organizacji kontrrewolucyjnych (rzekomo zwalczających bolszewików) dla zwabiania emigracyjnych antykomunistów w łapy bezpieki sowieckiej. Sawinkow stanowił główny cel „Sindikatu", a Reilly główny cel „Trustu". Oboma tymi mistyfikacjami kierowała sowiecka bezpieka zreformowana, gdyż założona u schyłku roku 1917 CzeKa (właściwie: WCzK — Wszechrosyjski Nadzwyczajny Komitet do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem) została w lutym roku 1922 przemianowana na GPU (właściwie: OGPU — Wszechzwiązkowy Państwowy Urząd Bezpieczeństwa).

Pierwsze lata trzeciej dekady XX wieku Sawinkow spędził głównie w Paryżu, Warszawie i Londynie, tworząc różne kontrsowieckie organizacje propagandowe tudzież sabotażowe, i często kontaktując się Reillym, który aranżował spotkania między Rosjaninem a ministrem Churchillem. Anglik chciał wysłać Sawinkowa na teren Rosji, czemu przeciwne było Foreign Office, uważające, że to *„człowiek z gruntu niepewny, mistyfikator"*. Rosjanin zresztą nie palił się do tego, wiedział bowiem, że OGPU zrobiłby wszystko, by go schwytać. Sytuacja jednak zmieniła się gdy latem 1922 roku carski oficer Szeszenia został capnięty przez sowiecką straż graniczną przy przekraczaniu granicy polsko–rosyjskiej. Bezpieka Dzierżyńskiego łatwo go złamała, napisał więc do sztabu Sawinkowa list z informacją o świetnie zorganizowanym w Rosji antysowieckim podziemiu, i zapowiedział przyjazd do Warszawy emisariusza tych konspiratorów. Emisariusz, niejaki Muchin (oficer GPU Fiodorow), via Warszawa dotarł do

Paryża i tam przekonywał Sawinkowa, że moskiewscy kontrrewolucjoniści czekają na niego jak na Mesjasza. Nieufny Sawinkow wolał się jednak upewnić, wysłał tedy do Rosji swą *„prawą rękę"*, płk. Siergieja Pawłowskiego. Wkrótce Pawłowski (rzecz prosta aresztowany i przewerbowany) zapewnił szefa, iż wszystko jest w porządku. Sawinkow ściągnął więc Reilly'ego z Nowego Jorku, by mogli razem opracować plan eskapady Rosjanina do ojczyzny. 15 sierpnia 1924 roku Sawinkow przekroczył sowiecką granicę i wylądował w kazamatach Dzierżyńskiego. Reilly, dla którego był to straszny cios, zrazu szerzył wersję o bohaterskiej śmierci Sawinkowa przy przekraczaniu granicy (do Churchilla i do naczelnego redaktora **„The Morning Post"** wypisywał dytyramby na temat swego *„drogiego przyjaciela, niezłomnego bojownika…"*, itp.), lecz gdy przyszły wieści, że Sawinkow dla ratowania życia przeklął kontrrewolucję i pokłonił się nisko władzy sowieckiej — Reilly zmienił ton, publikując epitety o *„moralnym samobójstwie tego zdrajcy, który wykreślił swe imię z honorowej tablicy ruchu antykomunistycznego"*. W maju 1925 roku Sawinkow popełnił fizyczne samobójstwo, skacząc przez niezakratowane okno sowieckiego więzienia, prawdopodobnie nie bez pomocy czekistów.

Po takiej nauczce Reilly stał się dużo bardziej ostrożny, a jednak i on wpadł, stając się łupem operacji „Trust". Wcześniej zdołała ona omamić dwa główne emigracyjne centra kontrrewolucjonistów — WMS (berlińską Naczelną Radę Monar-

eprasa.pl ee82e2794e

chistyczną) i ROUWS (paryski Związek Połączonych Wojsk Rosji) — wmawiając im, że na terenie Rosji prężnie działa silne antysowieckie podziemie zwane Monarchistycznym Zrzeszeniem Rosji Centralnej (MOR). Szef ROUWS, generał Aleksandr Kutiepow, uchodził za arcyczujnego, wręcz przewrażliwionego, wszędzie węszył sowiecką prowokację, lecz i on dał się otumanić, kobiecie, Marii Zacharczenko–Schultz (wdowie po dwóch carskich oficerach), której kochanek, Alieksandr Opperput, był agentem „Trustu".

Reilly'emu wyjazd do Moskwy dla rozeznania środowiska spiskowców z MOR zaproponował dawny kumpel, komandor Ernest Boyce, szef niegdysiejszej petersburskiej rezydentury SIS, aktualnie szef helsińskiej placówki brytyjskiego wywiadu. Był rok 1925 — Reilly, wygłodzony po dwóch latach babrania się w biznesie (eksportował czeski rad i handlował *„cudownym lekarstwem"* „Humagsolan", bez sukcesu), łaknął kolejnej szpiegowskiej przygody. Dzięki rozmowie z Kutiepowem i Boycem (w Paryżu) ruszył do Finlandii, gdzie go przywitała (w Helsinkach) *„absolutnie godna zaufania"* pani Zacharczenko, która przekazała go (w Wyborgu) *„sprawdzonemu"* kontrrewolucjoniście Nikołajowi Bunakowowi (agentowi GPU), a ku granicy poprowadził Reilly'ego *„całkowicie pewny"* członek MOR Alieksandr Jakuszew (agent KRO, kontrwywiadu GPU).

Ludzie Dzierżyńskiego nie aresztowali *„szpiega imperialistów"* bezzwłocznie. Dali mu spotkać się w *„konspiracyjnym lokalu"* z rzekomymi członkami podziemia i dyskutować z nimi plany dalszej walki (Reilly wysunął wtedy koncepcję zdobywania funduszy sprzedawaniem zachodnim kolekcjonerom arcydzieł sztuki, których w Rosji nie brakowało), wyjść i skierować się ku stolicy samochodem prowadzonym przez *„przyjaciół"*. Aresztowany pod Moskwą u schyłku września roku 1925 (nie wcześniej niż 28 września) — wylądował na Łubiance. Miał tam skreślić do Dzierżyńskiego wiernopoddańczy list, który po dziś dzień leży w archiwach KGB, jednak zachodni eksperci sądzą, że to propagandowa fałszywka (Christopher Andrew: *„Wiarygodność tego świstka budzi głęboką wątpliwość"*). Chociaż londyński **„Times"** szybko zamieścił błędny nekrolog Reilly'ego (*„Sidney George Reilly został zastrzelony 28 września przez sowiecki oddział graniczny pod wsią Allekuł"*) — Reilly żył jeszcze cały miesiąc. Codziennie wożono go samochodem do podmoskiewskiego lasu na spacer. Podczas kolejnego spaceru został zabity strzałem lub uderzeniem w potylicę — 3 bądź 5 listopada. Wyroku śmierci nań wydawać nie trzeba było, gdyż wciąż obowiązywał wyrok sprzed siedmiu lat ferowany zaocznie w procesie *„grupy Lockharta"*.

* * * * *

Trzynaście lat po śmierci Reilly'ego wysoki oficer sowieckich *„służb"*, Alieksandr Orłow, zwiał do Francji, skąd został przerzucony do USA. Indagującemu go funkcjonariuszowi FBI, Edwardowi P. Gazurowi, ujawnił, że wieloletni zwierzchnik i przyjaciel Reilly'ego, Ernest Boyce, szef rezydentur brytyjskiego wywiadu w Petersburgu, a później w Helsinkach, przez cały czas był na żołdzie CzeKa/GPU. Antycypujący Jamesa Bonda *„król szpiegów"* nie miał więc żadnych szans. ©℗

Sidney Reilly na łożu śmierci

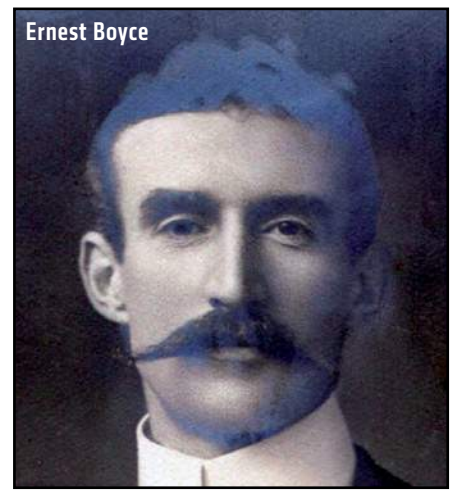

Ernest Boyce

Moskiewska Łubianka

eprasa.pl ee82e2794e

TORNISTER pełen UŚMIECHÓW

Spakuj tornister razem z nami

www.tornister.caritas.pl

SMS

wyślij sms:
TORNISTER
na nr **72052**
(koszt: 2,46 z VAT)

Akcję wspierają:

plus, orange, T-Mobile, Play, Digital Virgo

Partner strategiczny: LIDL

Patroni medialni: TVP, Polskie Radio, wiara.pl, Gość Niedzielny, niedziela, DEON.PL

caritas

eprasa.pl ee82e2794e

Kryptonim Podhale

FOT. BETTMANN/CONTRIBUTOR/GETTY IMAGES

eprasa.pl ee82e2794e

Grzegorz Majchrzak

20 sierpnia 1968 r. „wszelkim przedsięwzięciom" resortu spraw wewnętrznych „związanym z sytuacją w Czechosłowacji" nadano kryptonim Podhale. Jednak SB prowadziła swe działania już znacznie wcześniej i zakończyła je długo po wycofaniu Ludowego Wojska Polskiego z Czechosłowacji

Sytuacja u naszego południowego sąsiada i jej wpływ na nastroje społeczne w PRL były regularnie monitorowane, co najmniej od wiosny 1968 r. Rozpoznaniu sytuacji w Czechosłowacji służyły przede wszystkim dwustronne spotkania, odbywane głównie na szczeblu lokalnym. Rozwój wydarzeń w tym kraju monitorował oczywiście również Departament I MSW, czyli wywiad oraz agentura Służby Bezpieczeństwa. Przygotowywano także stosowne plany, założenia etc., np. 3 maja 1968 r. Departament III MSW opracował „Ramowy plan przeciwdziałania niektórym tendencjom na tle wydarzeń w CSRS". Przewidziano w nim dwa główne kierunki działania: „ograniczenie możliwości oddziaływania sił syjonistyczno-reakcyjnych Czechosłowacji na sytuację w Polsce" oraz „przecinanie prób podejmowania przez elementy syjonistyczno-rewizjonistyczne rozwijania w kraju akcji zgodnych z intencjami sił reakcyjnych w CSRS".

W lipcu i sierpniu 1968 r. resort spraw wewnętrznych w ramach operacji o kryptonimie Morwa zabezpieczał przemieszczenie wojsk radzieckich na terytorium PRL. Z kolei pod koniec lipca 1968 r. rozszerzono zadania granicznych placówek kontrolnych. Nakazywano im „zdobycie maksimum informacji o sytuacji w CSRS". Zwłaszcza o: 1) ewentualnym wzmocnieniu ochrony granicy z Polską przez organy milicji lub jednostki wojskowe, 2) zmianach postępowania organów granicznych CSRS wobec podróżnych, szczególnie wobec obywateli polskich i własnych, 3) ewolucji sytuacji wewnętrznej w Czechosłowacji (nastroje ludności, stosunek do polemiki krajów socjalistycznych z CSRS, stosunek do polskich turystów itp.), 4) zmianie stosunku do polskich organów kontroli granicznej itp. Miały m.in. w przypadku części obywateli Czechosłowacji (dziennikarze, naukowcy, ludzie kultury, posiadacze paszportów dyplomatycznych i służbowych) meldować na bieżąco o fakcie przekroczenia przez nich granicy, a także zdobywać „maksimum informacji o sytuacji w CSRS".

POD KONTROLĄ WŁADZY

Działania Służby Bezpieczeństwa zintensyfikowano oczywiście po rozpoczęciu inwazji. 21 sierpnia w MSW uruchomiono Centralne Stanowisko Kierowania – ciało stworzone na wypadek sytuacji kryzysowych – i wprowadzono w resorcie „stan podwyższonej gotowości". Jednostkom operacyjnym MSW nakazano „rozpoznanie środowisk, grup i osób w celu sprawnego przeciwdziałania ewentualnym wrogim zamierzeniom". Szczególną uwagę zalecano zwrócić na: „rewizjonistów", „kler", dyplomatów i zagranicznych dziennikarzy. Nakazywano również obserwację sytuacji zaopatrzeniowej i „ujawnianie sprawców zakłóceń w obrocie towarowym". Efektem tego rozpoznania (prowadzonego przez wszystkie jednostki operacyjne resortu) były m.in. zestawienia „wrogich" wypowiedzi członków Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, pracowników rad narodowych i instytucji im podległych oraz codzienne, a w pierwszych dniach po inwazji nawet dwa razy dziennie, informacje płynące do przywódców partii i państwa. A także – wbrew intencji pomysłodawców – swoista kronika polskiego sprzeciwu wobec inwazji oraz poparcia dla Czechów i Słowaków...

Komendantom wojewódzkim Milicji Obywatelskiej nakazano utrzymywanie stałego kontaktu z komitetami wojewódzkimi PZPR i informowanie partii o „aktualnej sytuacji". Z kolei komendantowi głównemu Straży Pożarnej i szefowi Głównego Inspektoratu Ochrony Przemysłu zalecono wzmocnienie zabezpieczenia przeciwpożarowego oraz ochrony fizycznej zakładów pracy. Zresztą sytuację w tych ostatnich musiano oceniać na tyle źle, że 23 sierpnia wiceminister Tadeusz Pietrzak dopuszczał nawet możliwość wprowadzenia „tu i ówdzie [...] ochrony O[chotniczej] R[ezerwy] M[ilicji] O[bywatelskiej] lub funkcjonariuszy, w taki sposób, żeby nie stwarzać stanu wyjątkowego albo atmosfery napięcia". Lokalnie (np. w Rzeszowie) w związku z wykorzystaniem radiowęzłów zakładowych do słuchania audycji nielegalnych radiostacji z Czechosłowacji, a także (a właściwie przede wszystkim) Radia Wolna Europa, nakazano funkcjonariuszom ich zabezpieczenie.

Resort spraw wewnętrznych, a konkretnie Samodzielny Wydział Radiokontrwywiadu MSW, brał również udział w likwidacji nielegalnych radiostacji na terenie Czechosłowacji. Jednocześnie w kraju w województwach przygranicznych prowadzono ich nasłuch. Monitorowano też działalności radiostacji legalnych w CSRS. Z kolei Zarząd Kontroli Ruchu Granicznego MSW monitorował sytuację w rejonach przygranicznych – zajmował się m.in. rozpoznawaniem postawy czeskich i słowackich pograniczników oraz celników. Ponadto naczelnikom granicznych placówek kontrolnych zlecono ścisłą kontrolę towarów przewożonych tranzytem kolejowym i samochodowym. Miało to związek z wykorzystywaniem go „do przesyłania wrogiej literatury" do PRL.

Nie zapominano też o Czechach i Słowakach mieszkających i przebywających w Polsce (głównie dyplomatach, radcach handlowych i kulturalnych oraz dziennikarzach), którymi zajmował się Departament II MSW, czyli kontrwywiad. Efektem jego działalności są m.in. zachowane do dziś, przynajmniej częściowo, wykazy Czechów i Słowaków w podziale na „negatywnych" (czyli popierających przemiany Praskiej Wiosny), „pozytywnych" (czyli przeciwników demokratyzacji Czechosłowacji) oraz „niezdecydowanych". Z kolei Departament Społeczno-Administracyjny MSW (zajmujący się „opieką" nad stowarzyszeniami, w tym również narodowościowymi) zbierał opinie o sytuacji w środowisku mniejszości narodowych, w tym przede wszystkim wśród Czechów i Słowaków na Spiszu i Orawie.

W związku z inwazją wzmożeniu uległa również perlustracja, czyli cenzura, korespondencji. Objęto nią całą korespondencję w wymianie z CSRS. Interesowano się także korespondencją z krajami kapitalistycznymi oraz częścią listów krajowych. Codziennie przeglądano kilkadziesiąt tysięcy listów (np. w dniach 22–23 sierpnia niespełna 5,5 tys. w wymianie z Czechosłowacją, 25 tys. z krajami kapitalistycznymi

eprasa.pl ee82e2794e

oraz 21 tys. przesyłek krajowych). Część „negatywnej" korespondencji była zatrzymywana. Tak było w przypadku listów o „charakterze ulotkowym", próśb obywateli Czechosłowacji o wycofanie wojsk polskich z ich kraju czy telegramów z krajów zachodnich zawierających protest przeciwko inwazji. Podobny los spotykał również wyrazy poparcia przesyłane przez Polaków dla południowych sąsiadów, kierowane np. do ambasady czechosłowackiej.

Ważnym obszarem działalności resortu spraw wewnętrznych była walka z wrogą propagandą, głównie z ulotkami i napisami. O skali problemu świadczy to, że w dniach 21–31 sierpnia funkcjonariusze resortu spraw wewnętrznych odnotowali 2147 ulotek (z czego ponad połowę – 1277 – w Warszawie) oraz 86 „wrogich" napisów (najwięcej w Krakowie – 28). W obu przypadkach było to dwa razy więcej niż w Marcu '68! Nic dziwnego, że 26 sierpnia – w związku z licznymi sytuacjami kolportażu ulotek – wiceminister Pietrzak wydał nawet polecenie „organizowania zasadzek i obserwacji miejsc, z których mogą być wyrzucane ulotki".

Znaczne siły w związku z inwazją uruchomił Departament IV MSW. O skali podjętych działań najlepiej świadczy to, że w dniu 25 sierpnia „zabezpieczono kontrolę ponad 1000 kościołów celem ustalenia treści komentarzy". Szczególnie pilnie śledzono przemówienia biskupów i prymasa Polski Stefana Wyszyńskiego. Wychwytywano w nich „akcenty społeczno-polityczne", w tym przede wszystkim wszelkie odniesienia, aluzje do interwencji.

DALSZE ROZPOZNANIE

Służba Bezpieczeństwa prowadziła również działania operacyjne na terenie Czechosłowacji. Na szczeblu centralnym 20 sierpnia powołano Grupę Operacyjną „Góral". Działała ona przy polskich jednostkach wojskowych, które wkroczyły do CSRS, i podlegała szefowi Zarządu Wojskowej Służby Wewnętrznej II Armii WP. W jej skład weszło 28 funkcjonariuszy. Od połowy września, po dekonspiracji, zastąpiło ich 14 kolejnych.

Do zadań GO „Góral" należało nawiązywanie kontaktów z osobami na kierowniczych stanowiskach (początkowo z aparatu bezpieczeństwa i milicji, a później również z aparatu ścigania, rad narodowych, organizacji społecznych i politycznych). W czasie działalności grupy w specjalnej kartotece zaewidencjonowano łącznie 442 osoby (w tym 223 ustosunkowane pozytywnie, czyli „ludzi aktywnie zaangażowanych w ochronę zdobyczy socjalistycznych w Czechosłowacji", oraz 219 negatywnie). Funkcjonariusze SB zbierali również dane np. o nastrojach w armii czechosłowackiej, planowanych działaniach dywersyjnych itp. Grupa Operacyjna „Góral" zakończyła swoją działalność wraz z wycofaniem wojsk polskich z Czechosłowacji.

Z powodu protestów przeciwko inwazji oraz za okazaną solidarność z Czechami i ze Słowakami ponad sto osób zostało zatrzymanych

Nie oznaczało to jednak zakończenia działań wywiadowczych na terenie naszego południowego sąsiada. Prowadzono dalszą obserwację „działalności wrogich kontrrewolucyjnych środowisk i wpływów zagranicznych ośrodków dywersji polityczno-ideologicznej". Jeszcze w sierpniu 1968 r. w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych niezależnie od Grupy Operacyjnej „Góral" w celu koordynacji działań operacyjno-politycznych na terenie Czechosłowacji powołano specjalny zespół, na którego czele stanął dyrektor Departamentu I MSW Henryk Sokolak. Do jego zadań należały: „dalsze aktywne rozpoznawanie" sytuacji polityczno-operacyjnej w CSRS (głównie w rejonach przygranicznych i miejscach stacjonowania wojsk polskich), aktywizacja działalności informacyjnej i dezinformacyjnej na tym terenie, nawiązywanie kontaktów z funkcjonariuszami aparatu bezpieczeństwa Czechosłowacji oraz przygotowanie planu działania w rejonach przygranicznych na wypadek „aktywizacji kontrrewolucji". Wszelkiej niezbędnej pomocy członkom zespołu miały udzielać komendy wojewódzkie MO w Rzeszowie, Krakowie, Katowicach, Opolu i we Wrocławiu, w których utworzono analogiczne zespoły.

W działalności wywiadowczej unikano (przynajmniej takie były wytyczne) werbowania do współpracy obywateli CSRS. Nie oznacza to absolutnie, że rezygnowano z pomocy agentury. Miała ona być jednak przede wszystkim wysyłana z Polski. Na podstawie danych wydziałów paszportowych i dowodów osobistych sporządzano wykazy osób, które systematycznie wyjeżdżały do Czechosłowacji. Następnie, po sprawdzeniu w odpowiednich kartotekach, typowano kandydatów do werbunku, a po przeszkoleniu wysłano ich do CSRS. Skupiano się głównie na „penetrowaniu" pasa przygranicznego.

Działania wywiadowcze na terenie Czechosłowacji Służba Bezpieczeństwa, głównie z terenów przygranicznych, prowadziła co najmniej do 1971 r. Przykładowo w lutym i marcu 1969 r. krakowska SB – po raz kolejny zresztą – wysłała do CSRS kilku swoich tajnych współpracowników z zadaniem zapoznania się z nastrojami panującymi po interwencji wojsk Układu Warszawskiego w środowiskach inteligenckich (szczególnie prawniczych), a także wśród mniejszości żydowskiej.

ZAKAZANA SOLIDARNOŚĆ

Przez co najmniej dwa lata kontynuowano również działania w kraju związane z udziałem PRL w interwencji i z protestami przeciwko niemu – próbowano ustalać autorów napisów czy ulotek oraz osoby angażujące się w ich rozpowszechnianie. Poszukiwano nie tylko autorów i kolporterów aktywnych w sierpniu i we wrześniu 1968 r., czyli bezpośrednio po inwazji na Czechosłowację, lecz także sporządzających i rozpowszechniających je w kolejnych miesiącach (np. w styczniu 1969 r. we Wrocławiu w reakcji na samospalenie czeskiego studenta Jana Palacha).

Niestety, w wielu przypadkach – zarówno w 1968 r., jak i później – działania SB i MO przyniosły skutek, czego efektem były różnego rodzaju represje. Z powodu protestów przeciwko inwazji na Czechosłowację oraz za okazaną solidarność z Czechami i ze Słowakami ponad sto osób zostało zatrzymanych, dalszych kilkaset wezwano na „rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze", kilkadziesiąt stanęło przed kolegiami karno-administracyjnymi, zaś kilkanaście skazano na kary do trzech lat więzienia. Nikt z kolei nie policzył tych wyrzuconych z pracy, ze szkół i z uczelni czy też szykanowanych w inny sposób.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ee82e2794e

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Litwa – raj utracony

To, co człowieka zachwyca, to nie różnorodność widoków, ale nastroje otoczenia harmonizujące z jego usposobieniem. I właśnie dlatego świat, który nas otaczał, był Rajem".

Tak pięknie pisze o swojej ukochanej, rodzinnej Litwie Magdalena z Nałęcz-Gorskich Komorowska. Przedstawicielka zacnego ziemiańskiego rodu, która mieszkała najpierw w Szawkianach w powiecie Telsze, a później w rodzinnym majątku męża – Kowaliszkach pod Rakiszkami.

Swoje zachwycające wspomnienia snuje od początku XX w., aż do ostatecznego, tragicznego kresu, który ziemiaństwu Wielkiego Księstwa Litewskiego przyniosła II wojna światowa.

„Ludzi było niedużo – pisze autorka. – Czasem jakiś głos zaśpiewał smętną, zaciągającą litewską piosenkę, zarżały konie. Na drogach i polach było spokojnie i cicho. Nawet tam, gdzie pracowało więcej ludzi, nie było denerwującego trajkotu motorów i maszyn, których nie używano, pracując końmi".

Zdecydowanie były to piękne czasy! Niestety, świat ten został bezpowrotnie starty z powierzchni ziemi. Jednak nie za sprawą motorów i maszyn, tylko za sprawą czegoś znacznie gorszego – nacjonalizmu.

Przez wieki litewskie dwory, w których mówiło się po polsku, żyły w zgodzie i harmonii z litewskimi wsiami, które mówiły po litewsku.

To w XX wieku raptownie się skończyło. A – co ciekawe – do nacjonalistycznego, litewskiego odrodzenia narodowego przyczynili się w dużej mierze sami ziemianie, którzy początkowo nie dostrzegali w tym zjawisku najmniejszego zagrożenia.

„Chłopi przechowali język, tradycje i sposób życia dawnych pokoleń – pisze pani Komorowska. – Zachowali je w oparciu o dwory, które ich nie wynaradawiały, choć szlachta przejęła język i obyczaje polskie. Większość późniejszych litewskich działaczy-szowinistów kształciła się w Krakowie i Szwajcarii na koszt albo przy pomocy przesiąkniętych polskością dworów.

Smetonów, Wielożyńskich, Putwińskich itp. nie wychowała wieś litewska, ale pomoc polskiego ziemiaństwa". Tak, to wielki paradoks.

Na koniec ciekawostka. Autorka „Powrotu do Żmudzi" była babcią przyszłego prezydenta Polski Bronisława Komorowskiego. ©℗

★★★★★★

MAGDALENA Z NAŁĘCZ-GORSKICH KOMOROWSKA „POWRÓT DO ŻMUDZI" LTW 2018

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pielgrzymi i hipisi

W połowie sierpnia, w dniu Święta Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, na Jasną Górę przybywa najwięcej pielgrzymek. W czasach PRL udział w uroczystościach był nie tylko deklaracją wiary, lecz także patriotyzmu. Komuniści dokładali starań, by osłabić ruch pielgrzymkowy, co przyniosło efekt odwrotny do zamierzonego. Czasami zdarzały się jednak przypadki, które zaskakiwały wszystkich – zarówno organizatorów, jak i obserwatorów z ramienia SB. Należy do nich konflikt pomiędzy pielgrzymami a grupą hipisów w 1971 r. Grupa kontestującej młodzieży zorganizowała w Częstochowie swój zlot, a w celebrowanej 15 sierpnia mszy świętej wzięło udział ok. 40 hipisów. W godzinach późniejszych w katedrze miało się odbyć dla nich oddzielne nabożeństwo, zostało jednak odwołane, gdyż kontestatorzy nie zaaprobowali regulaminu zaproponowanego przez księży. Obecność hipisów w dniu katolickiego święta wzburzyła jednak pątników przybyłych na Jasną Górę, wyzywano ich od „pogan, brudasów i darmozjadów", a najbardziej krewcy z pielgrzymów przystąpili do rękoczynów. Gdy wieczorem młodzież została zaatakowana przez miejscowych chuliganów, wówczas część pątników „sekundowała napastnikom", w efekcie „siostry zakonne nie nadążały z opatrunkami".

Obecność hipisów wzburzyła pątników przybyłych na Jasną Górę

Jednak po kilku latach hipisi zaczęli brać udział w pielgrzymkach na Jasną Górę, a ich przewodnikiem duchowym został zmarły niedawno ks. Andrzej Szpak. Pierwszą próbę podjął w 1979 r. w ramach warszawskiej pielgrzymki akademickiej, zakończyła się ona jednak niepowodzeniem. Podopieczni księdza zostali usunięci za demoralizację, a sam duchowny tłumaczył oponentom, że nie jest od „oceniania, a jedynie od rozgrzeszania". Dodawał także, że gdyby nie powołanie, to zapewne sam zostałby hipisem. Z czasem jednak pielgrzymki ks. Szpaka zostały zaakceptowane, chociaż używały innych tras niż reszta pątników.

Praca duszpasterza nie była łatwa, czasami była to faktycznie orka na ugorze. Wśród hipisów przybywających do Częstochowy w połowie sierpnia nie brakowało bowiem ludzi, którzy pojawiali się wyłącznie z uwagi na zlot i jego atrakcje z narkotykami oraz muzyką na czele. Dla nich zderzenie ze światem pielgrzymek katolickich było zaskakujące, gdyż oczekiwali „drugiego Jarocina" czy nawet czegoś na kształt festiwalu w Woodstock.

Tym bardziej należy cenić sukcesy ks. Szpaka, gdyż faktycznie znaczny procent hipisów przybywających do Częstochowy w tym czasie nie zdawał sobie sprawy, że odbywa się tam wielkie katolickie święto. ©℗

eprasa.pl ee82e2794e

Turecki

Witold Repetowicz

Turcja działa w Europie poprzez tajne służby. Tak m.in. likwiduje dysydentów. A dzięki wielkim diasporom zyskuje też coraz większy wpływ na politykę w różnych krajach

Gdy na początku czerwca Austria zapowiedziała zamknięcie kilku meczetów i wydalenie kilkudziesięciu imamów z kraju, prezydent Turcji zagroził jej wojną religijną. Stosunki turecko-austriackie od dawna są fatalne, ale nie jest to wyjątek w Europie. Holandia na początku lutego 2018 r. stwierdziła, że nie będzie ani holenderskiego ambasadora w Ankarze, ani tureckiego w Hadze. Był to efekt ostrego sporu, który wybuchł między tymi krajami w marcu 2017 r., gdy kilka dni przed holenderskimi wyborami parlamentarnymi politycy tureckiej partii rządzącej postanowili zorganizować w Holandii własną kampanię wyborczą, w związku z zaplanowanym miesiąc później tureckim referendum konstytucyjnym. Holenderski premier Mark Rutte nie zgodził się na to i dzięki temu utrzymał się na swoim stanowisku. Turcja jednak dostała szału. Dopiero w lipcu tego roku ministrowie spraw zagranicznych obu krajów zadeklarowali wolę normalizacji stosunków.

Z kolei w połowie czerwca szwedzkie radio publiczne ujawniło, że działający w Niemczech turecki gang Osmanen Germania planował dokonać mordów politycznych w Danii.

TROPIĄC DYSYDENTÓW

Szwedzcy dziennikarze przeprowadzili roczne śledztwo, które wykazało, że w styczniu 2017 r. duńskie służby specjalne Politiets Efterretningstjeneste (PET) uzyskały informacje o planowanym zamachu na kilku uchodźców z Turcji, przeby-

eprasa.pl ee82e2794e

problem

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

wających w Danii. Byli to tzw. guleniści, czyli osoby związane z muzułmańskim duchownym Fethullahem Gülenem, który na początku XXI w. pomógł Erdoğanowi dojść do władzy. Później ich drogi się rozeszły, a w 2016 r. Gülen został oskarżony o nieudaną próbę puczu w Turcji i kierowanie terrorystyczną organizacją o nazwie FETO (nieznane są jednak jakiekolwiek zamachy, które miałyby być dokonywane przez gulenistów). Dziesiątki tysięcy osób podejrzanych o związki z Gülenem trafiło do więzienia lub zostało poddanych innym represjom. Część z nich uciekła do Europy. Turecki reżim postanowił jednak ścigać wrogów również poza swoimi granicami, nie przejmując się specjalnie prawami innych krajów. W kwietniu 2018 r. turecki wicepremier Bekir Bozdağ ogłosił, że Turcji udało się sprowadzić ponad 80 gulenistów z 18 krajów. Większość z nich zatrzymano poza Europą, w krajach niezbyt demokratycznych, których reżimy nie przejmowały się procedurami i które po prostu ubiły z Turkami interes.

Turcy wiedzieli, że Europa na takie układy nie pójdzie. Gulenistów wydała tylko Bułgaria, a Serbia dokonała ekstradycji kurdyjskiego dysydenta, ściganego przez turecki reżim. Ukraina pod koniec lipca wydała Turcji opozycyjnego dziennikarza Yusufa Inana, a tureckie służby uprowadziły z Odessy biznesmena związanego z Gulenem. Grecja, do której uciekło kilku tureckich oficerów, odmówiła ich wydania nawet wówczas, gdy Turcja uwięziła dwóch greckich żołnierzy (na początku marca w ciężkich warunkach atmosferycznych, patrolując turecko-grecką granicę w górach, przypadkowo przeszli na stronę turecką i zostali schwytani). Greccy żołnierze siedzą do dziś w tureckim więzieniu. Podobnie zresztą jak amerykański pastor Andrew Brunson, aresztowany w Izmirze w październiku 2017 r. i oskarżony o związki z liderem FETO. Jego Turcja chce wymienić na samego Gülena. To właśnie z tego powodu amerykański senat próbował zablokować dostawę samolotów F-35 do Turcji i zagroził nałożeniem sankcji zgodnie z tzw. ustawą Magnitskiego. Pod koniec lipca ultimatum w sprawie zwolnienia Brunsona wygłosił sam prezydent Trump oraz wiceprezydent Pence, nakładając następnie sankcje na Turcję. Doprowadziło to do najgorszego w historii kryzysu

eprasa.pl ee82e2794e

w relacjach amerykańsko-tureckich. W Europie Turcy postanowili więc działać inaczej, nielegalnie. Jako pierwsza na jaw wyszła ich akcja w Kosowie, skąd w marcu porwali sześciu tureckich nauczycieli. W operacji tej nielegalnie brali udział również funkcjonariusze służb specjalnych z Kosowa, co doprowadziło do dymisji ministra spraw wewnętrznych oraz szefa służb specjalnych Kosowa.

EUROPEJSKA AKCJA

Turcja wiedziała, że na taką współpracę służb w Europie Zachodniej liczyć nie może. Postawiła więc na inną metodę.

W styczniu 2013 r. w Paryżu zostały zastrzelone trzy kurdyjskie aktywistki ścigane przez Turcję. W trakcie procesu sąd uznał za wielce prawdopodobny udział tureckich służb specjalnych, ale sprawa została szybko zamknięta, bo wykonawca zamachu zmarł nagle w więzieniu.

W Danii tamtejszym służbom udało się zapobiec zamachowi. Szwedzcy dziennikarze ustalili, że zagrożone osoby zostały ewakuowane. Nie wiadomo, jak do tego doszło, ale zapewne Duńczycy dali do zrozumienia Turkom, że wiedzą o całym planie i zaangażowaniu w niego tureckiego rządu. Jak jednak podkreślili autorzy dziennikarskiego śledztwa, ostatecznie wszystko zostało zatuszowane, gdyż Dania chciała uniknąć międzynarodowego skandalu.

Wykonawcą zamachu miała być ekstremistyczna organizacja Osmanen Germania, założona w kwietniu 2015 r. w Niemczech, która w połowie 2016 r. rozszerzyła swoją działalność również na Danię. Osmanen Germania oficjalnie jest siecią klubów bokserskich, ma 33 oddziały w całych Niemczech oraz ok. 3 tys. członków. W grudniu 2017 r. niemiecka telewizja ZDF ujawniła, że gang ten otrzymuje spore sumy pieniędzy od Metina Kulunki, deputowanego do tureckiego parlamentu z rządzącej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), który jest bliskim współpracownikiem tureckiego prezydenta Erdoğana, a także agentem tureckiego wywiadu MIT. Zdaniem niemieckich mediów jego zadaniem jest właśnie nadzorowanie operacji przeprowadzanych przez Turcję w Niemczech za pośrednictwem takich organizacji jak Osmanen Germania. ZDF ujawniła też bliskie związki szefa gangu Mehmeta Bağciego z kluczowym doradcą Erdoğana – Ilnurem Cevikiem.

W raporcie ZDF podano, że pieniądze pochodzące od Kulunki zostały przeznaczone na zakup broni dla Osmanen Germania, a sam turecki polityk wydał rozkazy „ukarania" osób krytycznych wobec tureckiego reżimu. Wykonanie „wyroków" miało być filmowane jako przestroga dla innych. Niemcy zareagowały na swój sposób – chowając głowę w piasek i jedynie zapewniając ochronę osobom, o których wiedziały, że mają być celami ataków.

Turecki terror w Niemczech wymierzony jest nie tylko w gulenistów, lecz także w rodowitych Niemców oraz w Kurdów. W styczniu 2018 r. dokonano zamachu na niemieckiego piłkarza kurdyjskiego pochodzenia Deniza Nakiego. Jego samochód został ostrzelany na autostradzie.

Kurdowie nie są jednak bezbronni. W Niemczech od lat prężnie działa Partia Pracujących Kurdystanu (PKK), czyli lewicowa organizacja kurdyjska, prowadząca w samej Turcji wojnę partyzancką przeciw rządowi. W Europie jest ona uważana za organizację terrorystyczną i pojawia się, w przeciwieństwie do Osmanen Germania, w corocznych sprawozdaniach Europolu. PKK jednak, również w przeciwieństwie do Osmanen Germania, nie organizuje ataków zbrojnych, koncentrując się na zapewnianiu zaplecza logistycznego dla partyzantów w Turcji. Od czasu do czasu dochodzi jednak do konfrontacji między PKK a takimi organizacjami jak Osmanen Germania i innymi ekstremistami, dżihadystami oraz tureckimi nacjonalistami, z którymi Niemcy nie potrafią sobie poradzić.

Tureccy zwolennicy Erdoğana w Holandii w ubiegłym roku wprowadzili do parlamentu trzech swoich deputowanych

Zdaniem szwedzkich dziennikarzy, badających sprawę planowanych zabójstw w Danii, Niemcy nie tylko nie potrafią, lecz także nie chcą działać, gdyż boją się, że w odpowiedzi Turcja znów wyśle do nich migrantów. Władze tuszują więc sprawy, choć na ulicach coraz częściej dochodzi do turecko-kurdyjskich starć. Można się przy tym spodziewać eskalacji, i to nie tylko dlatego, że Niemcy w ogóle nie kontrolują problemu, lecz także dlatego, że odsetek Kurdów i Turków w Niemczech rośnie – i w dodatku ze względu na sytuację w Turcji obie strony nieustannie się radykalizują. Ponadto tureccy ekstremiści organizują się również politycznie, dążąc do zapewnienia sobie reprezentacji w parlamentach europejskich.

W Europie jest kilka milionów Turków i co najmniej 1,5 mln Kurdów. Większość z nich mieszka w Niemczech. W ostatnich tureckich wyborach prezydenckich i parlamentarnych uprawnionych do wzięcia w nich udziału było 1,5 mln osób mieszkających w Niemczech. Zagłosowało 650 tys. Dwie trzecie spośród nich poparło Erdoğana, natomiast na kurdyjską partię HDP (której lider siedzi w tureckim więzieniu) głosowało 100 tys. osób. Erdoğan odniósł również przytłaczające zwycięstwo w innych zachodnioeuropejskich państwach z dużymi skupiskami Turków. W Holandii zdobył 73 proc. głosów, a w Austrii – 72 proc. Wicekanclerz Austrii i zarazem lider prawicowej FPÖ Hainz-Christian Strache skomentował to krótko: „Sugeruję, by wszyscy Turcy w Austrii, którzy głosowali na Erdoğana, wrócili do Turcji". Afera z zamykaniem meczetów i wydalaniem imamów z Austrii miała zresztą też więcej wspólnego z konfliktem austriacko-tureckim niż z walką z islamem. Tureccy imamowie w Europie są bowiem agentami Diyanetu, czyli tureckiego rządowego urzędu ds. religii, a przeważnie pracują też dla tureckich służb specjalnych.

Tureccy zwolennicy Erdoğana w Holandii nie tylko nie planują jednak powrotu do swojej ojczyzny, lecz także dążą do zwiększenia swojego wpływu na politykę tego kraju. Założona w 2015 r. partia DENK stała się pierwszą turecką partią, która zdobyła reprezentację w zachodnioeuropejskim parlamencie. W holenderskich wyborach w 2017 r. wprowadziła trzech deputowanych do 150-osobowego parlamentu, a obecnie jej poparcie skoczyło już do 4 proc. To tylko pierwszy krok w kierunku zdobywania coraz większego wpływu politycznego przez Turków w Europie. Służy temu europejska ekspozytura rządzącej w Turcji islamistycznej AKP – organizacja o nazwie Unia Europejskich Tureckich Demokratów (UETD). W Niemczech jest ona ściśle powiązana z Osmanen Germania. W 2016 r. w Północnej Nadrenii-Westfalii powstał też zalążek tureckiej partii w Niemczech, tj. Allianz Deutscher Demokraten (Sojusz Niemieckich Demokratów). Do tej pory nie odniosła ona sukcesów w niemieckich wyborach, ale nie można tego wkluczyć w przyszłości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ee82e2794e

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PRENUMERATA PÓŁROCZNA
TYGODNIKA „DO RZECZY"

PAKIET KSIĄŻEK
J. PIEKARA "ALICJA"
ORAZ J. GRZĘDOWICZ "AZYL"

Cena: 142 zł
Oszczędność: 112 zł

+

PRENUMERATA ROCZNA
TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ MIESIĘCZNIK „HISTORIA DO RZECZY"

W PREZENCIE KSIĄŻKA, BEATA SŁAWIŃSKA – WYWIAD Z PŁK. WITALISEM SKORUPKĄ "JA ORZEŁ. Z KEDYWU DO CELI ŚMIERCI"

Cena: 270 zł
Oszczędność: 219 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ee82e2794e

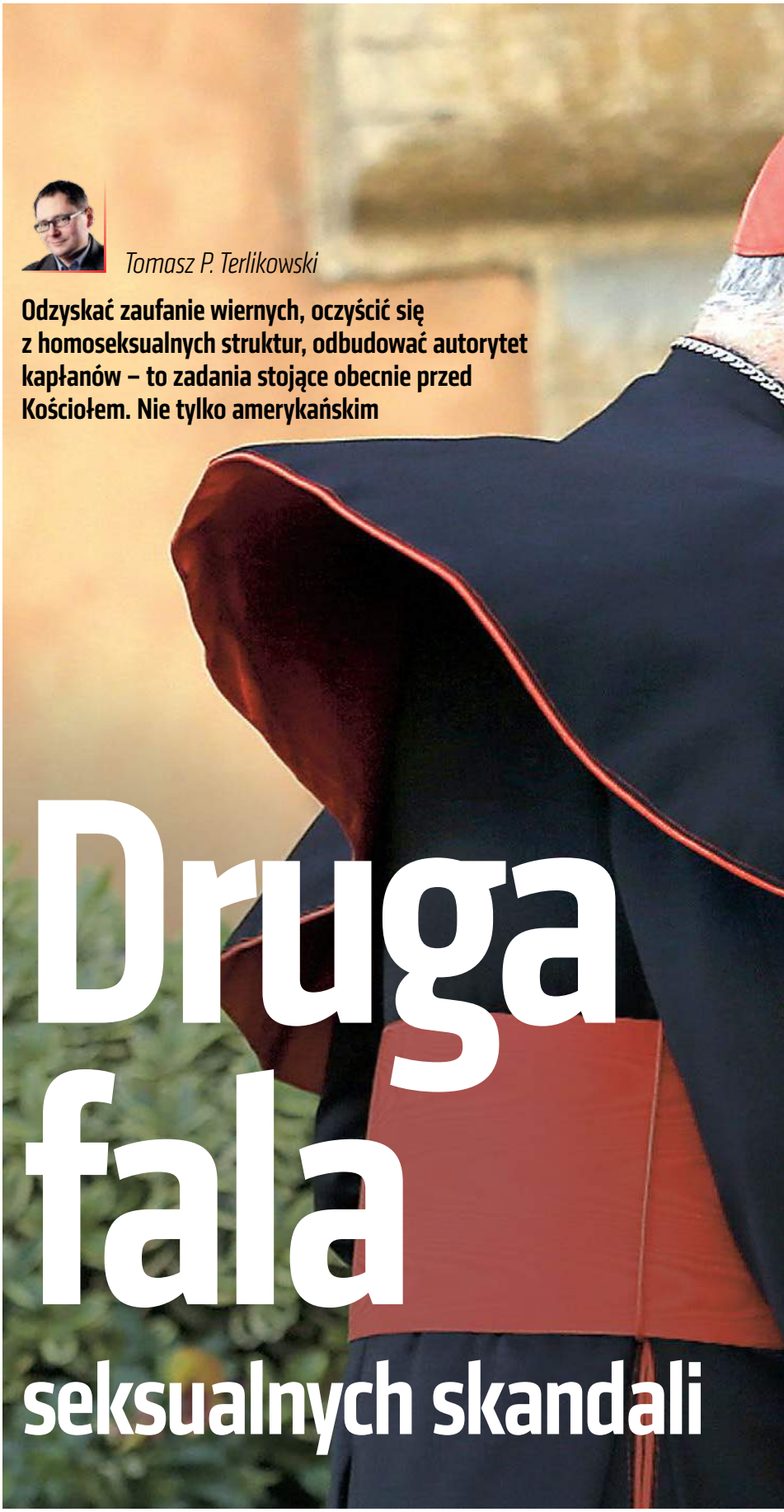

Druga fala seksualnych skandali

Tomasz P. Terlikowski

Odzyskać zaufanie wiernych, oczyścić się z homoseksualnych struktur, odbudować autorytet kapłanów – to zadania stojące obecnie przed Kościołem. Nie tylko amerykańskim

Kilka tygodni temu, podczas spotkania z włoskimi biskupami, Ojciec Święty Franciszek miał (znamy jedynie przecieki z tego spotkania, jego zapis nie został ujawniony na stronach Watykanu) powiedzieć, że Kościół będzie się musiał, i to w krótkim czasie, zmierzyć z drugą falą seksualnych skandali. Tym razem nie będą już one określane jako pedofilskie, ale jako homoseksualne. Tsunami może być potężne. I nie trzeba było długo czekać, żeby uderzyło ono, tym razem w Kościół w Stanach Zjednoczonych, który – zdaniem wielu komentatorów – znajduje się w sytuacji analogicznej do tej z początku roku 2002. Wtedy gigantyczny skandal pedofilski (w 90 proc. przypadków dotyczył on księży o skłonnościach homoseksualnych, a jego ofiarami byli dorastający chłopcy) zniszczył zaufanie do Kościoła, doprowadził do bankructwa wiele diecezji, ale… najwyraźniej nie skłonił do wyciągnięcia odpowiednich wniosków decydentów. Wielu z nich skupiło się wyłącznie na obronie tych, których można było jeszcze wybronić, i na… budowaniu skutecznej polityki, ale nie na autentycznym nawróceniu i zmianie moralnej, która jako jedyna mogła uratować sytuację.

CASUS MCCARRICKA

Historia – już byłego – kard. Theodore'a McCarricka, która rozpętała kolejną burzę, jest tego doskonałym przykładem. Tak się bowiem składa, że hierarcha ten, były metropolita Waszyngtonu, był w roku 2002 jedną z twarzy odnowy i oczyszczenia Kościoła. To on składał obietnice, on miał dopilnować, żeby wszystko szło, jak powinno, i on często udzielał wówczas wywiadów, w których zapewniał, że pewne kwestie się nie powtórzą. A jednocześnie, i to jest pierwszy problem, to także on sprawił, że z dokumentu powołującego do istnienia komisję, która miała zbadać przeszłość „wszystkich duchownych" Kościoła katolickiego z ostatniego 50-lecia, wykreślono słowo „duchownych" i zastąpiono je terminami „księży i diakonów". W praktyce oznaczało to, że biskupi, i to nawet ci, którzy przez lata molestowali swoich podwładnych albo którzy mają na sumieniu inne, dość obrzydliwe przestępstwa, mogli spać spokojnie, bowiem ich przeszłości nikt nie badał.

To właśnie ta decyzja sprawiła, że pedofilskie i homoseksualne przestępstwa McCarricka nie zostały ujawnione już wtedy. A ich lista jest naprawdę długa. Najbardziej wstrząsająca jest historia Jamesa,

eprasa.pl ee82e2794e

Były metropolita Waszyngtonu kard. Theodore McCarrick był w roku 2002 jedną z twarzy odnowy i oczyszczenia Kościoła

FOT. MAX ROSSI/REUTERS/FORUM

chłopca, którego młody ks. McCarrick ochrzcił, który – wraz z rodzeństwem – mówił do niego „wujku" i którego rodziców kapłan był przyjacielem. I to właśnie tego chłopca kapłan wykorzystał seksualnie po raz pierwszy w wieku 11 lat, a później robił to przez lata. Oszczędzę czytelnikom szczegółowych opisów tego, co z nim robił, jak go krzywdził i do czego doprowadził. James próbował alarmować rodziców, ale oni nie wierzyli, że ich bliski przyjaciel, wschodząca gwiazda amerykańskiego, liberalnego katolicyzmu, może krzywdzić ich dziecko. Jednak to przecież nie wszystko. Od lat było wiadomo, że jako biskup, arcybiskup i kardynał McCarrick zabierał do swojej chaty kleryków i młodych księży, i tak się zawsze składało, że dla jednego z nich brakowało łóżka, więc spał on w łóżku z hierarchą.

Nie, nie była to tajemnica. Dziennikarze, kapłani i liderzy opinii plotkowali o tym od dawna, ale nie było siły, by zatrzymać karierę duchownego. Szef organizacji Road to Recovery, której zadaniem jest pomoc ofiarom molestowania, Robert Hoatson, były ksiądz diecezji New Jersey, w której biskupem był McCarrick, opowiadał w wywiadzie dla „American Conservative", że już w latach 90. wiadomo było, że arcybiskup wykorzystuje młodych mężczyzn i kleryków. Gdy podczas oficjalnego spotkania zapytał o to jednego z kurialistów, ten lekceważąco machnął ręką. – Nie, to już przeszłość – miał powiedzieć. – Już tego nie robi, bo bp James McHugh i nuncjusz apostolski powiedzieli mu, by tego nie robił – usłyszał Hoatson. Dziennikarze zaś potwierdzają tę opinię i nikt już nie udaje, że sprawa wybuchła nagle. I to jest drugi element skandalu, o którym nie wolno zapominać. Katolicy amerykańscy, także młodsi stażem kapłani i biskupi, są wściekli, bo okazało się, że najbardziej paskudni seksualni przestępcy, ludzie, którzy wykorzystują święcenia i władzę biskupią do tego, by wykorzystywać seksualnie chłopców, zawsze mogli liczyć na tych, którzy wyciszą sprawę, nie dopuszczą do tego, by doszła ona do Watykanu, albo ukręcą jej łeb nawet na poziomie Stolicy Apostolskiej.

To właśnie dlatego coraz częściej mówi się o tym, że obecny kryzys oznacza całkowitą utratę zaufania do hierarchicznego Kościoła. „Wierzę, że będzie prawdą powiedzenie, iż wielu praktykujących katolików nadal ufa swoim księżom, którzy służą wiernie Ludowi Bożemu" – napisał abp Anchorage Paul Etienne. „Tego samego nie da się jednak już powiedzieć o biskupach. Utraciliśmy zaufanie wielu naszych kapłanów i ludzi, i musimy mądrze działać w obliczu tego wyzwania" – dodał w tekście opublikowanym na swoim blogu. Ten brak zaufania jest tak głęboki, że nawet część biskupów mówi otwarcie o tym, iż w komisji śledczej, która miałaby zająć się wyjaśnieniem tego skandalu, nie powinno być ani kapłanów, ani biskupów, a tworzyć ją powinni świeccy. – Myślę, że tym, czego potrzebujemy obecnie, jest niezależna komisja prowadzona przez szanowanych, godnych zaufania liderów świeckich, których rola w tej grupie nie będzie się wiązała z żadnymi korzyściami finansowymi, politycznymi ani osobistymi – podkreślał bp Edward Scharfenberger, ordynariusz diecezji Albany. – Myślę, że doszliśmy do momentu, w którym biskupi badający biskupów nie są już odpowiedzią na narastający problem – dodał.

RZYM NIE JEST ODPOWIEDZIĄ

Opinia bp. Scharfenbergera jest, to prawda, niezwykle radykalna, a inni biskupi (choćby kard. Donald Wuerl) sugerują raczej, że sprawą powinna zająć się Stolica Apostolska, ale problem polega na tym, iż jej także nie do końca ufają amerykańscy katolicy. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Otóż przynajmniej kilku najbliższych współpracowników kard. McCarrica nadal pełni w Watykanie niezwykle istotne funkcje.

Najmocniejszym przykładem jest… kard. Kevin Farrell, prefekt watykańskiej Dykasterii ds. Świeckich, Rodziny i Życia. Duchowny ten swoją karierę rozpoczynał w zgromadzeniu Legionistów Chrystusa (należy do niego także jego starszy brat Brian, obecnie sekretarz Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan), którego założyciel okazał się wielokrotnym przestępcą seksualnym, człowiekiem niewierzącym, którego malwersacje finansowe, a także gigantyczne przestępstwa seksualne kryło i finansowało zgromadzenie. Sam Farrell (podobnie jak jego brat) zapewniają, że nic o tym nie wiedzieli, ale… tylko nieliczni im wierzą. Kevin zresztą już w roku 1984 porzucił Legionistów i został inkardynowany do diecezji Waszyngton. Siedem lat później został biskupem pomocniczym tejże diecezji, której metropolitą, od roku 2000, był już abp McCarrick. Od tego momentu obaj hierarchowie mieszkali w tym samym budynku i bardzo blisko ze sobą współpracowali, a McCarrick był jednym z promotorów dalszej kariery Farrella. On sam zapewnia wprawdzie, że nic nie

eprasa.pl ee82e2794e

wiedział o podejrzeniach, nigdy nikt mu się nie zwierzał z molestowania i sam się zastanawia, jak to możliwe, ale… liczni katoliccy i konserwatywni komentatorzy zwracają uwagę na to, że oświadczenie Farrella trwało kilkadziesiąt sekund, że nie odpowiadał on na pytania dziennikarzy i że nie bardzo wiadomo, czego miał nie wiedzieć. Zdaniem Roda Drehera, byłego katolika, obecnie prawosławnego (jednym z powodów jego konwersji była niezgoda na krycie duchownych pedofilów i homoseksualistów w amerykańskim Kościele), można nawet przyjąć, że nie wiedział on o pedofilskich czynach McCarricka, ale trudno uznać za wiarygodne tłumaczenia, że nie miał on w ogóle pojęcia o podejrzeniach. Podejrzenia te, o czym też warto przypomnieć, kładą się cieniem na… Światowych Dniach Rodzin w Dublinie, gdzie Farrell ma być jednym z głównych rozgrywających.

Jednak to nie wszystko. Watykan ma także problemy gdzie indziej. Otóż tak się składa, że… spośród dziewięciu najbliższych kardynalskich doradców papieża aż trzech jest mniej lub bardziej uwikłanych w skandale seksualne. Kardynał George Pell – to już niemal pewne – ukrywał sprawy molestowania seksualnego, ale jest także sam (to już mniej pewne, ale jednak wyglądające na dość wiarygodnie) oskarżony o molestowanie sprzed lat. Kardynał Francisco Javier Errázuriz Ossa, emerytowany metropolita Santiago de Chile, przez lata ukrywał skandale seksualne związane z działalnością ks. Karadimy, uniemożliwiał powołanie komisji śledczych i tak skutecznie wprowadzał w błąd samego Franciszka, że ten bronił jeszcze kilka miesięcy temu biskupów uczestniczących w procederze Karadimy. Ostatecznie, także na skutek jego działalności, cały Episkopat Chile został zawieszony. I wreszcie kard. Óscar Rodríguez Maradiaga, w którego seminarium 50 kleryków zaczęło protestować przeciwko dominacji kultury homoseksualnej i którego biskup pomocniczy Juan José Pineda, został usunięty ze stanowiska za malwersacje finansowe i homoseksualizm. Maradiaga oczywiście odrzuca oskarżenia, twierdzi, że nic nie wiedział ani o malwersacjach, ani o kochankach swojego bliskiego współpracownika, i zarzuca klerykom, że rozpowszechniają nieprawdziwe plotki. Kłopot polega tylko na tym, że jeśli nawet kardynał rzeczywiście nic nie wiedział, to nie najlepiej świadczy to o jego kompetencjach głównego doradcy papieża.

Kardynałowie ze słynnej grupy doradców papieskich nie wyczerpują jednak listy problemów Watykanu. Warto przypomnieć, że rok temu aresztowano za używanie narkotyków w czasie gejowskich orgii w watykańskich pomieszczeniach osobistego sekretarza kard. Francesco Coccopalmerio ks. Luigiego Capozzi. On sam nie poniósł specjalnych konsekwencji swoich czynów, a jego patron, choć zawsze zapewniał, że ks. Capozzi to jego najbliższy współpracownik, także wybronił się zapewnieniami, że nic o niczym nie wiedział. A krótko potem zaczął opowiadać o „pozytywnych elementach w relacjach homoseksualnych". Za co zresztą także nie poniósł konsekwencji.

Zdaniem bp. Scharfenbergera skandale homoseksualne wynikają z tego, że kapłani, biskupi i zwykli wierni odrzucili nauczanie Kościoła

KORZENIE PROBLEMU

I tu dochodzimy do istoty problemu. Wiele wskazuje na to, że nie da się zakończyć skandali homoseksualnych bez naprawdę głębokiego rozprawienia się z „lawendową mafią" wewnątrz Kościoła. Obecnie, według amerykańskich badań, choćby byłego benedyktyna prof. Richarda Sipe'a, aż 30–50 proc. amerykańskich księży może być homoseksualnych. Niekoniecznie oznacza to aktywne współżycie, ale skłonności i związane z tym uczestnictwo w kulturze gejowskiej albo przynajmniej w strukturach wyciszania problemów ze skłonnością tą związanych. Od 2005 r. obowiązuje wprawdzie, wprowadzony przez Benedykta XVI, zakaz święcenia mężczyzn o trwale zakorzenionej skłonności homoseksualnej, ale… tylko w niektórych diecezjach się go egzekwuje, a w innych wręcz przeciwnie. Efekt jest taki, że problem się odradza w każdym pokoleniu, a jeśli homoseksualny jest biskup (a choćby ks. prof. Dariusz Oko w wywiadzie dla LifeSiteNews sugerował, że dane dotyczące duchownych homoseksualistów, mogą odpowiadać rzeczywistości także w przypadku biskupów), to problem się zwiększa, ponieważ homoseksualni kapłani są mianowani na kluczowe stanowiska. Bez załatwienia tego problemu, a to oznacza wyeliminowanie z kapłaństwa osób homoseksualnych, nie będzie oczyszczenia Kościoła.

Jest także inny problem, na który zwrócił uwagę cytowany już bp Scharfenberger. Jego zdaniem skandale homoseksualne wynikają w istocie z tego, że kapłani, biskupi i zwykli wierni odrzucili nauczanie Kościoła. Kościół od zawsze nauczał, że seks poza małżeństwem jest grzechem ciężkim. Zasady te dotyczyły wszystkich, w tym także kapłanów. Jednak gdy kapłani zaczęli tracić wiarę w nauczanie Pisma Świętego, które jasno wskazuje, że akt homoseksualny zawsze jest grzechem, gdy zaczęli rozprawiać o możliwości błogosławienia go i gdy teologię zastąpili (słabą często) psychologią, to zaczęły się problemy z ich własnym celibatem. A jeśli dodać do tego kryzys wiary w realność przeistoczenia, w prawdę tego, że w Eucharystii jest obecny żywy Chrystus, to powodów do tego, żeby samemu nie trwać w celibacie, rodzi się o wiele więcej. Duchowe źródła ma również fakt, że gdy w czasie apogeum kryzysu w Stanach Zjednoczonych w roku 2002 przeprowadzono szczegółowe śledztwa i badania w sprawie księży oraz diakonów, to… nie objęto nimi biskupów i kardynałów. Wprowadzona nierówność, uznanie, że biskupi i kardynałowie, mogą czuć się bezpiecznie, sprawiło, że 15 lat później Kościół w USA znowu stanął wobec potężnego kryzysu. Klerykalizm zawsze się mści.

Na koniec warto zadać pytanie, czy Polska (w której o amerykańskim problemie się w zasadzie milczy) może czuć się bezpiecznie? Czy polski Kościół rzeczywiście nie ma tego problemu? Odpowiedź, niestety, nie nastraja tak optymistycznie, jak się niektórym wydaje. Skandal z ks. Charamsą czy wcześniejsza sprawa abp. Juliusza Paetza nie skłoniła naszych pasterzy do załatwienia sprawy. A szkoda, bo można by uniknąć wielu ran i problemów, gdyby nie czekać na medialne rozpracowywanie sprawy, a zacząć ją załatwiać już teraz. W zgodzie z jasnymi dyrektywami Benedykta XVI, a także mocnymi sugestiami samego Franciszka, który ostrzega przed kolejnym tsunami homoseksualnych skandali. Można się na nie przygotować, można spróbować je osłabić i zacząć czyścić sytuację, ale to wymaga realnej odwagi i świadomości, że lawendowa mafia jest nadal silna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ee82e2794e

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

WYWIAD Z „TARZANEM", BOHATEREM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Marcin Bartnicki – **Ludowe Wojsko Patologii**
Jarosław Kapsa – **Zgnoić „kota"**
Piotr Zychowicz – **Żydowska agentka gestapo**
Spór o powstanie – **Janusz Korwin-Mikke kontra Tadeusz Płużański**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Antysemityzm klasowy**
Sławomir Cenckiewicz – **Agenci tajnych służb PRL**
Paweł Szulc – **Mroczne tajemnice brata Hermaszewskiego**
Marek Gałęzowski – **Rozwadowski kontra Piłsudski**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl ee82e2794e

FOT. FACEBOOK

ROSYJSKIE MON JEST NAGIE

Na oficjalnym koncie rosyjskiego ministerstwa obrony w serwisie Instagram publikowane są zazwyczaj fotografie przedstawiające ćwiczących żołnierzy czy nowoczesną broń. Jednak najmocniejsze zdjęcie pojawiło się niedawno – selfie nagiej kobiety. Fotka szybko zniknęła. Zagadką pozostaje, kto umieścił ją na oficjalnym koncie sił zbrojnych. Internauci zastanawiają się, czy nie była to rzeczniczka resortu – 27-letnia Rossijana Markowskaja (na zdjęciu), która mogła nie przelogować się na prywatne konto.

KUBUŚ PUCHATEK OCENZUROWANY

W Chińskiej Republice Ludowej kina nie będą wyświetlały najnowszego filmu z Kubusiem Puchatkiem „Christopher Robin", choć produkcje Disneya zwykle miały tam szanse na emisje. Dlaczego film trafił na czarną listę, nie wiadomo. Internauci zwracają jednak uwagę, że to właśnie Kubuś Puchatek – czyli miś o bardzo małym rozumku – jest popularnym motywem w memach wyśmiewających przewodniczącego ChRL – Xi Jinpinga. Przez to m.in. zablokowano w Chinach odcinek programu amerykańskiego komika, który porównał przewodniczącego do misia z literatury.

AMERYKAŃSKIE OSTRZEŻENIE

Na ulotkach produktów w USA opisane są zwykle prawie wszystkie głupie rzeczy, których nie powinno się z nimi robić – tak producenci zabezpieczają się przed prawnikami, którzy polują na takie sprawy. Jednak zdecydowanie najdziwniejsze ostrzeżenie wydała właśnie rządowa agencja – Centra Kontroli i Prewencji Chorób. Otóż poinformowała ona, by... nie myć prezerwatyw i nie używać ich ponownie. Na zdziwienie internautów agencja odpisała, że to potrzebne, bo ludzie, niestety, tak robią.

MOCNO ZAKRĘCENI

Jakiś programista dla zabawy zrobił aplikację na Androida, która emituje dźwięk wiatraczka. Pół miliona osób pobrało to na swój smartfon. Wielu z nich nie zrozumiało żartu i zamieszczało negatywne komentarze. Byli rozczarowani tym, że wiatrak na ekranie „nie działa". Dobrze, że ktoś nie zrobił aplikacji ze szklaną wody, przy takich upałach mogliby umrzeć z odwodnienia.

DZIADKOWIE METALOWCY

Dwóch starszych mężczyzn uciekło z niemieckiego domu opieki. Personel placówki zawiadomił policję. Ta odnalazła pensjonariuszy na jednym z największych festiwali z muzyką heavymetalową – Wacken Open Air. Niemieckie media twierdzą, że starsi panowie za nic nie chcieli opuścić czterodniowej imprezy, więc policja musiała ich siłą zaciągnąć do radiowozu i odwieźć. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Bajka o robotach

Chyba nawet arcydowcipny Stanisław Lem by tego nie wymyślił. Profesor Christoph Bartneck z uniwersytetu w Canterbury w Nowej Zelandii opublikował pracę naukową pt. „Roboty a rasizm". Uczony mąż zauważył, że „większość sprzedawanych i konstruowanych robotów-humanoidów produkuje się z materiałów koloru białego lub srebrzystego". I wywnioskował: „Jest to jasny i wyraźny przejaw rasizmu wobec ludzi o czarnym kolorze skóry".

Wniosek wysnuł na podstawie eksperymentu. 192 białe osoby otrzymały elektroniczne pistolety. Pokazywano im na ekranie humanoidy żółte, różowe i brązowe. Kazano strzelać do tych, które miały w ręku broń, bo połowa nie miała. I okazało się, że 63 proc. strzałów badani oddali do robotów brązowych, co zdaniem prof. Bartnecka świadczy o głęboko zakorzenionym rasizmie w świadomości i podświadomości białych.

W tej zideologizowanej pracy naukowej poraża wszystko – i to, że uniwersytet wyłożył na nią pieniądze, i to, że ją upowszechnił. Na dobrą sprawę „rasistowski" sylogizm prof. Bartnecka nie jest wcale mądrzejszy od stwierdzenia: „Świnia nie lubi trawy i Jaś nie lubi trawy, więc Jaś jest świnią".

Tym sposobem jak najsłuszniejsza walka z rasizmem przybiera formy groteskowe i szczytną ideę po prostu ośmiesza. Szczególnie że o wszystko, co złego przytrafi się imigrantom, obwiniani są rasiści, a do rasistowskiego worka wrzucani są również ci, którym nie do końca podoba się niekontrolowana migracja. We Włoszech tygodnik „Famiglia Cristiana" nazwał z tego powodu szefa MSW Matteo Salviniego szatanem.

Używając aparatu naukowego prof. Bartnecka, można śmiało stwierdzić, że dziś rasiści dzielą się na rasistów i antyrasistów. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl ee82e2794e

NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 13 SIERPNIA 2018

JEDENASTY ODCINEK SERII

Najlepsza kawaleria Europy – o husarii jako formacji. Uzbrojenie, metody walki.

ZWYCIEZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIEZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH „ZWYCIĘZCY"

PGE Polska Grupa Energetyczna

eprasa.pl ee82e2794e

Nowy bojownik

Tomasz Cukiernik

Michał Kołodziejczak, prezes Unii Warzywno-Ziemniaczanej, nazywany jest już nowym Lepperem

Michał Kołodziejczak, prezes Unii Warzywno-Ziemniaczanej
FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Kołodziejczak to 30-letni producent rolny z branży ziemniaczanej. Gospodaruje na 15 ha. Jest radnym gminy Błaszki (woj. łódzkie). Należał do PiS, ale został z partii usunięty za zorganizowanie zebrania rolników. Spotkanie to odbyło się 24 lutego w remizie OSP w podsieradzkim Orzeżynie. Zebrali się rolnicy, głównie z trzech gmin: Błaszki, Wróblew i Warta, by omówić ich problemy. Zdecydowano o powołaniu stowarzyszenia Unia Warzywno-Ziemniaczana. Zostało zarejestrowane 8 czerwca. Kołodziejczak twierdzi, że utworzenie Unii to jego pomysł. I że to oddolna inicjatywa.

PROROSYJSKOŚĆ?

Unia na początku miała pięć postulatów. Poza żądaniem zmiany ministra rolnictwa domagano się także zwiększenia kontroli warzyw importowanych do Polski, unormowania stosunków dyplomatycznych z Rosją, ograniczenia importu zbóż oraz wyrównania dopłat rolniczych do takich, które mają rolnicy na Zachodzie.

Po drugim spotkaniu rolników (3 marca) odbyły się dwa protesty ostrzegawcze na przejściach dla pieszych w Błaszkach i we Wróblewie. W kolejnych tygodniach UWZ zorganizowała wiele strajków w małych miejscowościach (ubogaconych wysypywaniem na ulicę ton ziemniaków czy kapusty) oraz duże protesty w Warszawie. 23 maja w manifestacji w stolicy pod szyldem UWZ uczestniczyło ponad tysiąc rolników, a 13 lipca – już 5 tys.

Równocześnie przedstawiciele Unii byli zapraszani na rozmowy do Ministerstwa Rolnictwa, a także na Sejmową Komisję Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Z biegiem czasu coraz więcej organizacji rolniczych zaczęło wspierać działania stowarzyszenia, choć sama UWZ nie rości sobie praw, by reprezentować wszystkich rolników. Do Unii dołączyli rolnicy od malin (sprawa dotowania produkcji malin na Ukrainie), od ASF (sprzeciw wobec zabijania przez służby weterynaryjne zdrowych świń), sadownicy, hodowcy bydła czy producenci mleka. Co ciekawe, w działalność Unii włączyli się nawet zwykli konsumenci, których interesuje to, co jedzą i co mogą kupić w sklepie. Z pewnością sukcesem UWZ jest to, że jako jedyna organizacja ze strony społecznej podjęła się konsultacji projektu nowelizacji ustaw w zakresie kontroli jakości i oznakowania produktów rolnych i te poprawki zostały uwzględnione.

Członkowie UWZ, których obecnie jest ok. 200, przyznają, że organizacja jest ciałem obcym – ale dla fasadowych organizacji, takich jak izby rolnicze, które powinny pilnować interesów farmerów, a tego nie robią. Zdymisjonowany w czerwcu minister rolnictwa Krzysztof Jurgiel (niektórzy twierdzą, że UWZ miała w tym swój udział) sugerował, że Unia jest sponsorowana przez Niemców, bo – jego zdaniem – była promowana przez niemieckie media. Obecny minister Jan Krzysztof Ardanowski sugeruje, że Unię wspierają Rosjanie. A sami rolnicy zapewniają, że swoją działalność finansują wyłącznie z własnych środków.

Rusofilię zarzucają UWZ także inni, w tym „Gazeta Polska", która napisała, że „Kołodziejczak chce zbić kapitał polityczny na prorosyjskim, szermującym narodowy-

eprasa.pl ee82e2794e

mi hasłami środowisku". Trudno jednak przy blokadzie eksportu produktów rolnych do Rosji dziwić się takiemu stanowisku. Szczególnie w okolicach Sieradza wyjątkowo duża liczba rolników bardzo długo i korzystnie handlowała z Rosjanami. Także gospodarstwo rodziców Michała Kołodziejczaka jeszcze kilka lat temu całą produkcję sprzedawało do tego kraju.
– Bardzo spadły dochody. Gospodarstwo mojego ojca miało kilkumilionowe obroty w handlu z Rosją, a teraz wynoszą one zero – mówi Kołodziejczak. – Trzeba podkreślić, że ta polityka sankcji wobec Rosji jest wymierzona głównie w Polskę. Straty są ogromne. Moi koledzy z Azerbejdżanu, którzy opanowali handel z Rosją, bardzo chcą kupować nasze towary, ale nie mogą. To w ogóle dzisiaj nie funkcjonuje. Gdybyśmy eksportowali do Rosji, to ani jednego produktu nie musielibyśmy już sprzedawać na Zachód – ocenia.

WOLNY RYNEK I INTERWENCJA

– Sam siebie określam jako prawicowca i patriotę, który dla Polski mógłby zrobić bardzo dużo – stwierdza Kołodziejczak w rozmowie z portalem wSensie.pl, a serwis naTemat.pl pisze, iż „Kołodziejczak mówi o sobie, że jest konserwatywnym katolikiem o liberalnym podejściu". Szef UWZ nie chce nic od państwa, a jedynie żeby rolnikom przestano zabierać i by mieli „równe możliwości konkurowania z Zachodem, ze Wschodem". – Państwo nie musi dawać pieniędzy. Niech pomoże przepisami, radą, fachowcami, a polscy rolnicy chętnie dadzą wkład finansowy – mówi w rozmowie z portalem KrytykaPolityczna.pl. Opowiada się za wolnością wyboru konsumentów. Chce, by wiedzieli, skąd pochodzi towar wykładany w sklepie. Szafuje też rewolucyjnym na skalę Unii Europejskiej postulatem. – Dla polskiego producenta rolnego najlepiej byłoby, gdyby dotacji do rolnictwa w UE w ogóle nie było – mówi Kołodziejczak. Natomiast jeśli dotacje miałyby zostać, to jego zdaniem polscy rolnicy powinni otrzymywać więcej od farmerów z Zachodu, „żeby wyrównać szanse". – My nie jesteśmy przeciw samej Unii. […] Warunki jednak nie są równe. Nie pozwalają nam uczciwie konkurować – zaznacza w wywiadzie z KrytykaPolityczna.pl.

Ponadto w poglądach Kołodziejczaka pojawia się jednak interwencjonizm państwowy. Szef UWZ sprzeciwia się przywozowi owoców z Ukrainy, często podkreśla brak odpowiedniej kontroli importu żywności z Zachodu i opowiada się za wdrożeniem regulacji, które utrudniłyby dostęp zachodniej konkurencji do polskiego rynku, oraz domaga się bardzo wysokich kar za wprowadzanie do obrotu zagranicznych produktów rolnych w polskich opakowaniach. Twierdzi, że z Zachodu do Polski przywożona jest złej jakości żywność, której tam nie można sprzedać, podobnie jak sprowadza się stare samochody, używane ubrania czy śmieci. Z drugiej strony zauważa, że choć jesteśmy na wspólnym unijnym rynku, to na polskie ziemniaki nałożone są unijne regulacje, które uniemożliwiają ich eksport. Jego zdaniem duże sieci handlowe to monopole, bo opanowały handel w Polsce i dyktują rolnikom skandalicznie niskie ceny. Dlatego chce, aby w tym zakresie ingerowało państwo w celu umożliwienia „zdrowej, normalnej konkurencji".
– Dzisiaj trzeba zrewolucjonizować obrót płodami rolnymi w Polsce, ale polscy rolnicy nie powinni być tylko producentami, czyli najsłabszym ogniwem, tylko powinni uczestniczyć w sprzedaży – mówi Kołodziejczak w rozmowie z Fakt24.pl.

Szef Unii nie zgadza się z polityką rolną i poprzednich rządów, i obecnego rządu. Twierdzi, że w Ministerstwie Rolnictwa pracują ludzie związani z innym systemem, którzy „nie potrafią zrozumieć obecnych realiów" i „kompletnie nie rozumieją dzisiejszych problemów rolników". Uważa też, że resort nie ma pomysłu na uzdrowienie sytuacji na polskiej wsi lub też nie jest zainteresowany tym, aby polski rolnik mógł skutecznie rywalizować z zachodnimi producentami, zwłaszcza tymi z Niemiec i Francji. W związku z tym chce powołania do życia nowego, całkowicie niezależnego od polityków ruchu społecznego rolników, który pozwoli mówić im jednym silnym głosem i doprowadzić do tego, aby polski rolnik posiadał „moc sprawczą".

SKOK DO POLITYKI?

Działacze UWZ twierdzą, że chodzi im wyłącznie o współpracę gospodarczą i nie interesuje ich polityka. Dementują plotki o tym, że planują założenie partii politycznej. Jednak na pytanie Money.pl, czy zakłada wariant, żeby wejść aktywnie do polityki, Kołodziejczak odpowiada, że „nie da się jednak w życiu niczego wykluczyć. Dzisiaj brakuje rolników w Sejmie. Nie mówię, czy miałbym to być ja, czy inni ludzie, ale powinni to być rolnicy". Niektórzy obserwatorzy polskiego życia politycznego obawiają się, że to nie jest przypadkowa postać, i mają wątpliwości, czy to oddolna inicjatywa, wiedząc, jak środowisko rolników jest podzielone.

Poseł Kukiz'15 Jarosław Sachajko, przewodniczący Sejmowej Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi, zarzuca UWZ, że ostatni protest w Warszawie był organizowany wspólnie z PSL – partią, która doprowadziła do zapaści polskiego rolnictwa. Unia odpowiada, że była jedynym organizatorem ze wsparciem Związku Sadowników RP, gdzie przewodniczącym jest Mirosław Maliszewski, poseł właśnie z PSL, ale w proteście brał udział nie jako poseł ludowców, lecz jako szef związku.

Sachajko, który same postulaty rolników uważa za zasadne, wietrzy jednak drugie dno. Twierdzi, że minister Ardanowski proponuje wiele rozwiązań, które postuluje UWZ, a mimo to Unia planuje kolejne protesty. – Kiedy zaczyna się coś układać, nagle się okazuje, że jest kolejny strajk i powtarzane są cały czas te same postulaty pomimo tego, że minister Ardanowski już te rozwiązania, które oni proponują, ma przygotowane – mówi Sachajko.

– Pisze się, że walimy w rząd jak w bęben. Wcale nie. Nie o to chodzi. Chcemy merytorycznie pracować, ale nie damy się uwikłać w jakieś sytuacje, że minister będzie nas przedstawiał, że prowadzone są rozmowy z rolnikami, z których de facto nic nie wynika, nie idzie ta praca, a idzie taki przekaz PR-owski, zwłaszcza w telewizji publicznej, że sytuacja jest pod kontrolą. No nie jest – odpiera zarzuty przedstawiciel Unii. – Będziemy bardzo merytorycznie pracować i temu też służy ten zjazd 5 sierpnia – żebyśmy wypracowali zasadnicze kierunki działania, postulaty i pracowali nad dalszym programem. Równolegle będziemy działać w zakresie „twardej pięści", która będzie pilnowała urzędników, żeby wykonywali swoją pracę – dodaje.

Na razie UWZ nie planuje w Warszawie kolejnego strajku. – Jesteśmy daleko od tego. Natomiast wiemy, jak to zrobić, i wiemy, że będzie nas tylu, iż to miasto stanie, ale nie chcemy występować przeciw osobom, które tam mieszkają. Najprawdopodobniej w najbliższym czasie będą się pojawiały takie inicjatywy lokalne w zakresie strajków i demonstracji jak blokada przez sadowników przetwórni owoców Döhler w Kozietułach Nowych (woj. mazowieckie) przeciwko drastycznie niskim cenom skupu owoców – zapowiada przedstawiciel Unii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ee82e2794e

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

SN jak TK? I co dalej?

Niewiele wskazuje na to, by jakakolwiek – poza PiS – znacząca siła polityczna uznawała dziś Trybunał Konstytucyjny lub nosiła się z zamiarem uznania go za godną zaufania, niezależną instytucję polskiego państwa (proces dekompozycji TK, zainicjowany w 2015 r. przez Platformę, PSL i SLD, dokończył PiS). A wkrótce – tak sądzę, choć bardzo chciałbym się mylić – ten sam los czeka Sąd Najwyższy. I co wtedy? Co dalej?

Czy będzie istniał stary Sąd Najwyższy i nowy Sąd Najwyższy? Jeden uznawany przez anty-PiS, a drugi przez PiS? Legalny i nielegalny lub nielegalny i legalny – w zależności od sympatii politycznych i/lub oceny prawnej rozstrzygającego ów dylemat? Ten prawdziwy i ten nieprawdziwy? Ten składający się z wybranych zgodnie z prawem, czyli prawdziwych sędziów, i ten składający się z sędziowskich dublerów?

Personifikacją tego sporu będzie inny – o to, kto jest prawowitym I prezesem prawowitego Sądu Najwyższego. Już wkrótce o miano to konkurować będą w przestrzeni publicznej sędzia Małgorzata Gersdorf i zapewne niedługo powołany przez prezydenta RP nowy I prezes SN. I w tym przypadku: jeden – uznawany przez anty-PiS, a drugi przez PiS. Będą ze sobą konkurować długo, pewnie do 30 kwietnia 2020 r., a więc przez półtora roku, kiedy to zgodnie z art. 183 konstytucji wygaśnie sześcioletnia kadencja sędzi Gersdorf (choć z kolei – zgodnie z art. 180 konstytucji – o wieku przejścia w stan spoczynku sędziów decyduje ustawa).

A w tym samym czasie Polacy będą przesądzać o tym, kto jest I prezesem SN w takich sondażach jak poniższy – przygotowany przez SW Research, z którego wynika, że teraz 42 proc. z nich sędzię Gersdorf za I prezesa SN uznaje, 29 proc. nie uznaje, zaś 29 proc. nie ma w tej sprawie zdania. A jak opinie te będą się rozkładać w listopadzie 2018 r., gdy SN będzie rozstrzygał o ważności wyborów samorządowych? Jak będą się rozkładać w maju 2019 r. i w listopadzie 2019 r., gdy SN będzie rozstrzygał o ważności wyborów do europarlamentu oraz do Sejmu i Senatu RP? I jaki ten rozkład głosów będzie miał wpływ na przyjęcie przez opinię publiczną owych rozstrzygnięć SN?

Dokąd cały ten gorszący, a przede wszystkim niszczący spór nas zaprowadzi, nie sposób przewidzieć. Na pewno jednak nie oznacza dla nas i naszego państwa niczego dobrego, a ręce z jego powodu zacierają wyłącznie ci, którzy nam źle życzą. Ich lista jest długa i w żadnym razie nie ogranicza się do Rosji oraz Władimira Putina.

I naprawdę trudno mi uwierzyć, że nie stać nas na nic lepszego niż wybór między pozostawieniem naszego niesprawnego, nieefektywnego sądownictwa bez zmian – po staremu, a zmienianiem go w taki sposób, w jaki dokonuje się tego teraz. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Edukacja XXI wieku

W 2011 r. Juárez Correa, nauczyciel matematyki w szkole podstawowej w Matamoros w Meksyku, miał już dość uczenia dzieci według nudnych, przestarzałych programów rządowych. Jesienią 2011 r. zaczął stosować zupełnie nowe metody.

Correa został zainspirowany działaniami hinduskiego profesora Sugaty Mitry. Co to za cudowna metoda? Zdefiniować problem i zostawić dzieci, żeby same go rozwiązały. Coś w stylu słynnej „walki bez walki" w dialogu Bruce'a Lee z pewnym siebie karateką w moim ulubionym filmie „Wejście smoka". Czyli „nauka bez nauczania". Oczywiście dzisiaj wiemy na podstawie licznych badań, że dzieci nie należy zostawiać samych sobie, ale nauczyciel powinien być animatorem procesu znajdowania – przez dzieci, młodzież i dorosłych – rozwiązania. I dawać ewentualne wskazówki, gdy przez dłuższy czas grupa nie może sobie poradzić. A gdy już rozwiążą problem, nauczyciel powinien przekazać informację zwrotną, co zrobili dobrze, co można było zrobić lepiej. Wtedy proces uczenia się jest najbardziej skuteczny.

Nauczyciel powinien być animatorem procesu znajdowania rozwiązania

Obecnie w każdej szkole mamy szerokopasmowy Internet. Można dzieci uczyć matematyki, pokazując, jak się rozwiązuje dane zadanie, albo dać im na początku 20 minut, żeby same na to wpadły. Już słyszę te lamenty: – Ale wtedy nie zdążymy przerobić programu ministerialnego. No trudno. Badania pokazały, że pasywne uczenie się skutkuje zapamiętaniem 5–10 proc. materiału, a efekty samodzielnego rozwiązywania problemów zostają na całe życie. Poza tym gdy młodzież nauczy się samodzielnie rozwiązywać problemy za pomocą Internetu i własnego (lub jeszcze lepiej grupowego) mózgu, to potem świetnie poradzi sobie z rozwiązaniem każdego problemu, nawet tego przewidzianego w programie nauczania, na który nie starczyło czasu.

Podam inny przykład. Kilka razy miałem problem z przetwarzaniem dużych danych, miliardów transakcji w języku R. Gdy pytałem któregoś z kolegów – młodych informatyków – najczęściej od razu mi podpowiadał, jak to zrobić. Jednak gdy sam nie wiedział, błyskawicznie opracowywał rozwiązanie, korzystając z kodu innych programistów dostępnego w Internecie oraz z własnej inwencji, żeby ten kod odpowiednio dostosować i zweryfikować, czy dobrze działa. To, co jemu zajmowało kilka minut, mnie zajmuje kilka godzin, bo sam piszę cały kod.

Skoro to tak dobrze działa, to dlaczego w szkołach i na uczelniach ciągle tak często uczymy po staremu? ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w firmie Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl ee82e2794e

100% polski produkt

JUŻ NIEBAWEM RUSZA

III EDYCJA KONKURSU

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

PATRONAT HONOROWY

MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII

MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

FUNDACJA FIRMY RODZINNE

PARTNERZY

ORLEN

PHN

GRUPA CEDROB

Poczta Polska

arp

LANDESKRONE

LUBOMIRSKICH

PARTNER MERYTORYCZNY

pwc

eprasa.pl ee82e2794e

TEST „DO RZECZY": LENOVO THINKPAD X1 YOGA

Piękny ekran o rozdzielczości 2560 x 1440, wysoka wydajność oraz elegancka i trwała obudowa z włókna węglowego – to największe zalety elitarnego biznesowego ultrabooka, który dzięki zawiasowi otwieranemu w zakresie 360 stopni potrafi pracować w trybie laptopa, tabletu, namiotu lub podstawki.

Design jest typowy dla ThinkPadów. Jedni uznają go za klasyczny i elegancki. Inni – za zbyt prosty i nudny. Dla mnie jest OK. Bardzo podobają mi się przy tym jakość wykonania – tu naprawdę trudno się do czegoś przyczepić – a także niewielka waga (1,4 kg).

Na największą pochwałę zasługuje jednak 14-calowy, dotykowy wyświetlacz OLED. Obraz jest ostry, kolory są żywe, kąty widzenia szerokie, kontrast rewelacyjny, a czas reakcji bardzo krótki.

Testowany egzemplarz był wyjątkowo dobrze wyposażony: pod „maską" znajdowały się procesor Intel Core i7 2,6 GHz, dysk SSD oraz 16 GB pamięci RAM. Mocy obliczeniowej wystarczy więc nie tylko do pracy z arkuszami kalkulacyjnymi, lecz także do obróbki grafiki.

Po stronie plusów można też zapisać dobrze działający czytnik linii papilarnych, opcjonalną kamerę na podczerwień z technologią rozpoznawania twarzy, opcjonalny modem LTE oraz bardzo wygodną podświetlaną i odporną na zalania klawiaturę, której klawisze automatycznie chowają się do środka, kiedy z trybu laptopa przełączamy się do trybu tabletu. Ten model Lenovo można też np. postawić pionowo, co jest przydatne wszędzie tam, gdzie mamy za mało miejsca, by wygodnie pracować – od pociągu do samolotu.

Fajnym gadżetem jest również ładowane pióro cyfrowe, za pomocą którego można podpisywać dokumenty, szkicować projekty lub robić odręczne notatki na spotkaniach zarządu.

A minusy? Jest ich tylko kilka. Niestandardowy port LAN każe pamiętać o zabraniu ze sobą przejściówki (na szczęście, w przeciwieństwie do sprzętu firmy Apple, ta jest już w zestawie).

Szkoda również, że w tak elitarnym laptopotablecie jakość dźwięku płynącego z głośników jest daleka od ideału. Bez problemu sprawdzą się przy prowadzeniu wideokonferencji czy oglądaniu filmów, ale prawdopodobnie każdy szanujący się audiofil szybko poprosi o wyłączenie wydobywającej się z nich muzyki.

Na baterii ThinkPad X1 Yoga może teoretycznie pracować nawet do 15 godzin. Jeśli chcemy jednak pracować nie tylko w edytorach tekstu przy wyłączonym wi-fi, to czas ten się skraca. Przy normalnym użytkowaniu laptop powinien wytrzymać na jednym ładowaniu ok. 7–8 godzin. Na szczęście akurat ten model ultrabooka Lenovo w ciągu godziny można naładować do ok. 80 proc.

I ostatnia wada: cena. ThinkPad X1 Yoga kosztuje ok. 9 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

NIE TYLKO DLA YOUTUBERÓW

Chcecie zostać gwiazdami sieci? Pocelebrycić i zarabiać niezłe pieniądze na filmach umieszczanych w mediach społecznościowych, ale najczęściej, gdy kamera rusza, denerwujecie się tak, że zaczynacie się powtarzać, plątać i gubicie wątek? Dzwonią do was z radia po komentarz, ale w toku dyskusji zapomnieliście, co chcecie powiedzieć? Znam ten ból. I jest na niego rada, w dodatku nie trzeba dużo inwestować – ok. 200 zł. Rozwiązaniem może być miniteleprompter Quickstarter – Speech Text Prompts, kompatybilny z większością smartfonów mających ekran o przekątnej ok. 6,5 cala. Generalnie całe urządzenie wsparte kilkoma przyciskami funkcyjnymi i dedykowanymi aplikacjami służy jako… podstawka pod smartfon, jednak specjalne szkło powiększające litery, redukujące promienie słoneczne, możliwość ustawienia w aplikacji tempa przewijania tekstu etc. pozwalają na wykorzystywanie całości jako ciekawego elementu domowego studia telewizyjnego. Zamawiać można na Kickstarterze, dostawa w sierpniu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OGRÓD NA PARAPECIE

„W domach z betonu nie ma wolnej miłości" – śpiewała Martyna Jakubowicz, a ostatnie projekty architektoniczne, które zaczynają funkcjonować na ulicach naszych miast, wskazują, że coraz mniej jest też między nimi wolnej zieleni. Z rzadka trafi się krzaczek czy drzewko zasadzone w donicy, jak na warszawskiej ul. Świętokrzyskiej czy jak ma to niebawem stać się na poznańskim Świętym Marcinie. Macie ochotę w tych wielkich blokowiskach na odrobinę własnej zieleni lub też raczej zieleniny? Jest EcoQube Sprout – jak twierdzi producent, pierwszy hydroponiczny mikroogród. Najkrócej mówiąc, to modułowy ogródek dzięki zastosowanym w nim technikom nawadniania i napowietrzania pozwalający na szybki i dynamiczny wzrost mikroroślinek. Tajemnica? Nie potrzeba do tego ani odrobiny ziemi. Wystarczy do odpowiednich skrzynek wrzucić nasionka, np. rzeżuchy czy innej marchewki, a zbiornik napełnić wodą, która jest dozowana automatycznie, więc nie trzeba pamiętać o podlewaniu. Woda ze zbiornika przemieszcza się w górę za pomocą działania kapilarnego, a podkładka pod nasiona w razie potrzeby absorbuje jej nadmiar i po ok. 10–12 dniach można cieszyć się własną zieleniną. Drogie to urządzenie nie jest, na Kickstarterze można zamówić już za ok. 80 zł, ale na dostawę trzeba będzie poczekać blisko rok – do maja 2019 r. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl ee82e2794e

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2018

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

VI EDYCJA

NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł STRAŻNIK PAMIĘCI przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Zgłoszenia można dokonać do 30.09.2018 r. drogą mailową: straznikpamieci@dorzeczy.pl lub pocztą: Redakcja "Do Rzeczy", Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, z dop. Strażnik Pamięci

PATRONAT HONOROWY SEJM

niepodległa

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

WSPÓŁORGANIZATOR

PARTNER STRATEGICZNY ORLEN

SPONSOR PGNiG

PARTNERZY PKP INTERCITY, PZL-ŚWIDNIK a LEONARDO HELICOPTERS company, TOTALIZATOR SPORTOWY

eprasa.pl ee82e2794e

Joanna Bojańczyk

Wytworne

Kiedyś jedno z najmodniejszych uzdrowisk londyńskiej socjety, dziś wspaniałe zabytki architektury gregoriańskiej i luksusowe termy z czasów rzymskich

Tylko Anglicy potrafią sprawić, że 90-tysięczne miasto z monumentalną architekturą, ze starożytnymi termami, z opactwem, uniwersytetem, szerokimi alejami potrafi być jednocześnie kameralnym uzdrowiskiem, w którym parę dni kuracji spędza się w całkowitym spokoju. No i dodajmy – w najbardziej wyszukanym luksusie. Bath to bowiem kurort prawdziwie wytworny, w którym drzemie jeszcze duch wielkości brytyjskiej korony. Tylko wielbicielom upałów należy odradzić to miejsce, zwłaszcza jeśli nie przepadają za angielskim klimatem – sporo deszczu, stosunkowo łagodne i wilgotne zimy, niezbyt upalne lata. W tym roku akurat wszystko się zachwiało i angielskie wiecznie zielone trawniki powysychały na popiół...

Bath (po angielsku kąpiel) leży w zachodniej Anglii w hrabstwie Somerset, 156 km od Londynu, w dolinie rzeki Avon. Źródła z 43 minerałami odkryli tam już w 60 r. n.e. Rzymianie i wokół nich wybudowali świątynię Minerwy oraz łaźnie. Dały one Bath status pierwszego nowożytnego uzdrowiska na świecie.

Po Rzymianach o kąpielach zapomniano na długo. W średniowieczu miasto rozrosło się, w XVI w. rozbudowano XII-wieczną katedrę, dziś jeden z najwspanialszych zabytków. Jednak z wód najbardziej ceniono wówczas święconą... Prawdziwą popularność miasto zdobyło dopiero siedemnaście wieków po czasach rzymskich, dzięki gorącym źródłom.

PIĘĆ TYSIĘCY ZABYTKÓW

Zaczęło się od wizyty Marii Beatrice d’Este, żony króla Jakuba II Stuarta, która miała kłopoty z zajściem w ciążę. Ciepłe kąpiele zadziałały i wkrótce na świat przyszedł chłopiec. Bath odwiedzała królowa Elżbieta, a królowa Anna przyjeżdżała leczyć tu artretyzm zwany wówczas podagrą. Podobno niewiele pomogło...

W każdym razie XVIII w. był czasem wielkiego rozkwitu miasta. W czasach króla Jerzego III powstał zespół miejski w eleganckim i monumentalnym stylu neoklasycznym. Wybudowano wiele imponujących budynków komunalnych i prywatne wille w modnym wtedy stylu palladiańskim wzorowanym na rzymskim architekcie Palladiu. Cały zespół miejski wpisano w roku 1987 na listę UNESCO. Historycznych budynków jest tu podobno 5 tys.

Bath stało się wtedy ulubionym uzdrowiskiem europejskiej socjety. Przyjeżdżano na zimę z Londynu. Panny z dobrych domów wysyłano, żeby podleczyły prawdziwe i wyimaginowane dolegliwości, a przy okazji zapolowały na dobrą partię. Wypadało pokazać się na herbatkach, w teatrze, na koncercie, na balu w Salach Asamblowych. Dzisiaj te sale można wynająć na wesele, w podziemiach znajduje się Muzeum Mody z dużą kolekcją XVIII- i XIX-wiecznych strojów.

Miasto Bath pojawia się nawet w polskiej „turystyce” kuracyjnej okresu oświecenia. W artykule „Polskie wyjazdy kuracyjne do wód w XVIII w.” pisze Adam Kucharski:

„Przedstawiciele polskiej magnaterii traktowali uzdrowiska jako miejsca spotkań elit społecznych, do których osoby z towarzystwa udawały się często dla odpoczynku po nużącym swoją etykietą oraz intrygami życiu dworskim. Z zasady wyjeżdżały tam osoby młode – nie po to, aby poddawać się zabiegom medycznym, ale przede wszystkim by prowadzić intensywne życie towarzyskie, spotykać się z przedstawicielami europejskiej arystokracji czy ludźmi kultury”.

W lecie 1867 r. odwiedził Bath Stanisław Kostka Potocki z teściową Izabelą

eprasa.pl ee82e2794e

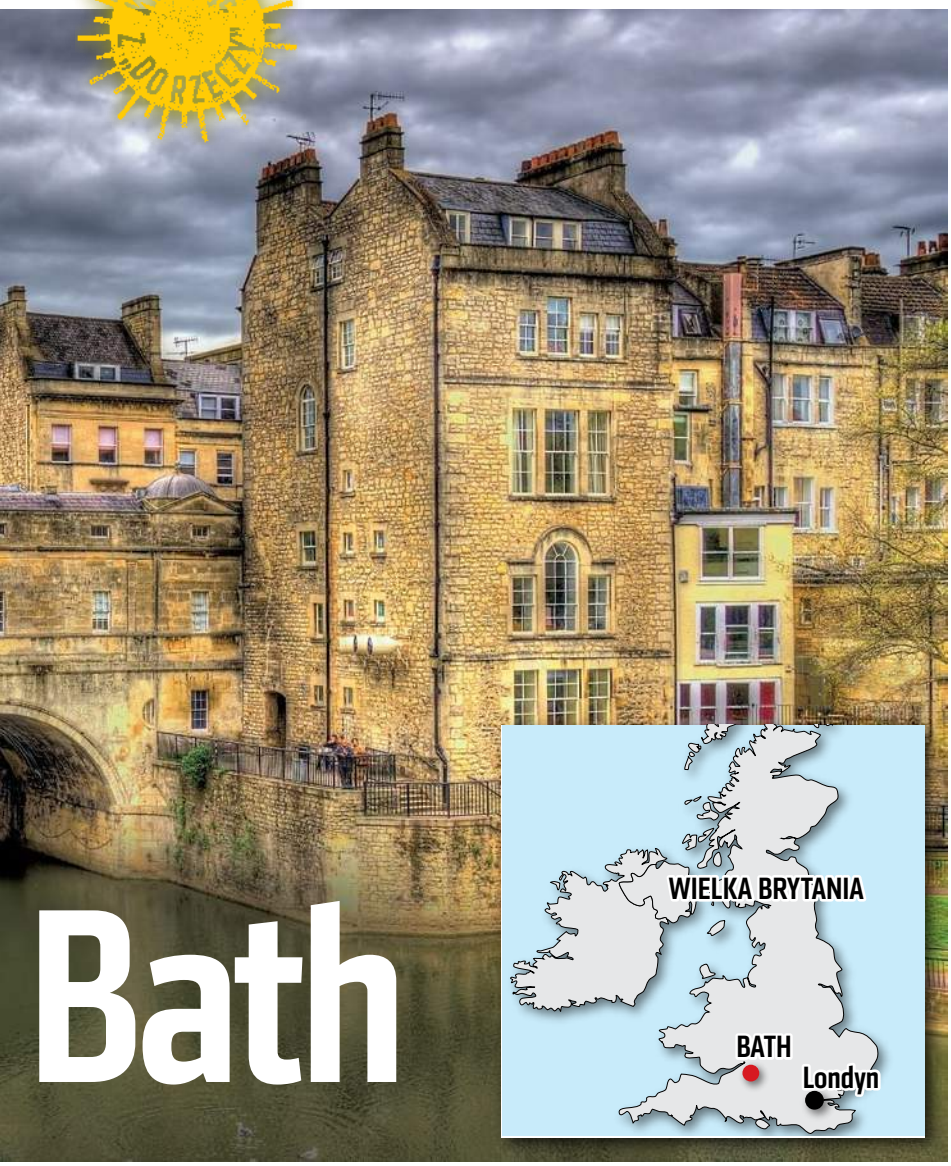

Bath

RYS. PEGAZ, FOT. FOTOLIA

Lubomirską. Wyprawę potraktował w kategoriach turystyczno-towarzyskich. Krótko zabawił w Bath Jan Ursyn Niemcewicz, który w towarzystwie Seweryna Potockiego odbywał „misyjną” podróż po Anglii, upominając się o wsparcie dla ciemiężonej przez zaborców Polski. Zalety lecznicze uzdrowiska interesowały obu panów mniej, bardziej zwiedzanie i spotkania z angielskimi politykami oraz rozmowy o sprawach Europy. Trudy podróży urozmaicały im bale i spotkania towarzyskie, m.in. u admirała angielskiej marynarki George’a Rodneya. Niemcewiczowi Anglia bardzo się spodobała.

„Jakże wszystko urządzonem jest w Anglii do wygody. […] Miasto to za czasów Rzymian było znanem i znacznem dla ciepłych mineralnych wód swoich. Ostatki zamków i obozów rzymskich są jeszcze widoczne i dość często wykopują się [...]. W niewielu latach [Bath] urósł w miasto i najwspanialsze gmachy po 50 domów jednej budowy łączące ze sobą wspaniałe półokręgi stanowiące”.

Niemcewicz ma na myśli słynny Royal Crescent, Królewski Półksiężyc, 30 budynków z lat 1767–1774 tworzących kształt półksiężyca. Układ zaprojektował John Wood „Młodszy”, i jest to najbardziej prestiżowy adres miasta, główny znak krajobrazowy. Z jednej strony jego pierzeja otwiera się na szeroką łąkę, z drugiej na ulice miasta.

Kto widział Ponte Vecchio we Florencji, ten na widok mostu Pulteney w Bath nie uniknie porównań. Zaprojektował go jeden z największych architektów XVIII w., Robert Adam, ewidentnie zainspirowany Florencją. Sklepy złotników i jubilerów, które znajdują się na moście, również przypominają miasto nad Arno.

Najsłynniejszą mieszkanką Bath jest pisarka Jane Austen, które zamieszkała tam w 1801 r. 25-letnia początkująca pisarka nie miała ochoty się przenosić. Bujne życie towarzyskie, herbatki, bale, kąpiele przy muzyce i unoszący się w powietrzu snobizm były wszystkim, czego nie znosiła. Monumentalne miasto przytłaczało... Jednak skoro papa postanowił, trzeba było się podporządkować. Dzisiaj pisarka stanowi jeden z głównych „produktów reklamowych” miasta. Turystom, którzy bardziej znają ją z filmów niż z przeczytanych książek, sprzedaje się rozmieniona na kostiumowe laleczki, filiżanki, kapelusiki i inne pseudoromantyczne gadżety.

NIEBIAŃSKI, ALE DROGI

Tutejsza architektura jest nie tylko przykładem stylu georgiańskiego w najbardziej okazałej postaci, lecz także wzorcowym przykładem nowoczesnych metod restauracji i rozbudowy. Główny budynek spa, New Royal Bath, kamienna budowla z XVIII w., został opakowany w szklaną, przezroczystą skorupę. Autorem pomysłu jest angielskie biuro Grimshaw Architects, wyłonione w konkursie ze 140 innych. Gmach ma otwarty dach i dwie naturalne termy, basen na wolnym powietrzu z wodą termalną oraz basen kryty. Są także pomieszczenia wellness z gabinetami, sauną, gabinetem lodowym, Gabinetem Niebiańskiego Relaksu (cokolwiek to znaczy). Podobnie intrygujące i pomysłowe rozwiązania zastosowano przy modernizacji innych łaźni z XVIII w.: Cross Bath i Hot Bath.

Współczesnego turystę dysponującego krótkim urlopem zdrowie, uroda i regeneracja sił interesują na równi z historycznymi zabytkami, a kto wie, czy nie bardziej.

Przyjazd do Bath mógłby być uznany za ekstrawagancję, przynajmniej w kategoriach ekonomicznych. Bywalcom all-inclusive na Riwierze Tureckiej angielski kurort wyda się zaporowo drogi. Nie ma morza ani plaży. Jednak za przebywanie w zabytkach, zwłaszcza europejskich i zwłaszcza tej klasy, trzeba płacić. Przyjemności odnowy biologicznej, kąpieli i term można tu zaznać, kupując pakiety jedno-, dwudniowe i dłuższe. Chętnych na spędzenie tutaj zimy, tak jak kiedyś, raczej brak. Salon towarzyski również przeniósł się gdzie indziej. Czasy świetności minęły.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ee82e2794e

Płuco, czyli życie

FOTOLIA

Katarzyna Pinkosz

Nestor – tak o nim mówią inni pacjenci w Centrum Onkologii. Od pięciu lat leczy się z powodu zaawansowanego raka płuca. Jeszcze kilka lat temu byłoby to niemożliwe

Co trzy tygodnie przychodzi do szpitala na podanie leku (podaje się go we wlewie dożylnym). – Niedawno inna pacjentka chwaliła się, że jest już tu siódmy raz, na co ja odpowiedziałem, że pewnie jestem siedemdziesiąty siódmy raz! To bardzo podbudowuje innych, że z zaawansowanym rakiem płuca tak długo można żyć – mówi 72-letni Adam Wołczak, pacjent warszawskiego Centrum Onkologii.

Podejrzenie, że w płucach dzieje się coś złego, pojawiło się już 16 lat temu: zauważył, że szybciej się męczy, ma problem z wejściem po schodach do mieszkania na szóstym piętrze, chociaż zawsze był osobą bardzo sprawną i aktywną fizycznie. Kardiolog wykluczył problemy z sercem i zlecił wykonanie zdjęcia RTG. Pokazało zmiany w płucach. Dopiero jednak w 2011 r. okazało się, że zmiany w prawym płucu są spowodowane nowotworem. Usunięto je chirurgicznie, jednak po roku pojawiła się wznowa w lewym płucu. Zdecydowano o chemioterapii. Przeszedł kilka cykli, różnymi lekami, jednak nie przyniosło to efektu: rak nadal się rozprzestrzeniał. W dodatku chemioterapia miała negatywne skutki uboczne. – Pierwsza chemia dosłownie mnie położyła. Straciłem siły. Gdy chciałem przejść z pokoju do łazienki, musiałem odpocząć w przedpokoju. Traciłem oddech nawet przy goleniu. Bez inhalatorów nie funkcjonowałem. Potem przestałem chodzić, miałem odleżyny. To była wegetacja. Myślałem, że zbliża się mój koniec – opowiada.

W 2013 r. pan Adam został zakwalifikowany do badania klinicznego leku o nazwie atezolizumab. To jeden z leków immunoterapeutycznych, które nie działają wprost na komórki raka, tylko odblokowują „zaślepiony" przez nowotwór układ odpornościowy. – Reaktywują go, czego efektem jest to, że zaczyna on z powrotem niszczyć komórki nowotworowe. Immunoterapia stała się przełomem w leczeniu nowotworów źle rokujących, takich jak czerniak, rak nerki, a teraz nowotwór płuca – mówi prof. Dariusz M. Kowalski, kierownik Oddziału Zachowawczego Kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Centrum Onkologii-Instytutu im. Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie, prezes Polskiej Grupy Raka Płuca.

NIE SPISYWAĆ NA STRATY

– Leki immunologiczne nie są skuteczne u wszystkich pacjentów onkologicznych, jednak spory odsetek na nie reaguje. A jeśli reaguje, to z reguły korzyści leczenia są długotrwałe – potwierdza prof. Maciej Krzakowski, krajowy konsultant w dziedzinie onkologii klinicznej, kierujący Kliniką Nowotworów Płuca

eprasa.pl ee82e2794e

i Klatki Piersiowej Centrum Onkologii-Instytutu w Warszawie.

Pan Adam przyjmuje lek już od pięciu lat. Rak nie został wyleczony, ale można powiedzieć, że choroba weszła u niego w stan przewlekły. – Nie rozprzestrzenia się. Żyję, funkcjonuję o niebo lepiej niż wtedy, gdy miałem chemioterapię – opowiada. Nie męczy się już tak szybko, mógł odstawić inhalatory, nie traci oddechu przy goleniu, bez problemu wchodzi po schodach, w sklepie zrobi zakupy. Może zaopiekować się żoną (która jest po amputacji nogi), zająć się wnukami, a czasem wybrać z kolegą do lasu na grzyby.

– Przez te pięć lat nie opuściłem żadnego podania leku – chwali się. I dodaje, że przez ten czas ani razu nie chorował. – Wcześniej zdarzały mi się grypa, przeziębienie, czasem złapałem nawet zapalenie płuc. Od czasu, gdy dostaję lek immunologiczny, nic takiego się nie wydarzyło – opowiada.

Leki immunologiczne są o wiele bezpieczniejsze niż stosowana chemioterapia. – Z reguły pacjenci zdecydowanie lepiej je tolerują. Oczywiście immunoterapia też może mieć działania niepożądane, jednak występują one zdecydowanie rzadziej niż w przypadku chemioterapii. W badaniach rejestracyjnych proporcja poważnych działań niepożądanych (w stopniu trzecim, czwartym) po chemioterapii oraz po immunoterapii była jak 55 proc. do 10–15 proc. To znaczy, że w przypadku stosowania chemioterapii 55 proc. chorych miało poważne skutki uboczne związane z leczeniem, a w przypadku immunoterapii – 10–15 proc. – tłumaczy prof. Krzakowski.

Dla pana Adama każda wizyta w szpitalu na podanie leku jest jednak stresem. – Zawsze wcześniej wykonuje się badanie krwi, a potem jest decyzja, czy podać lek. Myślę tylko, żeby badania nie wyszły źle i żeby nie zaprzestali podawania leku. Żeby nie spisali mnie na straty – dodaje.

DOBRAĆ LEK DO PACJENTA

Rak płuca to wyjątkowo źle rokujący nowotwór. Tylko u ok. 15 proc. jest wykrywany w tak wczesnym stadium, kiedy jest możliwa operacja usunięcia nowotworu, która (wraz z radioterapią) daje szansę na całkowite wyleczenie. Zwykle już w momencie wykrycia rak jest w takim stopniu zaawansowania, że usunięcie zmian nie jest możliwe.

Jeszcze kilka lat temu w przypadku zaawansowanego raka płuca chorym można było zaproponować tylko klasyczną chemioterapię. Była mało skuteczna, a w dodatku powodowała wiele działań niepożądanych. Ostatnio leczenie raka płuca bardzo się zmienia, pojawia się coraz więcej nowych terapii, które są nadzieją dla chorych. Sposób leczenia zależy nie tylko od zaawansowania nowotworu, lecz także od jego typu, podtypu oraz profilu genetycznego i molekularnego. Leczenie staje się coraz bardziej spersonalizowane. – Niemal z kwartału na kwartał pojawiają się nowe, naukowo uzasadnione możliwości leczenia. Dla chorych najlepsze jest to, że jest pole manewru, możliwa indywidualizacja postępowania. Gdybyśmy mieli tylko jedną opcję leczenia, to po jej wyczerpaniu nie mielibyśmy już nic. Jeśli coś jest w zanadrzu, to dla chorego jest to ważne z psychologicznego punktu widzenia – mówi prof. Krzakowski.

Pan Adam stara się nie myśleć o chorobie. – Tuż po diagnozie wpadłem w depresję, chodziłem do psychologa. Postanowiłem jednak, że muszę dać sobie radę. Nie myślę o chorobie, nie martwię się przyszłością – mówi. Gdy zachorował, kilkuletni wówczas wnuczek pytał, czy dziadek zaraz umrze. – Pewnie podsłuchał, jak rodzice rozmawiali. Powiedziałem, że jeszcze nie wybieram się na tamten świat – śmieje się.

ZMIANY W POLSCE

Do niedawna polscy chorzy mieli dostęp do nowoczesnych terapii w raku płuca tylko w badaniach klinicznych. Ostatnie miesiące przyniosły duże zmiany. W maju na listach refundacyjnych pojawił się długo oczekiwany przez pacjentów program lekowy dla raka płuca, w lipcu został on jeszcze rozszerzony. Dzięki temu leczenie w Polsce – jak oceniają onkolodzy – mocno zbliżyło się do standardów światowych. Niewiele brakuje, by było leczeniem „bez białych plam", to znaczy, żeby wszyscy chorzy, niezależnie od typu i podtypu nowotworu, mieli szansę na nowoczesne terapie.

– Jeśli chodzi o leki zarejestrowane na świecie i w UE, to brakuje w Polsce możliwości leczenia chorych z niektórymi rzadkimi zaburzeniami molekularnymi, przede wszystkim tzw. rearanżacją genu ALK w pierwszej linii leczenia. Ma ją ok. 3 proc. chorych. To często stosunkowo młodzi ludzie, którzy nigdy nie palili papierosów. Nie reagują na inne metody leczenia, a zastosowanie leczenia anty-ALK przynosi w ich przypadku bardzo duże korzyści. Na razie nie jest dla nich w Polsce możliwe optymalne leczenie w pierwszej linii. Mamy jednak nadzieję, że to się zmieni – zaznacza prof. Krzakowski.

Onkologów cieszy możliwość stosowania leków immunologicznych. W programie lekowym znalazły się dwa z trzech zarejestrowanych leków (pembrolizumab i niwolumab, brakuje atezolizumabu, który jest już po pozytywnej ocenie Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji). – Immunoterapia w programie lekowym jest bardzo bliska kompleksowości. Nie ma jedynie refundowanej opcji dla chorych z rakiem gruczołowym w drugiej linii leczenia – dodaje prof. Krzakowski. Zaznacza, że jej włączenie do programu lekowego nie musi oznaczać wzrostu kosztów dla płatnika, ponieważ nie jest to duża grupa chorych, a obecność trzech leków immunologicznych wytworzyłaby konkurencję cenową.

Co prawda część pacjentów z rakiem gruczołowym może od niedawna otrzymywać tzw. lek antyangiogenny (który nie pozwala nowotworowi oplatać się siatką naczyń krwionośnych), jednak nie jest on wskazany np. dla chorych z niekontrolowanym nadciśnieniem tętniczym, chorobą zakrzepowo-zatorową. – Im szerszy dostęp do leków, tym lepiej dla chorych z rakiem płuca. Najkorzystniejsza jest zawsze możliwość wyboru i dostosowania leczenia do pacjenta – potwierdza prof. Krzakowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Trudny nowotwór

Co roku u ponad 21 tys. osób w Polsce diagnozuje się raka płuca, a ok. 19 tys. umiera. Główną przyczyną jest wieloletnie palenie papierosów. Rokowania w raku płuca są złe: tylko 14 proc. chorych w Polsce przeżywa pięć lat od diagnozy. Żeby te statystyki poprawić i wydłużyć przeżycia, konieczne są nie tylko dostęp do nowoczesnych leków (który ostatnio w Polsce bardzo się poprawił), lecz także przede wszystkim zaprzestanie palenia papierosów, poprawa diagnostyki oraz organizacji leczenia.

eprasa.pl ee82e2794e

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Tragiczne romanse hetmana Mazepy

Iwan Mazepa Kołodyński urodził się w 1639 r. w ruskiej rodzinie szlacheckiej pieczętującej się odmianą herbu Kurcz. Jego ojcem był Adam, podczaszy czernihowski, który umieścił syna jako sługę na dworze Jana Kazimierza. Przyszły kozacki hetman nie zagrzał jednak miejsca w Rzeczypospolitej, gdyż w 1663 r. stał się sprawcą skandalicznego romansu, opisanego przez jego osobistego wroga – Jana Chryzostoma Paska.

Mazepa miał na Wołyniu wioskę, której sąsiadem był Stanisław Falbowski. Bohater często bywał u niego w domu i wkrótce wszedł w bliską znajomość z jego małżonką, co skończyło się niebezpiecznym romansem. Kochankowie posyłali do siebie listy przez posłańców i te właśnie pisma stały się przyczyną ich zguby. Pewnego bowiem razu pan Falbowski, być może domyślając się, co się święci, wyjechał na dłużej z majątku, a w rzeczywistości zaczaił się na gościńcu na posłańca. Kiedy ów jechał, wioząc list miłosny do Mazepy, będący zarazem zaproszeniem do alkowy pani Falbowskiej, schwytał go, przeczytał kartkę, po czym kazał doręczyć ją adresatowi. A sam spokojnie poczekał na gacha.

Wkrótce napotkał Mazepę jadącego do kochanki. Pozdrowił go i spytał: „Dokąd jedziesz?". Mazepa stwierdził, że „gdzie indziej", wówczas szlachcic zaproponował mu gościnę, na co gaszek wymawiał się: „Pilną mam drogę, WMM Pan też widzę, gdzieś jedziesz". „O, nie może to być!" – zawyrokował Falbowski, po czym kazał schwytać i przeszukać Mazepę. Znaleziono przy nim ów fatalny list od pani, która – jak pisze Pasek – „deklarowała ochotę" kochankowi i zapraszała do dworu. Wówczas Mazepa usiłował się

FOT. WIKIPEDIA

wyłgać, twierdząc, że pierwszy raz otrzymał owo pismo i nigdy jeszcze nie był na schadzce. Jednak kiedy Falbowski wezwał posłańca i spytał, ile razy Kołodyński spotkał się z żoną, ten odpowiedział: „Jak wiela na mej głowie włosów". „Obierasz śmierć?" – zapytał szlachcic.

Na tak poważne dictum Mazepa przyznał się do wszystkiego, ale prosił, aby go nie zabijać. Falbowski zatem nakazał przywiązać go nagiego do grzbietu własnego konia – głową do ogona: „ręce na opak związano, nogi pod brzuch koniowi podwiązano", następnie ostrego bachmata osieczono kańczugami, pokrzyczano na niego i zerwawszy ogłowie, strzelono nad głową. Koń popędził do domu przez gęste chrusty, głóg, ciernie, leszczynę i chaszcze, gdzie od gałęzi – jak pisze Pasek – Mazepie „dostało się specjałów". Falbowski zaś, znając hasło i umówione okno, gdzie rozpalona małżonka cierpliwie czekała na miłośnika, pojechał do dworu, zakołatał w nie i wszedł, sprawiając zdradzającej go żonie niemiłą niespodziankę. Pamiętnikarz nadmienia, że pobił ją za to i poranił ostrogami rajtarskimi uwiązanymi koło kolan.

Tymczasem Mazepa, wykurowawszy się, pojechał do Kozaków i wstąpił na służbę do Piotra Doroszeńki, hetmana Ukrainy Prawobrzeżnej. Następnie działał na Zadnieprzu, u Iwana Samojłowicza, został też po nim wybrany na hetmana uzależnionego od Moskwy Lewobrzeża. Jego następny romans był jeszcze bardziej niebezpieczny, bo polityczny – ze Szwecją. W 1708 r. hetman zawarł dwa układy – jeden z królem Rzeczypospolitej Stanisławem Leszczyńskim, a drugi z Karolem XII, który zajął Polskę i Litwę, triumfując w wielkiej wojnie północnej, i oddał mu się pod protekcję. Mazepa jednak próbował lawirować – czekał z oficjalnym opowiedzeniem się po stronie Szwecji na wynik starcia Karola XII z carem Piotrem I – najchętniej bowiem stanąłby po stronie zwycięzcy. Niespodziewanie jednak okazało się, że obaj władcy skierowali wojska na Ukrainę Zadnieprzańską. Mazepa nie mógł już dłużej mataczyć – 8 listopada 1708 r. w Bachmaczu opowiedział się po stronie króla Szwecji. Niestety, poparła go nieliczna część Kozaków, Cerkiew prawosławna rzuciła nań klątwę, wsparła go tylko Sicz i została za to zniszczona przez wojska carskie. W 1709 r., po klęsce Szwedów pod Połtawą, Karol XII i Mazepa uciekli do Turcji, a hetman zmarł w październiku w Mołdawii, znienawidzony do dziś przez Rosjan. Według legendy klątwa nie pozwoliła, by spoczął w poświęconej ziemi; złodzieje dwa razy wyciągali jego ciało z grobu, a kiedy w końcu pochowano go w monasterze św. Jerzego w Gałaczu, wyrzucili go stamtąd do Dunaju Tatarzy łupiący Mołdawię. ©℗

eprasa.pl ee82e2794e

SPOSÓB NA OŚMIORNICĘ JACKA GMOCHA

Uwielbiam grecką kuchnię, np. grecką fasolówkę albo fakes. Lubię też ośmiornice, które w Grecji przyrządzane są na wiele sposobów – w winie, w occie czy smażone na ruszcie jako zakąska do alkoholu, bo w Grecji nie pija się alkoholu bez zakąsek. Aby mięso z ośmiornicy nie było zbyt twarde, należy je obić lub zmrozić w zamrażarce. Grecy po złowieniu obijają ośmiornicę o kamienie, uderzając nią sto razy, a następnie suszą ją w słońcu. Jednak suszona jest i tak twarda, więc jeśli chcemy, aby taka nie była, to lepiej używać świeżej, niesuszonej i następnie zmrożonej ośmiornicy. Doskonale smakuje w sosie pomidorowym z makaronem. To tzw. ośmiornica na czerwono, która świetnie pasuje do białego wina.

FOT. DONAT BRYKCZYŃSKI/BEEW

Składniki:

- jedna duża ośmiornica
- 150 ml pulpy pomidorowej
- ulubiony makaron
- oliwa z oliwek
- sól
- pieprz
- oregano

Przygotowanie:

Zamrożoną ośmiornicę wrzucamy do szybkowaru z wodą i odrobiną oliwy z oliwek. Gotujemy ok. 20–25 min, po tym czasie sprawdzamy, czy jest miękka. Jeśli nie, to zostawiamy ją jeszcze na kilka minut, a w razie potrzeby dolewamy wody i oliwy. Wyjmujemy i kroimy na kawałki. Na oliwę z oliwek wrzucamy pulpę i kawałki ośmiornicy, doprawiamy pieprzem i odrobiną soli. Dusimy mięso w sosie jeszcze ok. 15 min, na koniec doprawiamy oregano. Gotujemy makaron, który albo wykładamy na talerze i polewamy sosem z ośmiornicą, albo dodajemy do sosu, dokładnie mieszamy i dusimy w nim jeszcze przez chwilę. ©℗

oprac. raw

Jacek Gmoch – piłkarz, trener, były selekcjoner reprezentacji Polski, działacz sportowy.

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Niemiejscowo i niezdrowo

JOANNA BOJAŃCZYK

Od ponad 20 lat spędzam wakacje i weekendy na wsi w pobliżu warmińsko-mazurskiego miasteczka. Przez ten czas oczywiście, jak wszędzie, wiele się tu zmieniło. Miasteczko jest zadbane, czyste, z klombami kwiatów, płatnym i uporządkowanym parkowaniem. Kiedy zaczęliśmy tu przyjeżdżać, na rynku było kilka sklepów spożywczych i z warzywami/owocami. Jakieś 10 lat temu powstała Biedronka i powoli wyparła sklepy. Został jeden i jedno stoisko warzywne, raz w tygodniu targ.

FOT. FOTOLIA

Jednak ja nie o tym. Zmieniła się też konsumpcja, co jako socjolog amator obserwuję na taśmach przy kasie Biedronki, gdzie oczywiście także robię zakupy. Pobieżne wnioski: na taśmach bardzo dużo opakowań, produktów przemysłowych, słodyczy, chipsów i kolorowych napojów. Niewiele warzyw i owoców. Skutkiem tych wyborów jest, jak sądzę, zmiana wyglądu mieszkańców miasteczka. Są lepiej i modnie ubrani, ale coraz grubsi.

W Biedronce jest światowo. Portugalskie sery i wina, kapusta pak choi, krewetki, łosoś, awokado oraz mrożone dorady made in EU. Dobrze, że są, bo w lokalnym rybnym miejscowego połowu brak. Jako że znajdujemy się w krainie polskich jezior, są dorsz atlantycki i norweski łosoś. Z mrozu. Wytrwali mogą na własną rękę próbować szczęścia w hodowli pstrąga karmionego duńską paszą. Jechać trzeba 20 km.

Cieszę się z kapusty pak choi i z tego, że łosoś staniał (relatywnie), ale zastanawiam się, dlaczego na targu w płodach rolniczych wieś reprezentuje stolik z trzema oskubanymi kaczkami, słoikiem krwi na czerninę (lokalny specjał) oraz cztery żywe kurki w klatkach. Czasami zawinięta w woreczek osełka białego sera. To wszystko.

Wiejskie produkty najlepiej kupić teraz w mieście. Na „wiejskich" targach, zwanych ostatnio śniadaniowymi lub ekologicznymi. Drogo, ale za to zdrowo i miejscowo, przynajmniej tak się wydaje wyznawcom najnowszej religii – dietetyki. Na targu przy ul. Olkuskiej w Warszawie są brukiew, pasternak, topinambur, zioła i sałaty, kasze, worki pełne roślin strączkowych… Kartofle nie z Maroka i nie z Idaho, tylko nasze oraz 10 gatunków jabłek. Tanio nie jest.

Natomiast jeśli chodzi o naszą wieś na Mazurach, to parę krów jest jeszcze na horyzoncie, ale to nie oznacza, że jest także ser. Przetrwały kury, których radosne pienia i „kukuryki" budzą nas codziennie rano. Chwała Bogu jeszcze za to! ©℗

eprasa.pl ee82e2794e

NASZ TEST: VW T-ROC

Wygląda po prostu jak wyższy i dużo bardziej umięśniony golf z dwukolorowym nadwoziem, a przy okazji daje zaskakująco dużo frajdy z jazdy i jest naszpikowany nowoczesnymi technologiami. T-Roc to samochód dla ludzi, którzy szukają wyższego auta do miasta, ale nie potrzebują zbyt wiele miejsca na bagaże czy prawdziwie off-roadowych możliwości. Niestety, w lepiej wyposażonych wersjach i z napędem na cztery koła model ten jest koszmarnie drogi.

W KABINIE

Kompaktowa kabina jest ergonomicznie zaprojektowana i zaskakująco praktyczna. Przydatne są m.in. duży schowek w podłokietniku oraz półka z indukcyjną ładowarką do smartfonów. Nowoczesne wyświetlacze – zarówno wirtualne zegary (prędkościomierz i obrotomierz), jak i duży, kolorowy ekran dotykowy o wysokiej rozdzielczości – dają wrażenie nowoczesności. Plusem jest też intuicyjny w obsłudze system nawigacji i multimediów.

Niestety, projektanci z Volkswagena mocno zaoszczędzili na jakości materiałów użytych do wykończenia kabiny: dominują twarde, mało przyjemne w dotyku plastiki. Szkoda.

Wygodne fotele dobrze podtrzymują ciało. Dla pasażerów podróżujących na tylnej kanapie miejsca nad głową powinno być wystarczająco, ale już miejsca na kolana w przypadku wyższych osób może być trochę za mało.

Pojemność bagażnika wynosi 445 l. Po złożeniu tylnych siedzeń kufer zwiększa się do 1290 l. T-Roc bardzo dobrze sprawdzi się więc w roli auta dla mieszkającej w mieście

pary, ewentualnie pary z podrośniętym już dzieckiem.

JAZDA

Testowany egzemplarz z benzynowym dwulitrowym silnikiem o mocy 190 KM – jak na miejskiego crossovera – jest dynamiczny i prowadzi się zaskakująco dobrze. Od 0 do 100 km/godz. rozpędza się w nieco ponad 7 s, a na zachodnich autostradach można się nim rozpędzić do 216 km/godz. Na pochwałę zasługuje też automatyczna skrzynia DSG, która w razie potrzeby bardzo szybko redukuje biegi.

Wersja z napędem na cztery koła nie ma problemu ze zbytnimi przechyłami na zakrętach. Jednocześnie zawieszenie nie jest zbyt sztywne i sprawnie tłumi wszelkie nierówności. Dzięki dobrze wyciszonej kabinie (choć np. Golf wyciszony jest o wiele lepiej) auto umożliwia zaś komfortową podróż na długie dystanse.

Układ kierowniczy jest precyzyjny, dzięki czemu T-Roc grzecznie wykonuje polecenia kierowcy. Prześwit o wielkości 18 cm pozwala zjechać z asfaltu, ale ten model do prawdziwego off-roadu i tak raczej się nie nadaje. T-Roc jest za to bardzo zwinny w mieście.

Crossover VW nie jest autem dla skąpców. Średnie zużycie paliwa w cyklu mieszanym podczas testu wyniosło 9,7 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP crossover Volkswagena zdobył komplet pięciu gwiazdek, uzyskując aż 96 proc. punktów w kategorii ochrony dorosłych, 87 proc. w kategorii ochrony dzieci i 79 proc. za ochronę pieszych. Bezpieczeństwo zwiększa też wyżej położony fotel kierowcy, który polepsza widoczność. T-Roc może być też wyposażony w najnowocześniejszych elektronicznych asystentów monitorujących martwe pola lusterek, alarmujących w przypadku wykrycia niezamierzonej zmiany pasa, a także ułatwiających wyjeżdżanie tyłem z miejsca parkingowego. System awaryjnego hamowania zmniejsza zaś nie tylko ryzyko kolizji z innym autem, lecz także potrącenia pieszego.

CENA

Za najtańszą wersję T-Roca z napędem na jedną oś, silniczkiem o pojemności 1,0 l o mocy 115 KM trzeba zapłacić 78,4 tys. zł. Wersja z lepszym wyposażeniem, silnikiem 1,5 l o mocy 150 KM i manualną skrzynią biegów to już koszt 99,9 tys. zł. T-Roc z napędem na cztery koła, automatyczną skrzynią biegów i dwulitrowym silnikiem benzynowym o mocy 190 KM kosztuje 125 tys. zł, a z dwulitrową jednostką Diesla o mocy 150 KM aż 130,6 tys. zł.

KONKURENCI

Audi Q2, Honda HR-V, Kia Stonic, Mini Countryman, Opel Mokka X, Seat Arona, Skoda Karoq, Toyota C-HR ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ee82e2794e

5 LAT TELEWIZJI REPUBLIKA

REPUBLIKA

JEDYNA debata polityków najważniejszych opcji parlamentarnych, współtworzona przez **widzów** i **słuchaczy**

Nagraj pytanie, zostaw komentarz - 24h na dobę, 7 dni w tygodniu

ZADZWOŃ 22 645 24 00

7x24.

Niedziela 9:05

Zapraszam
Katarzyna Gójska

Debata **NA ŻYWO** z Polskiego Radia 24

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl ee82e2794e

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Trudna wolność słowa

MARCIN MAKOWSKI: Alex Jones – dziennikarz i aktywista polityczny znany z programu „Info Wars" – został wyrzucony z YouTube, Facebooka, Spotify i iTunes. Jego poglądy bywały radykalne, uważał się za prawicowego populistę. Jednak czy sam ten fakt sprawia, że powinien „zniknąć" z sieci?

MATTHEW TYRMAND: Warto zwrócić uwagę, że był również jedną z pierwszych osób w mediach społecznościowych, które otwarcie wsparły Donalda Trumpa. To dzięki aktywistom takim jak Alex Jones Trump zaczął zdobywać popularność wśród elektoratu rozczarowanego dotychczasowym mainstreamem politycznym. Zgadzam się, że często balansował na granicy, jeśli chodzi o styl prowadzenia swoich programów i teorie spiskowe, które w nich promował – za co trafiał na salę rozpraw. Prawdziwa kara nie została jednak wymierzona podczas procesu, tylko odgórnie, przez właścicieli platform, na których się udzielał. Z dnia na dzień został ocenzurowany. Ten mechanizm nie dotyczy tylko Jonesa, lecz także wielu konserwatywnych liderów opinii, których poglądy określane są jako „mowa nienawiści" i których spycha się, np. w algorytmach wyszukiwania Google, na drugi plan. Globalne firmy z sektora IT często otwarcie promują idee lewicowo-liberalne, po prostu korzystając ze swoich zasobów w procesie aktywnego kształtowania opinii publicznej. A chyba nie do tego zostały stworzone, prawda? W USA od dłuższego czasu trwa debata na temat etyczności podobnych praktyk oraz ich wymiaru prawnego w kontekście pierwszej poprawki do konstytucji, co odbiło się echem przy okazji przesłuchania Marka Zuckerberga przed senatem. Z analogicznymi przypadkami ograniczania wolności słowa mamy do czynienia w Wielkiej Brytanii, Niemczech czy Skandynawii.

Czy ten trend rozwija się również w Polsce? I nie mam tutaj na myśli jedynie prawicy czy lewicy.

Tak, i jak zauważyłeś, zapędy do cenzurowania są aktywne po obu stronach barykady. Być może, jeśli chodzi o tradycyjne media w Polsce, jest jeszcze spory pluralizm, ale już np. na Węgrzech Orbána opozycyjna prasa i portale właściwie nie istnieją. To jest zagadnienie ciekawe samo w sobie, ponieważ Polska często obrywa na świecie za grzechy węgierskiej klasy rządzącej. Ma jednak również swoje, jak choćby ściganie KOD-owców za „ubieranie" pomników w koszulki z napisem „Konstytucja". Wolność słowa nie może być czymś miłym i komfortowym dla wszystkich. Gdy w Stanach pali się amerykańską flagę, większość ludzi może być oburzona, ale to jeszcze nie znaczy, że wolno im pozbawiać jednostki prawa do radykalniejszych form ekspresji. Problemy zaczynają się w momencie, w którym moja wolność ogranicza wolność drugiej osoby albo gdy wulgarnie łamie się prawo. Myślę, że mój ojciec byłby dzisiaj tego samego zdania co ja, tzn. zachęcałby Polskę i nią rządzących, aby nie ograniczali wolności słowa, nawet gdy się z jakimiś poglądami nie zgadzają. Zwłaszcza wtedy wolność ma swoją wartość. Inaczej buduje się system taki jak w Rosji czy Chinach.

A co z poglądami skrajnie nacjonalistycznymi oraz ocierającymi się np. o antysemityzm? 1 sierpnia w Warszawie Hanna Gronkiewicz-Waltz rozwiązała marsz narodowców z okazji rocznicy powstania, nieco później na rynku we Wrocławiu radykalna lewica zagłuszyła spotkania autorskie Jacka Międlara, ratusz rozwiązał oba zgromadzenia.

Ani ONR, ani Międlar to nie jest moja polityczna bajka, ale każdy z takich przypadków trzeba oceniać osobno. Czy prawo zostało złamane? Prezydent Warszawy usprawiedliwiała się, że odpalono race, ale one były odpalane na Marszach Kobiet i Marszu Wolności PO. Prawo musi tutaj działać symetrycznie. Czy Międlar wygłosił we Wrocławiu poglądy, które podpadają pod wykroczenie, albo nawoływał do nienawiści? Jeśli nie, to najlepiej kontrować go w debacie, a nie w siłowym parciu do konfliktu na ulicy. To tak samo jak z Rogerem Watersem w Gdańsku. Twierdzi, że Kaczyński to neofaszysta? Niech twierdzi, w końcu nikt nie zabrania być idiotą. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl ee82e2794e

OKIEM JASTRZĘBIA

Czczę prostotę

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Na początek praktyczne zwierzenie, być może ewentualne zachęcenie. Czczę otóż prostotę, bo dzięki niej się nie komplikuje. Na przykład na siłowni, jeśli hantel waży 20 kg, to jest cięższy od tego, który waży 10 kg, i nikomu nie przychodzi do czaszki ciągnąć dyskusję na ten temat. Cięższy i już. Jak jakiś leszcz będzie ci pół godziny opowiadał, że 120 kg z klatki piersiowej wyciska się w taki, a nie inny sposób, to ty zawsze możesz z leszcza szydernąć: „To weź, leszczu, pokaż". I wiesz, że się leszcz w tym momencie zacznie ze swoimi gatkami z siłowni przeprowadzać w mgiełce dyshonoru. Czczę więc prostotę. I ku zdziwieniu widzę, jak w moim pięknym kraju dużo mądrzejsi ode mnie ludzie nie wiedzą, który hantel jest cięższy. Część z nich chce się nawet uciekać do rozstrzygnięć siłowni międzynarodowych. Ja tu nie mam zamiaru politykować, brać stronę czy pouczać. Ja wam tu wszystkim, zgodnie ze sparafrazowanym hasłem pewnego Forresta: „Może jestem prosty, ale to ja mam rozum, a wy macie komplikacje", powiem: jeżeli nie wiecie, który hantel jest cięższy, to znaczy, że one są źle zrobione. A to wy je robiliście, nie my, a już na pewno nie ja. Wasze sprzęty wymagają brutalnych zmian, więc je przeprowadźcie, żeby 20 kg było cięższe od 10 kg, i bez bezsensownych dywagacji.

Następnie dalej czczę sobie prostotę. Słyszę w telewizji, jak resort sprawiedliwości zapowiada wprowadzenie kar łącznych, czyli że jak jakiś przestępca popełnił strasznych czynów ileś, to kary będą się sumować, a nie że największą będzie odsiadywać, a te mniejsze będą mu się w największej zawierać. Czyli, trochę tak po amerykańsku, gdzie przestępca usłyszy na przykład wyrok 150 lat więzienia, ale potem może już cieszyć się wolnością, bo przecież dożywocia nie dostał. Może i te zmiany są dobre, a może niedobre, bo tu się zawsze będą ścierać koncepcje, że kara ma odstraszać, ale i powinna ona wychowywać, czyli resocjalizować, społeczeństwu przywracać zagubionych. Oczywiście nie każdy zasługuje na przywrócenie mechanicznie i nie każdy da się zresocjalizować, to jasne, ale… Jako osoba czcząca prostotę pragnę resort sprawiedliwości poinformować, że inne bolączki bardziej bolą obywateli. Przewlekłość postępowań, której doświadcza zwykły obywatel. To boli w najzwyklejszych, prostych sprawach, które trwają latami. Niestety. W zwykłych całkiem sprawach latami czeka się na wyrok, bo nikomu się przecież nie spieszy. Specjalnie dam tu przykład drastyczny. W czerwcu zakończył się proces, który trwał (teraz uwaga!) 13 lat. Tak, 13 lat, jeden proces. Zgoda, zgoda, skomplikowany, bo dotyczący mafii paliwowej, podejrzeń oszustw na VAT, więc trudny. Teraz znowu uwaga, z 18 oskarżonych ośmiu zostało uniewinnionych. Część zarzutów się przedawniła. Ja tu, czcząc prostotę, nie chcę bynajmniej uchodzić za obrońcę przestępców gospodarczych, ale tak tu zaproponuję, żeby ktoś, kto może zmieniać sytuację prawną w Polsce, postawił się w wyobraźni w roli człowieka, który przez 13 lat jest oskarżony o przestępstwo, zasiada na ławie oskarżonych, a na końcu okazuje się, że jest niewinny. Cóż, kawał zniszczonego życia, prawda panie i panowie?

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Na koniec zmiana tematu na lżejszy. Bardzo mnie rozbawił Rummenigge, niegdyś świetny piłkarz, a dziś dyrektor generalny Bayernu Monachium i niezły, jak się okazuje, śmieszek. Agent Karl-Heinz powiedział publicznie z nadąsaniem, że Bayern nigdy nie wydałby 120 mln euro na 33-letniego (czyli bardzo już, według Heinza, starego) Ronaldo. W podtekście, że się nie opłaca. Tyle tylko, że już po samej informacji, że CR7 przechodzi do Juventusu, 33-latek natychmiast zaczął się błyskawicznie zwracać (wzrost kursu akcji, sprzedaż klubowych koszulek z jego nazwiskiem, zainteresowanie w mediach przekładające się na reklamę etc.). I w ten oto sposób Rummenigge zrobił z siebie klasycznego bezzębnego starucha, który patrząc na urodziwą księżniczkę, mówi: „Łeee, kto by to chciał z takimi długimi nogami…". ©℗

Autor jest prezesem firmy R4S.

epprasa.pl ee82e2794e

OKIEM BLOGERKI

Sąd sądem, a sprawiedliwość...

KATARYNA

***RENATA GROCHAL:** Oto „efekt mrożący" w praktyce. Ten wyrok nie tylko rozjeżdża się z logiką, ale i z poczuciem sprawiedliwości. Uznając, że szarpanie i wykręcanie rąk ma niską szkodliwość społeczną, sąd daje przyzwolenie na przemoc. Czy powodem było to, że sprawa dotyczy posła PiS?*

W życiu każdego z nas przychodzi taki moment, kiedy zaczynamy wątpić w sądową sprawiedliwość i sędziowską niezawisłość. Dziennikarkę „Newsweeka" moment ten dopadł w ubiegłym tygodniu, przy okazji wyroku w sprawie posła Zbonikowskiego – sąd uznał, że żonę co prawda szarpał i wykręcał jej rękę, próbując wyrwać telefon, którym go nagrywała, ale szkodliwość społeczna tego czynu była niska i Zbonikowski żadnych konsekwencji nie poniesie. Dziennikarka, a wraz z nią także inne osoby na co dzień broniące niezawisłości sądów, sugeruje, że ten konkretny sąd niezawisły nie był, skoro wyrok jest, jaki jest. Odważna opinia, szkoda, że tak bardzo oderwana od realiów. Ten sąd – a pewnie nie jest żadnym wyjątkiem – nie w takich sprawach uznawał niską szkodliwość społeczną i odpuszczał.

Większość Polaków woli dziś wypoczywać niż bronić sądów, w których więcej prawa niż sprawiedliwości

W 2017 r. w tym samym toruńskim sądzie zapadł wyrok w sprawie kobiety, która przez kilka miesięcy „uporczywie nękała pokrzywdzoną i jej małoletnie dzieci w ten sposób, że wbrew ich woli fotografowała je, obserwowała, ubliżała, poniżała, zaczepiała, wzbudzając u nich uzasadnione okolicznościami poczucie zagrożenia, a ponadto w tym samym miejscu i czasie znieważała ww. pokrzywdzonych oraz chwytając pokrzywdzoną za głowę, uderzała jej głową w ścianę budynku". Chociaż winę ustalono ponad wszelką wątpliwość, sąd pierwszej instancji stwierdził niską szkodliwość społeczną i warunkowo umorzył postępowanie oraz zobowiązał prześladowczynię do wypłacenia każdemu z pokrzywdzonych zadośćuczynienia w wysokości… 50 zł, zwalniając ją jednocześnie z kosztów sądowych, którymi obciążył Skarb Państwa. Sąd drugiej instancji umorzenie z uwagi na niską szkodliwość społeczną podtrzymał, zakwestionował jedynie wysokość zasądzonego zadośćuczynienia, uznając je za „rażąco niskie i na tyle symboliczne, że absolutnie nie spełnia swojej kompensacyjnej funkcji", i podniósł je do całych 250 zł dla każdej z prześladowanych miesiącami ofiar, w tym – przypominam – dwojga dzieci.

Poseł Zbonikowski jest postacią odrażającą, a wyrok w jego sprawie rzeczywiście „rozjeżdża się z poczuciem sprawiedliwości", ale wcale nie dlatego, że Zbonikowski został potraktowany szczególnie ulgowo. Takie mamy sądy, i taką w nich sprawiedliwość. Jeśli uderzanie czyjąś głową o ścianę jest czynem o niskiej szkodliwości, to dlaczego szarpanie się z kimś miałoby zostać potraktowane surowiej? Toruński sąd jest po prostu konsekwentny. Wyrok w sprawie Zbonikowskiego, jeden z setek podobnie „rozjeżdżających się z poczuciem sprawiedliwości" wyroków, to główny powód, dla którego większość Polaków woli dziś wypoczywać niż bronić sądów, w których więcej prawa niż sprawiedliwości. Może właśnie on zwróci uwagę wszystkich zwolenników „żeby było tak, jak było" na problem, który mamy z wymiarem sprawiedliwości. Zanim dzięki „reformie" Ziobry będzie jeszcze gorzej, bo ona akurat niczego nie uzdrowi. ©℗

PODSŁUCHANE

Skrajna perfidia

A, pan Paweł… Niech pan wejdzie. No, jak tam idzie tym pana obywatelom?
Właśnie ja, panie przewodniczący, przychodzę w takiej sprawie, że to już przekracza wszelkie granice, jak my jesteśmy traktowani, i mam nadzieję, że pan, jako lider opozycji, tym razem naprawdę to nagłośni!
A cóż się takiego stało?
Proszę sobie wyobrazić, ostatni protest pod Sejmem, stoję przy barierkach i tak się jakoś przechyliłem i okulary mi spadły! Na tamtą stronę!
Ale policjant je panu zrzucił czy jak?
Nie, same spadły. Ale teraz najlepsze, bo tam stoją ci policjanci i, proszę sobie wyobrazić, jeden się schylił, podniósł je i mi podał! Rozumie pan?! Podał mi!
No, właśnie nie za bardzo…
Czekaj pan, to nie wszystko. Wracam potem do domu samochodem, zdenerwowany byłem, noc, pusto, no to jadę… Bo ja wiem? Ze sto kilkanaście jechałem. A tu mnie drogówka zatrzymuje, z radarem stali. Jak nic powinni mi prawko zatrzymać.
I zatrzymali?
A gdzie tam! Wzięli dowód ode mnie, coś tam sprawdzali, wracają i mówią: „Panie kierowco, dziś będzie pouczenie, proszę wolniej".
Ale… to chyba dobrze?
Panie Grzegorzu! Czy pan naprawdę nie dostrzega tej skrajnej perfidii?! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Komunizm został przy Okrągłym Stole zlikwidowany w dwa miesiące, […] więc i z tego, co jest teraz, na pewno da się wyjść".

***ZBIGNIEW HOŁDYS**, muzyk, w wywiadzie dla „GW"*

eprasa.pl ee82e2794e

fot. Jerzy Gumowski

Wykluczanie

Dzisiejszy Komintern, nazwany przeze mnie (ponad ćwierć wieku temu) Salonem (co się publicznie przyjęło) — z wysokości swego politpoprawnego tronu medialnego szacuje miarką *„demokracji”* nie tylko jednostki, które lubi albo nie lubi, lecz i państwa. Na wielu uczelniach amerykańskich pojawił się nowy przedmiot: „Erozja demokracji” (vel „Upadek demokracji”, vel „Rozpad demokracji”), traktujący o demokratycznie wybranych rządach, które *„w bardzo sprytny, trudno wykrywalny sposób używają reguł demokratycznych do niszczenia demokracji”*. Ukuto już wobec perfidii tych reżimów termin naukowy: *„niewidoczny autorytaryzm”* (Molly Winders, 2017), stanowiący lustrzane odbicie *„schizofrenii bezobjawowej”* z psychuszek Związku Sowieckiego. Jako symboliczne kliniczne pseudodemokracje (*„demokratury”*) wskazuje się Węgry Fideszu i Polskę PiS–u — oba kraje zostały werdyktem Salonu bezwzględnie wykluczone z grona państw przyzwoitych.

Priwiślińskie salonowe wykluczenia funkcjonują od dawna, przybierając nierzadko formy groteskowe, co się objawia tym, że schodzą z estrad na ulice grodów. Choćby w komunikacji: głośno było niedawno o kierowcy Ubera, który przy otwarciu drzwiczek pytał pasażerów po jakiej są stronie barykady i odmawiał wożenia zwolenników Kaczyńskiego. Albo w medycynie: rozgłos zyskał trójmiejski lekarz, który na drzwiach swego gabinetu wywiesił anons, iż nie przyjmuje pacjentów popierających PiS. Albo w handlu: Magdalenę Ogórek wyproszono z kilku sklepów za kontrsalonowość. Wkrótce się doczekamy ze strony *„bundesopozycji”* szyldów (sklepowych, usługowych, kulturowych) z informacją: *„Nur für Platformenscher!”*.

Również we wszelakich salonowych mediach wykluczenie *„z obiegu”* (zamilczenie, ostracyzm, szlaban, bojkot) jest drugą rytualną (obok szkalowania) karą za publiczne wojowanie po antylewackiej stronie barykady, czyli za antysalonowość/antymichnikowość/antypolitpoprawność. Nagroda ze strony salonowych rozgrywających (komentatorów, recenzentów, krytyków, lanserów) — to zauważenie i forowanie (chwalenie, poklepywanie, nominowanie, itp.), a represja to niedostrzeganie i skasowanie. Czasami tak makabrycznie drastyczne jak przypadek niezłomnego publicysty Piotra Skórzyńskiego, któremu Adam Michnik, wyrzucając go z roboty, miał powiedzieć (świadectwo Wojciecha Piotra Kwiatka): *„ — Nie istniejesz! I nigdy nie będziesz istniał!”*. Nie dano już Skórzyńskiemu zaistnieć. 3 czerwca 2008 oznajmił w pożegnalnym liście do żony: *„Nie potrafię godzić się na nikczemność świata”* — i popełnił samobójstwo.

Jestem rodzimym weteranem karnych wykluczeń. Mógłbym garściami rzucać tyczące mnie anegdoty z czasów PRL–u (sporo ich prezentuje wolumin **„Lepszy”**, 1990), kiedy ta represja miała fachową, wyprodukowaną przez ul. Mysią nazwę *„zapis”*, lecz nie PRL stanowi dziś temat felietonu, więc przytoczę tylko jedną. Blisko początku lat 80–ych Jerzy Łojek zdobył tekst *„zapisu encyklopedycznego”* i poinformował mnie, że decyzją Wydziału Kultury KC PZPR nas dwóch nie wolno uwzględniać w encyklopediach. Tak więc najlepszy historyk i najpoczytniejszy pisarz ery PRL–u nie figurowali w PWN–owskich kompendiach aż do roku 1989. Później już byliśmy obecni w każdej encyklopedii, co nie znaczy, że lata 90–e przyniosły zupełnie nowe reguły gry wykluczeniowej, *„czerwoni”* bowiem zostali zastąpieni (jako *„playmakerzy”*) przez *„różowych”* sekowników, czyli przez dżumę równie wredną. Tuż po „wyzwoleniu” znany dziennikarz, Bogdan Rymanowski, dał mi *„cynk”*, że *„warszawka”* oraz *„krakówek”* (vulgo: Salon) realizują dyrektywę: *„całkowite milczenie na temat Łysiaka!”*.

∞

Knuj dalej wykluczanie, bałwanie!

∞

Nie byłem jedynym *„kasowanym”* (vide Kąkolewski, Zalewski, Urbankowski, Narbutt, Wachowicz, i in.) — **„Tygodnik Solidarność”** wtedy ubolewał: *„Chodzi o to, aby ważne rzeczy mówili tylko swoi. Lub by wyglądało, że tylko swoi mają coś do powiedzenia. To jest przerażający mechanizm”*.

Ten mechanizm funkcjonował skutecznie również w drugiej połowie lat 90–ych i w pierwszej dekadzie obecnego stulecia. Czasami ktoś się jednak wyłamywał (np. tygodnik **„Wprost”** komentujący listy bestsellerów, oraz czyniące to samo dzienniki **„Życie Warszawy”** i **„Rzeczpospolita”**), lub dostający piany przeze mnie *„Adaś”* nie wytrzymywał i publikował kolejny antyŁysiakowy paszkwil w **„GW”**, lecz generalnie Salon pilnował, by nie wzmiankować nazwiska *„reakcyjnego oszołoma”* z Saskiej Kępy. Czasopisma kontrsalonowe podnosiły tę wykluczeniową obsesję bez ustanku, mam całą teczkę wycinków à propos, zacytuję kilka. W r. 1997 (tym samym, w którym prof. Jadwiga Kołodziejska na łamach **„Życia Warszawy”** ogłosiła, że pisarzami szczególnie cenionymi przez Polaków są Dostojewski, Vonnegut, Márquez, Tołstoj, Szekspir, Wharton i Łysiak), Bolesław Zaremba akcentował: *„Wokół osoby Łysiaka panuje zmowa milczenia w mediach lewicowo–liberalnych. Czy przyczyn tego stanu rzeczy należy szukać w jego jednoznacznej postawie politycznej?...”*. Tomasz J. Kostyła: *„Waldemar Łysiak to najbardziej poczytny w naszym kraju pisarz, fenomen naszej literatury, a «polskojęzyczne» media nieustannie o nim milczą”*. Marta Sawicka: *„Recenzenci stosują wobec W. Łysiaka zmowę milczenia”*. Marcin Hałaś: *„Salonowi krytycy popularyzują tylko swoich. Natomiast tych, którzy czymś się narazili, karzą zesłaniem w krainę milczenia”*. Było takich konstatacji dużo, a najfajniej skomentował sytuację Marcin Wolski: *„Waldemar Łysiak, jeden z najwybitniejszych mistrzów pióra, jaki kiedykolwiek stąpał po polskiej ziemi, jest przykładem wykluczenia absolutnego. Nawet gdyby dostał Nobla — nie ma co liczyć na to, że rodacy dowiedzą się o tym z salonowych mediów”*.

Źródłem takich i wszelakich innych nikczemnych salonowych praktyk był Okrągły Stół — komentatorzy antysalonowi nigdy nie mieli żadnych wątpliwości co do tego. Exemplum opinia Bartłomieja Tomasza Parola (prawnika z Centrum Obrony Interesów Narodu Polskiego im. Ryszarda Kuklińskiego) wydrukowana przez **„Opcję na Prawo”** (7–8/2004): *„ — W Polsce karty zostały rozdane przy Okrągłym Stole, więc słychać przede wszystkim tych, co te karty rozdawali. Proszę spojrzeć jak skutecznie zostały wykluczone ze świadomości społecznej osoby, które nie chciały się bratać z Kiszczakami i Jaruzelskimi: Gwiazda, Walentynowicz czy Kornel Morawiecki. Gracze lansują Gretkowską, Tokarczuk czy literaturę dresiarską Masłowskiej, lecz ani się zająkną o wybitnej prozie Waldemara Łysiaka. Ten autor zresztą jako jedyny potrafi bronić się sam. Ale już Zbigniew Herbert bronić się nie może (...) My nie mamy takiego talentu jak Herbert czy Łysiak, jednak staramy się wykorzystywać w tej walce przeciwko lewakom–manipulatorom możliwości, które daje fundacja jako forma prawna (...) Polacy muszą to robić jeżeli chcą przetrwać i zachować godność”*.

Ta zabawa, polegająca na wykluczaniu przez niezauważanie, wciąż trwa. Gdy ukazuje się książka Błażeja Torańskiego **„Knebel”** (2016) o cenzurze PRL–u — jestem tam nieobecny, chociaż już ćwierć wieku temu niezależni publicyści przypominali o *„wojnie ulicy Mysiej z Łysiakiem”* jako jednym z ważniejszych cenzurowych zjawisk tamtej doby (w której Kreml tylko raz oprotestował na szczeblu rządowym twórczość polskiego pisarza — moją). Gdy ukazuje się opracowana przez salonowca Jana Tomkowskiego (pupila goszystowskiej **„Angory”**) antologia **„Polski esej literacki”** (2017) — są tam przedruki esejów czterdziestu współczesnych autorów, lecz mnie nie ma — żaden spośród wielu moich literackich esejów nie zasłużył. Itd., itp. Taką cenę bojowania z draństwem trzeba a priori wliczać do kosztów i nie dziwić się potem, tylko spokojnie konstatować: *„wsio w pariadkie”*, po czym dalej robić swoje. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl ee82e2794e

Tankuj, kupuj i odbierz w atrakcyjnej cenie!*

Zbierz 15 naklejek i złap piłkę już za 10 złotych lub 4900 punktów VITAY.

ORLEN

Kierunek jest jeden...

*Sprzedaż promocyjna do 31.08.2018 r. lub do wyczerpania zapasów. Szczegóły promocji w regulaminie na: dlakierowcow.orlen.pl

eprasa.pl ee82e2794e